

1933  
rok założenia

UMCS  
LUBLIN

# KAMENA

KWARTALNIK KRESOWY

NR 2 (927) 1990

CENA 1500 ZŁ

W numerze:

Ireneusz Kamiński: „Byle nie głupio i od serca” [1]

Jan Lewandowski: „Dramat pogranicza” [2]

Władysław St. Reymont: „Z ziemi chełmskiej” [8]

Felieton kwartalny: „Piją bo lubią” [12]

Joanna Winiewicz: „Architekt włoski zwyczaju polskiego” [13]

Lucyna Zienkiewicz: „Słów kilka o kresach” [19]

Jerzy Górny: „Chłopak z Cumania” [20]

Artur Timofiejew: „Wędrowki po Królewcu” [23]

Notatnik słowiański:

Mieczysław Buczyński: „Ukraina nie jest daleka” [27]

W przestrzeni:

Stanisław Jedynak: „Żółkiew” [28]

Felieton obrazkowy [29]

Mieczysław Buczyński, Stefan Warchoł: „Historyczne paliwo bułgarskiej gorączki” [30]

Edwin Sugarew: „Aby słowo stało się czynem” [32]

Alek Popow: „Zemsta starych cegieł” [33]

Waldemar Pycka: „Ecosophia — nowe myślenie” [37]

Okolice sztuki:

IJK: „Kronika pewnego procesu” [39]

Opinie:

Bożena Kowalska: „Kajetan Sosnowski” [41]

Hubert Łaskiewicz: „Spotkanie kultur” [42]

Józef Fert: „W lustrze naszych snów” [43]

Rozmaitości kresowe [44]

Listy do redakcji [45]

Kronika wschodnia [46]

Regionalny słownik biograficzny [48]

OD REDAKTORA: Zapewne, historia się nie powtarza, to tylko „odwaga” znów zdrożała, a rozum stracił na wartości.

## DRAMAT POGRANICZA

JAN LEWANDOWSKI

Zdarzały się sytuacje, że przy łożu śmiertelnie chorego „opornego” stawiano strażnika ziemskiego (policjanta), który miał dopilnować, aby zmarłego pochowano na cmentarzu prawosławnym z należnym mu cerkiewnym pogrzebem. Wobec tego rodziny „opornych” starały się ukryć fakt choroby i śmierci, a zmarłych pogrzebać po kryjomu w polu lub w lesie, albowiem zdarzały się przypadki, że władze kazały wykopać trumnę, aby ją z całą prawosławną oprawą pochować na cmentarzu.

## NADWORNÝ ARCHITEKT

JOANNA WINIEWICZ

Który z włoskich kościołów tak urzekł Pawła Fontanę i swoją oryginalnością zainspirował do tego stopnia, że kilkakrotnie powtórzył go w Polsce, dostosowując do „nieba i zwyczaju polskiego”? Czy sam jednak dobrze czuł się pod „polskim niebem”, pośród ludzi żyjących wedle „obyczaju polskiego”?

## KUZYNKĄ BUŁHAKOWA

HENRYK RADEJ

Co bardziej pamiętliwi do dziś wspominają jej rewolucyjny zapal, którymbulwersowała małomiasteczkowy Chelm. Chciała zakładać jakieś partie polityczne. Była aktywna i bezkompromisowa w sądach. Nosila się modnie, co też wywoływało komentarze na jej temat. Powtarzano plotkę, że płynnie klnie po francusku i opala się nago.

## ZEMSTA STARYCH CEGIEŁ

ALEK POPOW

Z sąsiedniego pokoju wyszedł Michał Arsow, chwając się i trzymając rękami za brzuch. Ciemna krew wypływała spomiędzy palców i ściekała wzdłuż nogawek. Twarz miał martwą. Zrobił kilka kroków i zwałił się nie wydawszy jęku.



Kajetan Sosnowski związany jest w sposób wieloraki z Chełmem. Spędził tu 12 lat (1922—1934), zanim wyjechał do Warszawy, by podjąć studia w Akademii Sztuk Pięknych. Po wojnie niejednokrotnie odwiedzał to miasto swojego dzieciństwa i wczesnej młodości. Potwierdził zachowany do niego sentyment, urządzając tu wystawę swoich obrazów w 1962 roku, a w dziesięć lat później występując z inicjatywą powołania w powiatowym jeszcze Chełmie stałej galerii, która zapoznawałaby tutejszą społeczność z najwartościowszymi osiągnięciami sztuki polskiej.

(O Kajetanie Sosnowskim pisze Bożena Kowalska na str. 41)

**REDAGUJE ZESPÓŁ:**

Ireneusz J. Kamiński — redaktor naczelny

Jerzy Górny i Henryk Radej

**ADRES REDAKCJI:**

22—100 Chełm, ul. Lubelska 57  
tel. 509-11

Nr indeksu 362573

Redakcja zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów w tekstach przeznaczonych do publikacji. Materiałów nie zamówionych nie zwraca autorom.

Egzemplarze pisma do nabycia w kioskach „Ruch”. Prenumeraty nie prowadzimy.

Wydawca: Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej z dotacji Funduszu Rozwoju Kultury

Skład: Spółka „Commet” Lublin, druk: Spółdzielnia „Kartodruk” w Krasnymstawie

# Byle nie głupio i od serca

Wydajemy oto trzeci z kolei numer „Kamenu” w formule kwartalnika, i w nadziei, że jakoś udaje nam się realizować intencje programowe pisma, wyłożone w edycji premierowej z jesieni ubiegłego roku.

W zeszycie, który dociera właśnie do naszych sympatyków, znajdują się dwa główne bloki tematyczne: wschodni, w jakimś stopniu kresowy, eksponujący tzw. sprawę chełmską z lat 1864—1918, oraz bułgarski, potwierdzający stałość redakcyjnego zainteresowania całym światem słowiańskim, postrzeganym w pełnej jaskrawości, bez tanich sentymentów czy niegdysiejszych złudzeń.

Na tej generalnej zasadzie będą komponowane kolejne numery kwartalnika. Inaczej mówiąc: taka geografia i taka tematyka stanowią filary domku o nazwie „Kamena”, którego architektura rozwija się wedle dynamicznej dramaturgii postmodernizmu, mieszającej swobodnie wątki poważne i swawolne, historyczne i współczesne. Naturalnie, z miejsca zrewidujemy ów plan idealny, jeśli okaże się, że „Kamena” przemawia, owszem, ale „krótko, głupio i od serca”, jak to przy innej okazji zauważył Książę z „Indyka” Mrożka.

Porównanie kwartalnika do domku, jakże infantylne w pierwszym czytaniu, okaże się całkiem zasadne po wskazaniu, że lokal redakcji mierzy raptem 6 metrów kwadratowych, a zespół składa się z trzech osób. Wystarczy! Możemy zresztą poruszać się także po dwóch sąsiednich pokojach, należących do naszego wydawcy, Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Chełmskiej. Poza tym mamy wreszcie szyld, co ważne, albowiem do niedawna listonosze wielce się musieli nachodzić, nim dotarli do siedziby redakcji.

Jeśli już dotknęliśmy kwestii pocztowej, to wyznajmy całą prawdę: redakcja nie ma zamiaru występować w roli skrzynki na listy, do której każdy wrzuca co chce, od przypadku do wypadku, a my sklecamy z tych podrzutek kolejne numery „Kamenu”, wdzięczni nadawcom za łaskawą pamięć.

Zapraszamy do współpracy wszystkich praktykujących i potencjalnych autorów, zwłaszcza esesistów i prozaików, krajowych i zagranicznych. Teksty merytorycznie ważne czy choćby ciekawe, a przy tym sprawnie napisane i nie klójące się z programem kwartalnika, na pewno trafią do redakcyjnych planów wydawniczych. Przy ich ocenie przyduszamy mocno własne sentymenty regionalne i miejsca czule na to, co prząsne, ale własne. Nie wzruszają nas takie przymioty, jak tematyka lokalna i tubylczość autora,

jeżeli oferowane teksty są zwyczajnie kiepskie. Cenzury już nie ma, zatem ambicje i wprawki pisarskie można dziś swobodnie materializować na rozmaite sposoby, choćby przy pomocy kserografu czy powielacza, na koszt własny, prywatnie, czyli w zgodzie z ogólniejszą tendencją polityczną. „Kamena” nie może być śmietnikiem dobrych intencji, gazetą regionalną w manierze prowincjonalnej, albowiem utrzymywana jest ze środków społecznych i ukazuje się w Chełmie, mieście o pięknej tradycji kulturalnej. O wartości owej tradycji decyduje m.in. świetna architektura kościołów projektu Pawła Fontany (patrz artykuł w numerze) i cenna kolekcja sztuki współczesnej w Muzeum Okręgowym. To jest faktyczny majątek Chełma, element jego urody, świadectwo jego mądrości, znak tożsamości — i głupcem byłby ten, kto chciałby dyskredytować tę dobrą argumentem, że Fontana nie pochodził z Ziemi Chełmskiej lecz z włoskiej, a w kolekcji muzealnej znajdują się dzieła wybitnych czy znanych artystów polskich, ale „nietutejszych, psiamać!”. Podobnie z przedwojenną „Kameną”: w opinii oświeconych Polaków była pismem chełmskim, choć drukowała autorów z całego kraju, z Rosji, Francji, Bulgarii, Czechosłowacji...

Zapraszając do współpracy wszystkich, którym takie zasady redagowania pisma wydają się sensowne, nie czekamy przecież, aż nam coś przypadkowo kapnie z pisarskich warsztatów. Niemal wszystkie opublikowane dotąd w kwartalniku teksty powstały na prośbę redakcji, na nasze zamówienie, poprzedzone namysłem nad koncepcją poszczególnych numerów. Jest chyba jakiś powód do satysfakcji w tym, że na publikowanie w „Kamieniu” przystali autorzy z różnych miast kraju — a poza tym — z Moskwy, Kijowa, Lwowa, Sofii. Są wśród nich wybitni znawcy określonej problematyki, historycy, krytycy sztuki i literatury, prozaicy i poeci, socjologowie i filozofowie. Konkretną propozycję współdziałania z pismem przedstawili ostatnio konserwatorzy zabytków i artyści ukraińscy ze Lwowa, współdziałający z Fundacją Kultury Polskiej w Warszawie, która zresztą wspiera „Kamenę”, tymczasem moralnie i w pewnym stopniu organizacyjnie. Naturalnie, cierpliwie i uporczywie, nie bacząc na niespodziewane trudności, poszukujemy nowych autorów wśród mieszkańców naszego województwa. Jednocześnie staramy się nawiązać kontakt z chełmianami lub ich potomkami, którzy mieszkają na Zachodzie. Zachętę w tym względzie czerpiemy m.in. z życzliwości, jaką „Kame-

nę” w nowej formule darzy znakomity Wacław Iwanuk, żyjący, co zresztą wiadomo, w Kanadzie.

Uplywa właśnie 10 miesięcy od dnia, w którym ukazał się pierwszy numer kwartalnika kresowego „Kamena”.

Tymczasem wiele pism uległo w Polsce likwidacji lub samolikwidacji, jak to się stało z lubelskim tygodnikiem RSW „Relacje”, który z godną zastanowienia konsekwencją zmniejszył sukcesywnie swój nakład, a powiększał zwroty.

Bez pozytywnej wizji świata ludzie tracą poczucie sensu życia i wolę budowania.

Najwyższa już pora, by nie zapominając o błędach i nieprawościach starego systemu, skoncentrować się wreszcie na budowaniu spójnego programu i realiów nowego ładu społeczno-gospodarczego i etycznego suwerennej, demokratycznej Polski, ojczyzny wszystkich Polaków. To nie jest gładki slogan, ale stwierdzenie konieczności historycznej. Czy zdajemy sobie jednak sprawę ze zwyczajnych, codziennych implikacji idei państwa obywatelskiego, obejmującej m.in. kwestię szeroko pojmowanej tolerancji?

Rozpadła się też firma lubelska, która wykonała skład i blachy do druku dwóch pierwszych numerów kwartalnika. Nie martwimy się z tego powodu.

Kondycja ekonomiczna „Kamenu” jest niezła, ale za sprawą odgórnej mądrości. Nie wykluczając jednak, że w takim kociołku z darowaną zupką może nagle pokazać się dno, powołujemy oto fundację „Kamenu” — w interesie pisma i całej kultury ziemi chełmskiej. Wierzymy, że nasze intencje znajdą zrozumienie w samorządzie terytorialnym, wśród właścicieli prywatnych zakładów usługowych i produkcyjnych, u robotników fabryk miejscowych, u rolników, wreszcie u inteligencji różnie usytuowanej zawodowo, której przodkowie powołali przecież do życia „Kamenę” — w 1933 roku!

Czy to pismo, tak mocno związane z tradycją Chełma, nie jest naszą wspólną sprawą, naszym zbiorowym zadaniem?

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI

# DRAMAT POGRANICZA

JAN LEWANDOWSKI

Przez ponad pół wieku Chełm, Chełmszczyzna i „sprawa chełmska” z mniejszym lub większym nasileniem przewijały się przez strony gazet, polemicznych broszur i rozpraw. Odnotowywano je też uważnie w kancelariach i gabinetach policyjnych, wojskowych, administracyjnych i dyplomatycznych różnych szczebli. Mniej lub bardziej tajne dokumenty w tej sprawie wystawiano nie tylko w Chełmie, Lublinie, Siedlcach i Warszawie, ale także w Petersburgu, Wiedniu, Lwowie, Berlinie, Rzymie i Londynie. Opracowania i dokumenty publikowano w językach polskim, rosyjskim i ukraińskim, ale także w niemieckim, francuskim i angielskim.

„Młyny historii”, zazwyczaj „mieląc powoli”, w tym miejscu i w tym czasie zaczęły działać w sposób przyspieszony, zaś ziarno, a i plewy jakie w nie sypano były tak różnej proveniencji i jakości, że rezultat jaki uzyskano był nieoczekiwany i zaskakujący. Ale też na tym obszarze zderzyły się ze szczególną ostrością tendencje i dążenia typowe dla półwiecza poprzedzającego rok 1918. Masy chłopskie, do uwłaszczenia bierne politycznie i narodowo, stawały się narodem, stopniowo uświadamiając sobie przynależność do wspólnoty języka, religii, kultury, państwa wreszcie, jeżeli to państwo miało własny, swojski językowo i religijnie charakter. Był to proces długotrwały i złożony nawet tam, gdzie ludność chłopska była jednolita pod względem językowym i wyznaniowym. A jeżeli ta ludność była zróżnicowana pod jednym i drugim względem? A jeżeli państwo miało obcy charakter? A jeżeli usiłowało narzucić własny, obcy język i wyznanie? To „a jeżeli” można jeszcze w odniesieniu do sprawy chełmskiej mnożyć. Bo też tutaj właśnie doszło do dramatycznego i drastycznego zderzenia agresywnego rosyjskiego nacjonalizmu, dysponującego całym aparatem państwowym imperium carów, z polskimi dążeniami narodowymi, broniącymi polskiego, historycznego stanu posiadania i wreszcie, zwłaszcza w końcowej fazie, z ukraińskim ruchem narodowym, szukającym także na tym terenie swoich ziomeków.

Konflikt nie zamykał się tylko w „trójkacie” polsko-rosyjsko-ukraińskim. Problem był wszak także religijnej natury, zatem swój udział miał i Watykan. W roku 1915 ziemie, o których mowa, znalazły się pod okupacją niemiecką i austriacką i dwaj pozostali zaborcy stali się również stronami w sprawie chełmskiej, usiłując rozgrywać ją we własnym interesie i komplikując i tak już złożoną sytuację. Listę uczestników można by jeszcze kontynuować, ale najwyższy już chyba czas przejść do konkretów.

## II

W 1839 r. władze carskie zlikwidowały w Cesarstwie Rosyjskim, na dawnych ziemiach Rzeczypospolitej, obrządek greckokatolicki (unicki), zapoczątkowany unią brzeską w 1596 r. Oficjalnie ogłoszono, że byli unicy wrócili dobrowolnie na łono cerkwi prawosławnej, od której to „siłą i podstępem” odłączono ich w czasach Rzeczypospolitej, zmuszając dodatkowo do wprowadzenia do swego obrządku „polonizmów” i „lacinizmów”.

Po 1839 r. pod carskim panowaniem ostala się tylko jedna diecezja greckokatolicka. Było to biskupstwo chełmskie, któremu podlegały parafie i wierni na terenie Królestwa Polskie, ściślej w jego wschodniej części, jak to ilustruje tabela z roku 1866.

Ludność i duchowieństwo diecezji chełmskiej w roku 1866

L.p.	Dekanat	Parafie	Ludność	Księża
1	Augustowski	10	9482	7
2	Biański	14	11883	10
3	Chełmski	15	8489	17
4	Dubieniecki	12	6747	10
5	Grabowiecki	10	6093	7
6	Horodelski	9	6813	7
7	Hrubieszowski	18	16739	16
8	Kodeński	15	15349	11
9	Krasnostawski	11	7030	8
10	Lubelski	13	7846	6
11	Łosicki	10	11602	7
12	Międzyrzeczki	14	13749	12
13	Parczewski	10	8893	5
14	Sokołowski	14	4786	6
15	Szczebrzeski	13	9466	12
16	Tarnogrodzki	11	14601	10
17	Tomaszowski	8	6737	7
18	Tyszowiecki	17	15270	15
19	Wisznicki	12	15154	11
20	Włodawski	22	27714	21
21	Zamojski	9	6747	9
Diecezja chełmska		267	230843	214

Większość parafii i wyznawców znajdowała się w ówczesnej guberni lubelskiej (147) i siedleckiej (109). Na terenie obu tych guberni była to mniejszość, której udział procentowy w zaludnieniu tego obszaru spadał. W guberni lubelskiej wynosił on w roku 1840—23,4 % ludności guberni, w 1868—18,5 %, a w 1873—18,0 %. Te liczby, a także inne fakty wskazują na postępującą polonizację ludności greckokatolickiej, wyrażającą się m.in. przechodzeniem na obrządek łaciński, który wówczas w Królestwie był równoznaczny z polskością.

Położenie geograficzne diecezji chełmskiej przesądziło o tym, że zdecydowaną większość ludność unickiej stanowili chłopi. W miastach mieszkało niewiele ponad 10 % ogółu tej ludności, a byli to w zasadzie mieszkańcy małych miasteczek, przeważnie utrzymujący się z rolnictwa. Szlachty i inteligencji w obrządku greckokatolickiego, jeśli nie liczyć kleru, nie było w diecezji prawie zupełnie.

Pod względem językowym ludność unicka nie była jednolita. Emil Bańkowski, ksiądz greckokatolicki, pisał: „Ludność unicka Królestwa w miastach mówi tylko po polsku, także we wsiach dekanatów: krasnostawskiego, szczebrzeskiego, tarnogrodzkiego, lubelskiego, międzyrzecznego i losickiego po większej części mówi polskim czystym książkowym językiem, w dekanatach zaś sokołowskim i augustowskim nie rozumie wcale po rusku, mówi po polsku z mazurskim syczeniem (...) Unicy mówiący po rusku różnią się ubiorem (...). Mówiący po polsku nazywają mówiących po rusku Litwinami, siebie zaś Podlasiakami”.

Podstawową masę unickiego kleru stanowiło świeckie duchowieństwo parafialne. Większość księży przygotowanie do stanu kapłańskiego zdobywała w czasie czteroletniej nauki w chełmskim seminarium duchownym, do którego przyjmowano kandydatów z ukończoną czwartą klasą gimnazjalną. Przedmioty teologiczne wykładano alumnom po łacinie, pozostałe zaś po polsku. Do przedmiotów nauczania należały też języki: starosłowiański i rosyjski.

Księża posiadający wykształcenie wyższe niż seminaryjne stanowili w diecezji nieliczną grupę i zajmowali główne stanowiska w kapitule, konsystorzu i seminarium. Byli to na ogół członkowie nielicznego, ale wykształconego i wypływowego w diecezji zakonu bazylikańskiego. Profesja duchownego była wśród księży diecezjalnych na ogół dziedziczna. To, a także wzajemne powiązania przez małżeństwa, sprawiło, że duchowni ci stanowili grupę zwartą, ale nieco wyizolowaną ze społeczeństwa.

Polskie otoczenie w jakim znajdowała się diecezja chełmska, a także duże podobieństwa w ceremoniale obu obrządków katolickich, łacińskiego i greckiego, powodowały szybkie polonizowanie się, zarówno duchowieństwa, jak ludności unickiej. W cerkwiach, poza liturgicznym językiem starosłowiańskim, używany był język polski jako powszechnie zrozumiały dla ludności. Unicy księża zewnętrznie nie różnili się od „łacińskich”, nosili takie same sutanny, golili zarost, biegle mówili po polsku, słaba była natomiast wśród nich znajomość języka rosyjskiego. Znaczna ich część, zwłaszcza wyżsi duchowni, uważała się za Polaków, czemu dała dobitny wyraz szczególnie w latach powstania styczniowego.

Procesem polonizacyjnym sprzyjało bezpośrednie sąsiedztwo ludności unickiej z ludnością polską obrządku łacińskiego. Różnica obrządków wewnątrz tego samego wyznania katolickiego nie stanowiła przeszkody do zawierania mieszanych małżeństw, czy też udzielania posług religijnych wiernym obu obrządków. parafie unickie przenikały się z łacińskimi.

Po likwidacji unii w Cesarstwie władze carskie podjęły kroki w kierunku „oczyszczenia” obrządku grekokatolickiego w Królestwie od „łacinizmów” i „polonizmów”. Sprawą unitów chełmskich interesował się sam Mikołaj I. Kiedy papież Grzegorz XVI potępił w specjalnej allokucji byłych biskupów unickich w Cesarstwie, którzy w 1839 r. przyjęli prawosławie, car pisał do namiestnika Królestwa, Paskiewicza: „*Lękam się ażeby ona (allokucja — JL) nie opóźniła na długo połączenia unitów w Polsce. Lecz nie powinno to*

*w najmniejszym stopniu przeszkadzać nam postępować wobec nich z tą samą wytrwałością, która doprowadziła sprawę w Rosji do tak pomyślnego wyniku. Napisz mi co robi biskup chełmski i jakie wrażenie wywarła na nim oraz na jego duchowieństwie allokucja papieska”.*

Intencje władz, aczkolwiek starannie ukrywane za parawanem „przywracania pierwotnej czystości” obrządku, musiały być czytelne dla części ludności, bowiem władze odnotowały w latach czterdziestych wzmoczone przechodzenie unitów na obrządek łaciński.

### III

Po stłumieniu powstania styczniowego, w popowstaniowej atmosferze represji i rusyfikacji, władze podjęły ponownie sprawę chełmską, posługując się tym razem całym repertuarem środków stojących do dyspozycji caratu w sterroryzowanym Królestwie.

W połowie 1864 r. sprawy unickie wyłączono z Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, a podporządkowano Komisji Spraw Wewnętrznych. Jej dyrektorem był książę Włodzimierz Czerkasski, autor pierwszego projektu utworzenia z terenów zamieszkałych przez grekokatolików gubernii chełmskiej. Ta nowa jednostka administracyjna, jako obejmująca „istotnie rosyjski kraj”, miałaby zostać wyłączona z Królestwa Polskiego i znaleźć się w granicach Cesarstwa.

Kiedy w ramach likwidacji odrębności Królestwa zniesiono Komisję Rządową Spraw Wewnętrznych, sprawy unickie podporządkowano petersburskiemu Ministerstwu Oświecenia Publicznego, którym kierował znany z antypolskich i reakcyjnych posunięć hr. Dymitr Tolstoj. Wreszcie w grudniu 1874 r. sprawy unickie znalazły się w gestii rosyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Ukazy i poczynania władz carskich doprowadziły do zmian w składzie duchowieństwa unickiego i ograniczenia władzy biskupa na rzecz konsystorza, obsadzonego przez duchownych uległych wobec władz. Specjalny ukaz z 1866 r. znosił w praktyce chełmską kapitułę katedralną, likwidował jurysdykcję biskupa nad duchowieństwem parafialnym, wprowadzając właściwy cerkwi prawosławnej konsystorski zarząd diecezjalny.

Działalność biskupa sufragana Jana Kalińskiego, sprawującego od 1863 r. funkcję administratora diecezji chełmskiej, była ograniczona także w inny sposób. Władze państwowe uniemożliwiły mu konsekrację na biskupa ordynariusza, tak że do końca swoich rządów diecezją pozostał biskupem nominatem, nie posiadającym wszystkich uprawnień biskupich. Oslabiło to jego pozycję zarówno wobec władz, jak podległego mu duchowieństwa. Wstrzymano mu pensję biskupią, a kiedy mimo to sędziwy biskup (w momencie nominacji, w 1863 r.: „*proboszcz malej wiejskiej parafii, mało znany, a przy tym słabego zdrowia, mający około 60 lat, obarczony liczną rodziną, składającą się z trzynaścioro dzieci, w tej liczbie pięciu księży*”) nadal sprzeciwiał się wprowadzeniu w diecezji zmian liturgicznych i językowych, został 23 września 1866 r. aresztowany w pałacu biskupim w Chełmie. Wywieziony do Cesarstwa, do Wiatki, zmarł tam 19 października tego samego roku.

Zarząd diecezjalny przekazały władze państwowe kanonikowi Józefowi Wójcickiemu, jako przewodniczącemu konsystorza. Duchowny ten już wcześniej, zwłaszcza w czasie powstania, dał się poznać jako gorliwy wykonawca poleceń władz rosyjskich. natychmiast też po objęciu rządów diecezjalną potępił usuniętego biskupa za udział w powstaniu i opór wobec żądań władz. zarządził też wprowadzenie daleko idących zmian liturgicznych, do czego zresztą, podobnie jak do administrowania diecezją, w myśl prawa kanonicznego nie miał żadnych uprawnień.

Opór duchowieństwa i ludności wobec wprowadzanych siłą zmian i potępienie przez papieża w 1867 r. encykliką „*Levate*” działalności Wójcickiego jako bezprawnej, spowodowały, że władze carskie podjęły próbę porozumienia z papieństwem co do kanonicznej obsady biskupstwa chełmskiego. Wynikiem rozmów prowadzonych w Wiedniu między nuncjuszem papieskim a ambasadorem rosyjskim była kandydatura księdza Michała Kuzińskiego, prałata kapituły lwowskiej, wikariusza generalnego i oficjela unickiej archidiecezji lwowskiej. Kuziński był znany władzom rosyjskim jako czołowa



W 1680 roku doszło do napadu niektórych mieszczan chełmskich, nie uznających unii, na czeladź biskupa unickiego Jakuba Suszy

postać ukraińskich, antypolsko a prorosyjsko nastawionych stowarzyszeń działających w Galicji, a zwłaszcza grupy „Świętojurców”. Działalność na tym polu przesądziła prawdopodobnie o jego nimiracji do Chelma.

25 sierpnia 1868 r., jako konsekrowany biskup ordynariusz, objął Kuziemski rządzący w diecezji. Był zdecydowany usunąć z cerkwi unickich wszystkie „polonizmy” i „lacinizmy”, jednak nie godził się, a przynajmniej zalecał powolną działalność w sprawach takiej reformy obrządku greckokatolickiego, która zatarałaby całkowicie różnice między unią a prawosławiem. Tym też można tłumaczyć jego opór wobec nacisku władz, zmierzających do realizacji swoich ostatecznych celów w możliwie najkrótszym czasie. Takie postępowanie ściągnęło na niego niechęć władz, które zaczęły mu utrudniać kierowania sprawami diecezji. Zniechęcony i zastraszony postawą rządu Kuziemski wysłał 20 stycznia 1871 r. do Ministerstwa Oświecenia w Petersburgu list, w którym określał ostateczne granice swoich ustępstw wobec nalegań władz i prosił o dymisję. Zwolniony (bez zgody Watykanu) z zarządu diecezji chełmskiej w marcu 1871 r. wyjechał do Lwowa.

Administratorem diecezji został wyznaczony przez rząd ksiądz Marceli Popiel. Duchowny ten pochodził z Galicji, a do Chelma przybył w 1867 r. Energiczny, oddany realizacji planów rządowych, cieszył się zaufaniem władz, które jeszcze za czasów Kuziemskiego próbowały uzyskać od papieża prekonizację Popiela na biskupa sufragana chełmskiego. Nowy administrator był zdecydowany doprowadzić do końca akcję połączenia unii z prawosławiem.

Zmiany dokonywane przez rząd na stanowisku zarządzającego diecezją miały na celu postawienie na jej czele takiego duchownego, który potrafiłby sprawnie przeprowadzić akcję „oczyszczania” unii, czyli usunąć zewnętrzne różnice między obrządkiem greckokatolickim a prawosławiem. Sprowadzono do zastąpienia języka polskiego w kazaniach i modlitwach językiem rosyjskim, do zakazu odprawiania cichych mszy, litanii, różańców, suplikacji i zastąpienia ich nabożeństwami prawosławnymi, wreszcie do usunięcia z cerkwi unickich organów, zakazu używania dzwonków we mszach i wprowadzenia zreformowanych na sposób prawosławny mszałów.

Kuziemski i Popiel nie byli jedynymi duchownymi sprowadzonymi z Galicji. W roku 1873 na sześciu członków konsystorza diecezjalnego czterech pochodziło z Galicji. Rok później w samej tylko guberni lubelskiej było już 48 księży z Galicji, mimo, że większość z nich kierowano do guberni siedleckiej. Przybyłszy z Galicji obsadzono konsystorz i seminarium, do którego sprowadzono też alumnów z diecezji galicyjskich. Ukaz carski z roku 1871 stosował wobec tych duchownych z Galicji, którzy przyjęli obywatelstwo rosyjskie, przepisy ustawy z 1867 r. o przywilejach urzędników rosyjskiego pochodzenia, służących w guberniach Królestwa Polskiego.

Przybywszy z Galicji zastępowali „opornych” duchownych miejscowych. Spośród 214 księży, którzy w 1866 r. piastowali stanowiska proboszczów, na prawosławie w roku 1875 przeszło 59, 37 uciekło do Galicji, a 33 wobec odmowy przyjęcia prawosławia deportowano do Rosji, bądź pozostawiono pod nadzorem policyjnym w Królestwie. Późniejsze zestawienie „Kapłanów (...) którzy, nie przyjąwszy prawosławia, byli internowani w Królestwie Polskim albo w Rosji bez utrzymania i pod nadzorem policji” — obejmuje 74 księży, a „Spis kapłanów diecezji chełmskiej, którzy nie przyjąwszy prawosławia emigrowali do Galicji” — 66 duchownych. Wiele nazwisk powtarza się — jest więc czterech synów biskupa Kalińskiego — Henryk, Leon, Ludwik i Walerian, sześciu Zatkalików — Aleksander, Antoni, Jakub, Ludwik, Seweryn i Władysław i pięciu Malczyńskich: Edward, Julian — proboszcz z Wiszniowa, Julian — proboszcz z Peresolowic, Mikołaj i Paweł.

„Oczyszczaniu” unii towarzyszyły represje wobec kościoła katolickiego (obrzędki lacińskiego) w Królestwie. M.in. w roku 1867 zlikwidowano diecezję podlaską, którą przyłączono do lubelskiej. W tym samym roku podporządkowano całą rzymskokatolicką hierarchię duchowną Królestwa mianowanemu przez cara Kolegium Rzymskokatolickiemu w Petersburgu. Pius IX w encyklice *Levate* potępił tę instytucję i zakazał biskupom wysyłania do niej swoich przedstawicieli. Konflikty na tym tle między rządem a episkopatem spowodowały, że władze zsyłały w głąb Rosji nawet biskupów

lojalnych wobec rządu w innych sprawach. Duchowieństwo katolickie poddano stałej inwigilacji. Narastające, od powstania styczniowego, napięcie w stosunkach między Rzymem, a Petersburgiem doprowadziło w 1867 r. do zerwania przez Rosję konkordatu z 1847 r. Carat zyskiwał wolną rękę w polityce wyznaniowej wobec ziem polskich.

Polityka władz carskich wobec unii posiadała też wsparcie finansowe. Poważne środki przeznaczyły władze na remonty i budowę nowych cerkwi unickich oraz na elementarne i średnie szkolnictwo dla unitów z rosyjskim językiem wykładowym. Na terenach unickich zlikwidowano wiele parafii lacińskich, przejmując wiele kościołów na rzecz unii, a po 1875 r. prawosławia. Były to m.in. zespoły klasztorne w Janowie Podlaskim i Radeczniczy, parafie w Łosicach, Leśnej Podlaskiej, Bordziłówce, Huszycy, Kodniu, Piszczacu, Łomazach, Rossoszy, Pratulinie, Terespolu, Sławatyczach, Ostrówkach, Wohyniu, Paprotnej, Niecieczy, Wirowie, Opolu (kolo Sosnowicy) i Orchówku.

Po takim przygotowaniu gruntu władze podjęły, po raz drugi (poprzednio za rządów Wójcickiego) zdecydowaną akcję przeciw unii. 5 (17) czerwca 1873 r. na rozkaz Aleksandra II odbyło się w Petersburgu posiedzenie specjalnego komitetu pod przewodnictwem namiestnika królestwa hr. Teodora Berga. Komitet stanowili: minister spraw wewnętrznych hr. Szuwałow, minister Oświaty i jednocześnie oberprokurator Świętego Synodu hr. Dymitr Tołstoj, gubernatorowie z Lublina i Siedlec i ks. Marceli Popiel. Wobec wrzenia na terenach unickich przewidywano aresztowanie i karanie przywódców rozruchów wśród ludności, natomiast duchowni oporni wobec wprowadzanych zmian liturgicznych mieli być zsyłani poza granice Królestwa. Decyzje komitetu uzyskiwały aprobatę Aleksandra II.

2 (14) października 1873 r. wyszedł list konsystorza diecezji chełmskiej, w którym jako ostateczny termin zaprowadzenia prawosławnego rytuału wyznaczono 1 stycznia 1874 r. List ten zapoczątk-



W roku 1760 z inicjatywy biskupa unickiego Maksymiliana Ryły powstało w Chelmie unickie seminarium duchowne

kował następną fazę represji. Pozbawiając wpływu na ludność unicką duchownych miejscowych — „opornych”, władze przysyłały na ich miejsce księży z Galicji. Wówczas jednakże napotymano opór wiernych — równie niechętnych zmianom, co ich nosicielom.

Szczytowym momentem prześladowań z lat 1874—1875 były rzezie w Drelowie i Pratulinie. W Drelowie chłopci usunęli z cerkwi 12 stycznia 1874 r. duchownego, który odprawiał nabożeństwo według „oczyszczonego” rytuału. Pięć dni później przybyła do Drelowa sotnia kozaków i dwie rotę piechoty. Wieś, uzbrojona w kije, kolki i kamienie broniła dostępu do cerkwi mimo szturm wojska i użycia broni. Według oficjalnego raportu zabito wówczas 10 osób, według źródeł polskich — 18. Kilkadziesiąt osób było rannych, kilkadziesiąt znalazło się w więzieniach w Siedlcach, Białej i Radzynie.

Opór ludności podtrzymywała przemocą z Galicji i krążącą potajemnie encyklika Piusa IX do biskupów unickich w Galicji, w której papież postąpił Popiela jako bezprawnego, z punktu widzenia prawa kościelnego, administratora diecezji, jego zarządzenia uznał za niebyłe i pochwałal opór ludności unickiej.

Próby odwołania się do „dobrego cara” pozostały bez skutku. W czerwcu 1874 r. Aleksander II, w czasie pobytu w Warszawie oświadczył wprost, że jego życzeniem jest, aby ludność „starych ruskich ziem” wyznawała tę samą religię, co jej monarcha.

Opór unitów, zwłaszcza na Podlasiu, wzmógł się jeszcze jesienią 1874 r. Rozruchy rozpoczęły się we Włodawie i Różance. Chłopi zmusili do ucieczki galicyjskich duchownych, zniszczyli im zabudowania i zajęli cerkwie. Władze wysłały oddziały wojskowe z Łęcznej i Lublina. Nie zspobiegło to rozszerzaniu się rozruchów na sąsiednie powiaty. Żądano przywrócenia starej liturgii i odwołania duchownych przysłanych w ostatnim okresie przez konsystorz. Chłopi lekceważyli zakazy policyjne i przystąpili do usuwania z parafii prorządowych księży, a nawet do „przebudowy” cerkwi, czyli do usuwania zmian wprowadzonych w ich wnętrzu. Miejscowa administracja okazała się całkowicie bezradna. odwołano się do środków ostatecznych. General-gubernator warszawski skierował do powiatów bialskiego i włodawskiego wojsko na kwatery. Konsul angielski w Warszawie, Wiliam Rose Mansfield donosił 18 listopada 1874 r. o osadzeniu około 200 osób z Podlasia (w tym kobiet i dzieci) w Cytadeli w Warszawie i o ucieczce ludności do okolicznych lasów.

Kolejna faza represji, do końca 1874 r., wiązała się już z bezpośrednim naciskiem wobec ludności, mającym na celu zmuszenie jej do „dobrowolnego” przyjęcia prawosławia. Na Podlasiu oddziały wojskowe obchodziły najbardziej odporne parafie i kontrybucjami, biciem i więzieniem, a także obietnicami „skłaniały” do podpisu na prawosławie. Chłopów uważanych za przywódców oporu brano do więzienia, a stąd, po kilku miesiącach, zwykle zsyłano w głąb Ciesastwa. W 1875 r. wysłano do Rosji z więzienia w Siedlcach 140 włościan, a z więzienia w Białej — 130. W roku 1876 tylko w guberniach: jekaterynosławskiej i chersońskiej znajdowało się — według danych angielskich — około 600 włościan z Podlasia.

Jednocześnie z akcją wymuszania „dobrowolnych” petycji ze strony poszczególnych parafii władze od początku 1875 r. organizowały tzw. konferencje dekanalne (soborczyki) duchowieństwa parafialnego. Na kongregacjach wymuszano na tych duchownych, którzy jeszcze się opierali, podpisy pod petycją o przyjęcie ich i ich parafii do prawosławia.

Na podstawie przeprowadzonych w taki sposób kongregacji oraz pojedynczych aktów połączenia parafii unickich z wyznaniem panującym, na posiedzeniu duchowieństwa katedralnego (sobornego) i konsystorza, które odbyło się 18 lutego (2 marca) 1875 r. pod przewodnictwem Marcelgo Popiela, jako administratora diecezji, uchwalono „Akt katedralnego duchowieństwa chelmskiego” o połączeniu diecezji chelmskiej z cerkwią prawosławną Cesarstwa. Delegacja duchowieństwa chelmskiego przedłożyła „Akt” wraz z prośbą o przyjęcie do prawosławia cesarzowi na audiencji w Petersburgu 25 marca (6 kwietnia) 1875 r. Cesarz zatwierdził „Akt”, a Święty Synod Prawosławny dokonał urzędowego połączenia diecezji chelmskiej z wyznaniem panującym. Oficjalne raporty rosyjskie donosiły, że przez cały kwiecień i maj ludność unicka obiegła cerkwie, prosząc o przyjęcie do prawosławia.



Felician Filip Wołodkowicz, unicki biskup chelmski w latach 1730-1756. Zmarł w roku 1778, pochowany w katedrze włodzimierskiej

#### IV

Forma likwidacji unii w 1875 r. nie oznaczała wcale zakończenia sprawy chelmskiej. Ponad ćwierć miliona byłych unitów wpisano do rejestrów wyznania panującego, co oznaczało, że nie mogą oni prawosławia porzucić. Przejście z prawosławia na inne wyznania było bowiem nieważne i karane.

Lata 1875—1905 to dalszy ciąg prześladowań religijnych na terenach unickich, chciałoby się powiedzieć — „wojny religijnej” w końcu XIX stulecia, wieku nie tylko tolerancji religijnej, ale i swobód demokratycznych w zachodniej części Europy, legalnych partii socjalistycznych i ludowych, powszechnego prawa wyborczego i powszechnej oświaty. Jeśli określenie „wojna” nie jest adekwatne do tego, co działo się na obszarze dawnej diecezji chelmskiej, to ze względu na rażącą dysproporcję sił. Z jednej strony garstka prostych, pozostawionych na ogół samym sobie chłopów, z drugiej — olbrzymi aparat państwowy światowego imperium, sprawującego bezwzględne rządy w podbitym kraju. A jednak do końca rosyjskich rządów na tym terenie (1915 r.) „sprawa chelmska”, sprawa „istotno ruskiej” ziemi, określanej też jako „Cholmskaja Ruś” lub „Cholmskoje Zabuże”, absorbowwała najwyższe kręgi państwowe imperium.

Mimo kar, represji i szykan opór części byłych unitów, zwłaszcza na Podlasiu, trwał. „Oporni” nie uczęszczali do prawosławnych cerkwi, nie chrzcili w nich dzieci, nie zawierali małżeństw. Pociągalo to skutki prawne, bowiem akta parafialne były jednocześnie aktami stanu cywilnego. Nieochrzczeni w cerkwi urzędowo nie istnieli, związki małżeńskie nie miały mocy prawnej — żona nie mogła dziedziczyć po mężu, dzieci po ojcu. Przekradano się do Galicji, aby

tam przyjmować chrzest lub brać ślub, ale władze nie uznawały „krakowskich” metryk.

Opór i represje władz prowadziły nieraz do tragedii, do zdarzeń wręcz nieprawdopodobnych, gdyby nie były wielokrotnie potwierdzone. Zdarzały się sytuacje, że przy łożu śmiertelnie chorego „opornego” stawiano strażnika ziemskiego (policjanta), który miał dopilnować, aby zmarłego pochowano na cmentarzu prawosławnym z należnym mu cerkiewnym pogrzebem. Wobec tego rodziny „opornych” starały się ukryć fakt choroby i śmierci, a zmarłych pogrzebać po kryjomu w polu lub w lesie, w miejscu znanym tylko rodzinie, bowiem zdarzały się przypadki, że władze kazały wykopać trumnę, aby ją z całą prawosławną oprawą pochować na cmentarzu. Dziś jeszcze, choć już coraz rzadziej, można spotkać na Podlasiu stare, stojące w nieoczekiwanych miejscach, drewniane krzyże. Tak później oznaczano groby „opornych”.

24 grudnia 1882 r. podpisany został konkordat między Watykanem a Cesarstwem Rosyjskim. W jego tekście nie było ani słowa o byłych unitach. Ci zaś niejednokrotnie dawali wyraz swemu przywiązaniu do katolicyzmu. W 1881 r. po zmianie na tronie rosyjskim odmawiali składania przysięgi na wierność nowemu carowi, Aleksandrowi III, w cerkwiach prawosławnych, przysięgając w kościołach katolickich. Kiedy w roku 1883 wysłannik Leona XIII, arcybiskup Vanutelli, jechał do Moskwy na uroczystości koronacyjne, „w Siedlcach — pisze francuski historyk stosunków między Stolicą Świętą a Rosją, jezuita o. Adrien Boudou — w sercu unii, jakaś kobieta przedarła się przez kordon żołnierzy, powstrzymujący napór tłum, wyrwała się z rąk tych, którzy chcieli ją powstrzymać i rzuciła się z płaczem do nóg ambasadora, wołając: «Oto dwanaście lat, jak nie możemy otrzymywać sakramentów świętych. Ratuj nas!» (...). W Łukowie jakaś pani rozmawiając z jednym z audytorów Msrem Della Volpe, rzekła mu: «Jakże smutne nasze położenie! Nie możemy nawet chrzczyć naszych dzieci!» Pralat próbował ją pocieszyć, zalecając cierpliwość. «Cierpliwość! Cierpliwość!», powtórzyła i wybuchnęła płaczem”.

20 kwietnia 1877 r. ks. Feliks Laudowicz, duchowny z Wielkopolski, zmagającej się z bismarckowskim Kulturkampfem, w cywilnym przebraniu przekroczył granicę imperium rosyjskiego, jako misjonarz dla unitów Podlasia, gdzie przebywał do 31 maja tego roku.

25 marca 1878 r. o. Henryk Jankowski rozpoczął działalność misji podlaskiej, prowadzonej przez jezuitów z Galicji. 2 kwietnia został aresztowany w Radzynie, a 4 kwietnia znalazł się w więzieniu w Siedlcach, skąd po dziewiętnastomiesięcznym śledztwie wydano go w listopadzie 1879 r. do Krakowa. Nie oznaczało to całkowitego niepowodzenia jego misji. „Zaledwie bowiem został uwieczony — pisze Boudou — rozeszła się wśród unitów po całym Podlasiu wieść, że sam Ojciec Święty przysłał go, co wielką pociechę napelnilo dusze opornych. Co więcej, z biegiem czasu, udało mu się wejść w porozumienie z dozorcami więziennymi: w czasie dziewiętnastu miesięcy jego pobytu wielu unitów przeszło przez więzienie w Siedlcach, odsiadując karę za zbrodnie upartej wstrętu do obrządków Kościoła prawosławnego. Misjonarzowi udało się wyświadczyć wielu z nich; mógł nawet udzielić Komunii św. i ochrzcić nieco dzieci”.

Od końca XIX w. rozwijający się polski ruch narodowodemokratyczny rozpoczął akcję pomocy unitom.

W roku 1897 odbywał się pierwszy w Cesarstwie Rosyjskim spis powszechny. Ale nie dostarczył danych on o liczbie „opornych”, ich wyznaniu i języku. Na terenach unickich urzędnicy przeprowadzający spis sami określali język i wyznanie spisywanych. W rubrykach spisowych nie uwzględniano języka ukraińskiego.

## V

Trzeba było potężnego wstrząsu w całym imperium, aby sytuacja „opornych” uległa zmianie. Pokonany i upokorzony w wojnie z Japonią, trawiony rewolucją od Wisły do Oceanu Spokojnego, 17 (30) kwietnia 1905 r. Mikołaj II wydał ukaz tolerancyjny, zezwalający na przechodzenie z prawosławia na inne wyznania. Dla



Unicki biskup chełmski Porfiry Skarbak Ważyński

„prawosławnych” w gubernii lubelskiej i siedleckiej oznaczało to możliwość przechodzenia na katolicyzm w obrządku łacińskim — unii w Królestwie nie przywrócono.

Lata 1905—1906 to masowe porzucanie prawosławia przez byłych unitów, to klęska panującego wyznania i całej blisko półwiekowej polityki władz carskich, mającej na celu „przywrócenie” prawosławiu i narodowości rosyjskiej chełmskich unitów. Powiększała się liczba prawosławnych parafii bez wiernych, a jednocześnie podróż pasterska biskupa lubelskiego Jaczewskiego po terenach unickich to jeden wielki triumf, któremu towarzyszyły bramy powitalne, chłopskie banderki i uniesienie tysięcy wiernych, w tym zwłaszcza tych świeżo wpisywanych do parafii katolickich. Na terenie byłej diecezji chełmskiej prawosławie porzuciło 150—200 tys. osób, czyli prawie połowa ludności wywodzącej się z rodzin byłych grekokatolików. Przejście na katolicyzm miało też charakter deklaracji narodowej.

Rewolucja 1905—1907 r. ożywiła się nie tylko ruchy narodowyzwoleńcze, ale także czarnoseciny nacjonalizm wielkorusyjski, stanowiący podstawę porewolucyjnej reakcji. Jeszcze w czasie rewolucji rosyjskie koła nacjonalistyczne, reprezentowane w petersburskiej Dumie Państwowej, podjęły sprawę wydzielenia Chełmszczyzny z Królestwa Polskiego i włączenia w postaci odrębnej gubernii do Cesarstwa. Już w kwietniu 1905 r. Rada Ministrów zleciła Ministerstwu Spraw Wewnętrznych przygotowanie projektu utworzenia gubernii chełmskiej. Projekt ustawy „O wydzieleniu ze składu gubernii Królestwa Polskiego części gubernii lubelskiej i siedleckiej i utworzenia z nich oddzielnej gubernii chełmskiej” został przedstawiony Dumie w listopadzie 1911 r. Po burzliwej, kilkumiesięcznej dyskusji, do której zapisało się 107 mówców, uchwalono projekt w kwietniu 1912 r. Konfirmacja cara (Był po siemu) z 28 czerwca (10 lipca) tego roku zamknęła sprawę.

Podjęcie sprawy chełmskiej wywołało kolejną falę publikacji, polemik, wreszcie manifestacji i protestów. Nawet według danych rosyjskich ludność katolicka była największą grupą wyznaniową na



terenie nowej guberni, obejmując 310 677 osób wobec 304 831 prawosławnych, 115 410 Żydów i 28 266 protestantów. Tendencyjność rosyjskiej statystyki udowodniał m.in. Henryk Wiercieński. Ponurą sławę zdobył prawosławny biskup chełmski Eulogiusz, jako bojownik państwowego rosyjskiego nacjonalizmu.

Sprawa chełmska, dobitne świadectwo antypolskiej, rusyfikatorskiej polityki caratu wobec Królestwa, poruszyła tym razem społeczność polską w Kongresówce i poza jej granicami.

Podjęmowano różne formy protestu. W lecie 1909 r. pod pozorem pielgrzymki odbył się w Częstochowie masowy zjazd chłopów z terenów unickich. W Warszawie w zjeździe ziemian z guberni siedleckiej wzięli udział przywódcy narodowodemokratyczni (Roman Dmowski) i konserwatywni (ks. Świątopelk-Czterwertyński). Przeciw oderwaniu Chełmszczyzny protestował, niezależnie od wewnętrznych podziałów, cały polski ruch robotniczy. Także za granicą rozlegały się głosy protestu czolowych powag ówczesnej nauki, m.in. profesora Sorbony, zwolennika zbliżenia polsko-rosyjskiego, Ernsta Denisa. Osobny problem to postawa wobec sprawy chełmskiej polityków ukraińskich.

1 stycznia 1913 r. Chełm stał się miastem gubernialnym. Nawet wybuch I wojny światowej nie zmienił antypolskiej postawy władz rosyjskich. Przeciwnie, zajęcie przez armie Mikołaja II Galicji Wschodniej stworzyło dla rosyjskich nacjonalistów okazję do zademonstrowania postawy carskiego imperium wobec ziem, na których nie tylko Polacy, ale i Ukraińcy cieszyli się pewnymi swobodami narodowymi. Najazd rosyjskich urzędników i prawosławnego duchowieństwa, „nawracającego” grekokatolików galicyjskich na prawosławie, nie pozostawiał złudzeń co do celów polityki rosyjskiej tak wobec Polaków, jak i Ukraińców, których odrębności narodowej carat nie uznawał, traktując ich jako malorosyjski szczep wielkiego narodu rosyjskiego. Zastanawiano się, czy zachodnie krańce „istotnie ruskiego” obszaru będą sięgać po Przemyśl, Tarnów, czy Kraków.

## VI

Lato 1915 r., to generalny odwrót wojsk carskich z ziem polskich. W lipcu i sierpniu tego roku opuściły one teren gubernii chełmskiej. Nie same. Wypędzono na wschód ludność, palono nie tylko lany dojrzewających zbóż, ale i opróżnione z ludności wsie. Na początku września 1915 r., w dwa miesiące po ewakuacji, krajobraz Chełmszczyzny porażał nawet ludzi przyzwyczajonych do widoku zniszczeń, pobojozisk i ruin.

*„Najokropniejsze wrażenie sprawia pustka naokoło: od Raciborowic (spalonych prawie zupełnie) aż do Moniatycz, na przestrzeni kilkunastu wiorst spotkaliśmy tylko jedną błąkającą się po zgliszczach kobietę, która wracała z targu w Hrubieszowie. Chałupy opuszczone z oknami bez szyb, odór rozkładających się trupów końskich i jak powiadają nawet ludzkich i biegnące po zgliszczach zdziczałe koty — jedyne żywe stworzenia, które tu zostały — szczer-niale i obsypujące się już zbożem na pniu (...). Dopiero w Moniatyczach zobaczyliśmy ogień w chatkach, usłyszeliśmy szczenie psów, które wydało nam się czymś bliskim, przyjacielskim po tej parogodzinnej podróży wśród królestwa śmierci. Hrubieszów nie zniszczony (...). Za Hrubieszowem znowu ten sam obraz zniszczenia, co i koło Moniatycz. Terebiń spalony doszczętnie, ocalała tylko cerkiew, ludzi nie ma: w ciągu całej drogi aż do Tyszowiec nie widzieliśmy ani jednej krowy, ani konia, ani kury.*

*(...) wszędzie po drogach spotyka się tabory wracających, przeważnie spod Kobrynia wygnanców — załadowane sprzętami domowymi, pierzynami i dziećmi, częstokroć chorymi na cholera i dezenterię, wozy ciągnięte przez ledwie idące szkapiny, często krowy, a czasem matki i ojcow (sprzężaj zarekwirowany), wygnanych przez armię «wielkiej Rosji» rodzin. Dążą ci ludzie do swojej ziemi, do swojej ojcowizny — zastając tam przeważnie tylko zgliszcz.*

Pozostało na tych zgliszczach około 50 % przedwojennej ludności, a w niektórych powiatach jeszcze mniej. Przedwojennej ludności prawosławnej zostało zaledwie około 20 %. Kim byli ci, którzy pozostali? Urzędnik austriackich władz okupacyjnych pisał w grudniu 1915 r., „że ani przed wojną, ani obecnie nie było i nie ma

*w powiecie (hrubieszowskim — JL) żadnych Ukraińców, rozumiających w sensie galicyjskim. Wielu spośród pozostałych na miejscu prawosławnych Rusinów przyjęło religię rzymskokatolicką (a nie grekokatolicką) i uznano się za Polaków. Galicyjski ukraińizm i kościół grekokatolicki jest dla miejscowych prawosławnych Rusinów bez wyjątku niesympatyczny”.*

Interesujące są dane, dotyczące „języka macierzystego” (Muttersprache) ludności prawosławnej, uzyskane w czasie spisu powszechnego przeprowadzonego przez okupacyjne władze austriackie w październiku 1916 r. W powiatach: chełmskim, hrubieszowskim, tomaszowskim i bilgorajskim na 22 670 prawosławnych język polski jako domowy podał 7 316 (32,3 %), rosyjski — 10 451 (46,1 %), ruski 4 900 (21,6 %), a 3 osoby — niemiecki.

Jesienią 1915 r. była gubernia chełmska, podobnie jak cała Kongresówka, została podzielona na dwie strefy okupacyjne, przy czym granicą była linia rozdzielająca powiat chełmski i włodawski. Chełm, Hrubieszów, Tomaszów i Bilgoraj znalazły się w strefie austriackiej, Włodawa, Biała, Radzyń i Siedlce — w niemieckiej.

Pierwsze posunięcia nowych władz ujawniły całą złożoność sytuacji, w jakiej przyszło im działać. Władze okupacyjne nie uznały utworzenia gubernii chełmskiej i pozostały przy podziale na powiaty i gminy z roku 1912. Jednocześnie, przypuszczalnie na wniosek polityków ukraińskich z Galicji, naczelna Komenda Armii, której podlegał austro-węgierski zarząd okupacyjny, poleciła publikowanie na tym terenie ogłoszeń i rozporządzeń w języku niemieckim, polskim i ukraińskim. Podobnie w sprawach szkolnych „na wschód od wschodniej granicy lubartowskiego, lubelskiego i janowskiego obwodu będzie na zarządzenie general-gubernatora używany język ukraiński, jako język wykładowy w tych publicznych szkołach, w których dzieci mające pobierać naukę, używają w swej większości języka ukraińskiego jako języka towarzyskiego”.

Wkrótce władze okupacyjne doszły do wniosku, że miejscowej ludności prawosławnej nie można indentyfikować z galicyjskimi Ukraińcami. Zaniechano języka ukraińskiego w ogłoszeniach. Także statystyka szkolna nie wykazywała szkół z ukraińskim językiem wykładowym.

Międzynarodowa „eksplozja” sprawy chełmskiej nastąpiła w lutym 1918 r., eksplozja wywołana kolejnym wtrąceniem tej zniszczonej i umęczonej ziemi w miazdzące tryby wielkiej polityki. Po zwycięstwie rewolucji październikowej w Rosji, Austro-Węgry, same zagrożone wewnętrznym rozkładem, podjęły, wraz z sojusznikami (Niemcy, Bułgaria i Turcja) rokowania pokojowe z delegacją Rosji Radzieckiej w Brześciu Litewskim. 9 lutego 1918 r. państwa centralne, nie mogąc narzucić delegacji rosyjskiej swych żądań terytorialnych, zawarły układ pokojowy z marionetkowym, całkowicie od nich zależnym rządem Republiki Ukraińskiej — Centralną Radą Ukraińską. Traktat przewidywał przekazanie państwu ukraińskiemu terenów na wschód od linii: Tarnogród—Bilgoraj—Szczep-rzeszyn—Krasnystaw—Puchaczów—Radzyń—Międzyrzec—Sarnaki—Mielnik.

Tym razem autorami „czwartego rozbioru Polski” — jak określano traktat brzeski — byli politycy niemieccy, zainteresowani ekspansją na Ukrainę. Jak pisał Janusz Pajewski, już wcześniej „powstał w łokach imperialistów niemieckich projekt utworzenia na ziemi chełmskiej «ukraińskiego Piemontu». Byłaby to niemiecka droga na Ukrainę, do utworzenia tam własnej strefy interesów, byłoby to okrojenie Królestwa od wschodu i wbicie klina pomiędzy naród polski i ukraiński.

Podczas rokowań brzeskich wytyczenie granicy omiędzy Polską a Ukrainą tak, aby Chełmszczyzna i część Podlasia przypadły stronie ukraińskiej przeprowadził dokładnie na mapie profesor geografii uniwersytetu berlińskiego Albert Penk (...).

Traktat z Ukrainą stanął w Brześciu 9 lutego 1918 r. w dniu, w którym Kijów zajęła z ramienia komunistycznego rządu ukraińskiego Armia Czerwona, a Centralna Rada szukała ocalenia w ucieczce. Traktat podpisany został pośród szczególnych okoliczności, w dniu 8 lutego do ósmej wieczorem prowadzono rokowania. Zarządzono następnie przerwę, pełnomocnicy państw centralnych zasiadli do kolacji, potem przy szampanie grali w pokera, o godzinie zaś drugiej w nocy z 8 na 9 lutego wezwali delegatów ukraińskich

i pokój został zawarty”.

Fala burzliwych protestów przeciw traktatowi brzeskiemu objęła ziemię polskie trzech zaborów i wszystkie polskie środowiska polityczne. W starciach z austriacką i niemiecką żandarmerią i wojskiem padło kilkadziesiąt osób, kilkaset zostało rannych, zapelnili się więzienia. Ofiary padły również w Chełmszczyźnie. W Galicji Wschodniej odbywały się manifestacje ukraińskie na rzecz traktatu. Zróżnicowaną postawę zajęły państwa okupacyjne — Austriacy wycofali się chylkiem z decyzji brzeskich, uniemożliwiając przedstawicielom strony ukraińskiej przyjazd i prowadzenie działalności na przyznanym terenie, Niemcy natomiast wspierali na Podlasiu poczynania działaczy ukraińskich z Galicji.

Od wiosny 1918 r. zaczął się powrót uchodźców z lat 1914 — 1915. Krótki okres pobytu na obczyźnie przyspieszył dojrzewanie narodowe części ludności prawosławnej. W lecie 1915 r. prawosławne parafie prowadzili w głąb Cesarstwa ich proboszczowie — „obrusitiele”. Trzy lata później wielu z nich wracalo już w charakterze działaczy ukraińskiego ruchu narodowego, znajdującego oparcie wśród części ludności prawosławnej. Antagonizm polsko-ukraiński, od ponad półwiecza trawiący Galicję Wschodnią, przekroczył dawną granicę rozbiorową...

## VII

Czym była sprawa chełmska w omawianym półwieczu? Odpowiedź nie może być ani krótka, ani prosta. Musi uwzględniać różne optyki i różne perspektywy. W wymiarze międzynarodowym to element wielkiej polityki, wielkiej bez żadnego cudzysłowu. Przedmiot rozgrywek imperializmów: rosyjskiego i niemieckiego, celów realizowanych bezwzględnie, bez liczenia się z wolą i losami mieszkańców tej ziemi. To perspektywa Petersburga, Watykanu, Berlina i Wiednia, z której sprawa chełmska była kartą przetargową na grze o własne interesy.

Mieczysław Żywczyński uważał, że sprawa chełmska „w życiu Polski była chyba nie mniej ważna niż Kulturkampf”. Po roku 1875 Chełmszczyzna i Podlasie stały się synonimem oporu wobec rusyfikacji i obrony polskiego stanu posiadania. Oporu połączonego z przesładowaniami na niespotykana wówczas w Europie skalę. „Czasy Nerona w IX wieku”, „Męczeńskie dzieje unii”, „Ziemia leż i krzyży”, to tylko niektóre tytuły z długiego rejestru prac dotyczących tej tematyki. Wątek martyrologiczny, tak silny w porzbiorowych dziejach Polski, tutaj występuje ze szczególnym natężeniem. Jest też sprawa chełmska (Cholmskij wopros, Cholmerfrage) ważnym elementem stosunków polsko-rosyjskich i polsko-ukraińskich, elementem „polityki polskiej” Niemiec, Austro-Węgier i Watykanu.

Bardzo istotna jest też perspektywa młodego ukraińskiego ruchu narodowego, dążącego do uzyskania państwowości. Na ziemi chełmskiej zderzyły się aspiracje ukraińskie z polskimi i z imperialną polityką caratu. Polityką, która przyniosła rezultaty dalekie od oczekiwanych. W końcu 1918 r. dawni unicy i ich potomkowie to Polacy, Rusini, Ukraińcy i w najmniejszej, wręcz znikomej liczbie — Rosjanie.

Wreszcie sprawa chełmska w perspektywie ludzkiej. Czego bronili unicy księża i chłopci, w imię czego narazali się na przesładowania, więzienie, zesłanie i śmierć? Łatwiej odpowiedzieć, przed czym się bronili i czego nie chcieli. Nie chcieli panującego wyznania i języka. Bronili prawa do własnej wiary i mowy ze zdeterminowanym, rozpaczliwym chłopskim uporem. Jakiego języka bronili? Jaka była ich świadomość narodowa? Każda prosta i jednoznaczna odpowiedź na to pytanie będzie mniej lub bardziej odległa od skomplikowanej prawdy o dziejach „sprawy chełmskiej”.

JAN LEWANDOWSKI

Zamieszczone w tekście reprodukcje portretów biskupów unickich znane są jedynie z fotografii przechowywanych w chełmskim Biurze Badań i Dokumentacji Zabytków. Obrazy zaginęły w czasie II wojny światowej.

# „Z ZIEMI CHEŁMSKIEJ”

WŁADYSŁAW ST. REYMONT

W roku 1909 w warszawskim „Tygodniku Ilustrowanym” ukazały się Władysława St. Reymonta wrażenia i notatki „Z ziemi chełmskiej”. Poniżej, na podstawie IX wydania z 1937 roku, drukujemy fragmenty tego literackiego reportażu.

Jechałem z Brzeźcia Litewskiego traktem, ciągnącym się na Kodeń, Sławatycze, Włodawę, Sawin do Chełma. Miałem znowu przed sobą parę znojnych dni, a do zrobienia końmi kilkanaście opętanych mil, że musiałem sobie drogę podzielić na etapy. Na pierwszy, do Sławatycz, wiozł mnie dworski furman, stary wyjadacz, bywalec i gadatywus, który kraj okoliczny i ludzi, i wszystkie sprawy znał, jak swoje konie, a przez całą drogę zabawiał mnie opowiadaniem.

— Państwo wołają mnie Iwan — objaśnił, zbierając w garść lejce.

Obsadziłem się w bryczce, bat świsnął, i konie poderwały się z miejsca.

— A naprawdę, to mi jest Nikon, ale taka już dworska moda, żeby forszmanom od cugowych było Jan albo Mateusz. Tu nad Bugiem każą być Iwanem! — zaśmiał się, paląc siarczyście z bata i skręcając na szeroką, błotnistą drogę.

Wyjeżdżaliśmy o świcie, przed słońcem, gdy jeszcze cała nizina nadbużańska tonęła w puszystych, białych kożuchach mgieł, a tylko na wschodzie, nad czarnymi chmurami borów, rozsączały się pierwsze, złociste zorze. Na czarnej, wyboistej drodze kaluże siwily się, niby zmatowane rosą szyby. Gdzie niegdzie z pól omgłonych wybuchaly kępy drzew, jak szare, przemiękle pióropusze. Surowy, rzeźwy chłód zaciągał od Buga. Rosy pokrywały ziemię, jakby szronem srebrnym i perlistym. Wsie jeszcze spaly; szare niebiełone chalupy zaledwie majaczyły w głębinach rozemgłonych sadów. W niezgłębionej ciemności było tylko slychać ledwie pochwytny chrzęst zbóż, a niakiedy zabrzączał ściszony belkot jakiegoś niedożrzanego strumienia.

— Złodziejska godzina. Nawet psy się pospaly! — mruknął Iwan.

Byłem niezmiernie senny i pragnąłem się nieco przedrzęmac, ale djabełskie podskakowanie bryczki na wybojach nie pozwalało zasnąć ani na chwilę. Dopiero, kiedyśmy wjechali w piachy, zacząłem się z wolna pograżać w niebiańskie rozkosze snu.

— Boćki jeszcze siedzą po gniazdach, to pewna pogoda — huknął mi nad uchem Iwan, wskazując biczem na drzewo.

Zakląłem cicho, ale sen przepadł, a on pogadywał coraz żarliwiej.

— Kopy pływają, jak kaczkę. Nie będzie latoś siana, zgnoi się na nawóz. Nowa bieda dla ludzi! Jakby starych było jeszcze za mało!... Stary, bo weźmiesz po portkach, uważaj! — krzyknął groźnie, przypinając koniom po takim bacie, że poderwały się gwałtownie, a ja tylko jakimś cudem nie wyleciałem z bryczki.

— Zna pan podlaskie strony?

Odwrócił się nieco do mnie. Zobaczyłem krótki, drapieżny profil, suchy, garbaty nos, przycięte wąsy, siwe baczki i małe, wiele ruchliwe oko.

— Znam, ale bardzo mało.

— To musiał pan widywać i tę szlachtę podlaską? Wielka mi szlachta: worek i plachta! — dodał wzgardliwie i, nie czekając mojej odpowiedzi, ciągnął dalej: — To chytry naród! Znam ja ich dobrze! Służyłem w jednym dworze pod Węgrowem. Tam, panie, po wsiach prawie niema chłopów, a tylko siedzi sama szlachta. Takiemu nieraz palce z butów wylażą, a każe sobie mówić „panie”. W pięciu mają jedną krowę. Ajak pies siądzie na polu takiego dziedzica, to niema

gdzie podziac ogona; musi go kłaść aż u sąsiada. Sklepikarze z nich tylko zmyślniejsze, niżli Żydy. A na grosz chciwe, a honorne, a zabijaki, że niech Bog broní! Ale Polaki dobre i katoliki przykładne. Śmieszne tylko juchy, że aż boki zrywać.

Żebym chciał o nich opowiadać wszystko, tobym nie skończył i do wieczora. A wie pan, jak to taki szlachcic chciał się dostać do nieba?

Nie odezwałem się, poranek bowiem stał się przecudny, i gdzieś z oparów nadbużańskich, czy z pól omglonych, napływał jakiś śpiew, śpiew nieco ściszony oddaleniem, lecz niezmiernie uroczysty, jakby święty chór tych świtań zórz i nadchodzącego słońca.

— Co za śpiewy? Słyszycie?

— Pewnie jaka kompanja ciągnie do świętego Onufra.

Śpiew buchał z jakiejś drożyny, ciągnącej się równolegle z naszą drogą, ale wśród zbóż i oparów niepodobna było dojrzeć ludzi.

A świt robił się już opalowy i przesycony zorzami, mgły unosiły się w górę i z pod nich błyskały zmatowate smugi porozełwanych wód, czarne, przemiękkie role i pochylone żyta. Drzewa i wsie wyrastały coraz wyraźniej i bliżej. Zawiał pierwszy wiatr, ale tak cichy i pieszczotliwy, że ledwie się poruszały senne, opite rosą kłosa i liście zagmerały bez szelestu. Skowronek zaświergotał, a po nim wnet drugi, trzeci, dziesiąty bil skrzydlami a dzwonił w ciszy swój pacierz poranny. Bociany leciały nisko nad ziemią, gdzieś ku Bugowi. Jakiś tęskny, przeciągły ryk zadrgał w zaróżowionem powietrzu. Koguty już zaczynały pisać tu i owdzie. Dzień się zbliżał, i wschodnia strona nieba nabrzmiewała purpurą i świetlistym majestatem jeszcze niedojrzanego słońca.

— Widzę, że i tutaj dużo nowych krzyżów — odezwałem się, wskazując na jakiś świeżo dźwignięty do góry i jeszcze niepomalowany.

— Ady tyle nastawiali, że, gdyby człowiek zważał na nie, to musiałby chodzić z czapką w garści — odburknął jakoś niechętnie.

— Nic dziwnego, bo dawniej nawet przewalonych nie było wolno podnieść.

— Dużo im przyjdzie z nowych! Tylko drzewa namarnują!...

— Przecież i prawosławni swoje stawiają!...

— Jak im naczelnik przykaże i dobrze zapłaci, to stawiają! — warknął złośliwie, osadzając konie na miejscu, gdyż nagle wychyliła się ze zbóż kompanja i wchodziła na naszą drogę.

Na przedzie jaśniał złocisty, ośmioramienny krzyż, a za nim cisnęło się kilkadziesiąt starych bab i wyrostków. Przykłękli na chwilę pod krzyżem i ktoś zaintonował czystym, donośnym głosem:

*Kiedy ranne wstają zorze...*

Tlum ruszył i zawtórował pełną piersią, aż pieśń podniosła się nad pola nieobjęte i biła ku wschodzącemu słońcu:

*Tobie ziemia, tobie morze...*

Śpiewali po polsku; słyszałem każde słowo, a nie mogłem uwierzyć.

Jechaliśmy tuż za nimi, wolno, bo mój Iwan również zaśpiewał:

*Tobie śpiewa żywioł wszelki;*

*Bądź pochwalon Boże wielki.*

— A skąd kompanja? — spytałem chłopa, idącego obok mojej bryczki.

— My, panie, z Olszanki — odpowiedział przeciągle, czystą polszczyzną.

— A gdzie to dzisiaj odpust?

— W Jableczyńskim monasterze, prażnik świętego Onufrego.

— To kompanja prawosławna?

— Prawosławna, panie.

— Prawosławna i śpiewa po polsku? — nie mogłem się polapać.

— A po jakimuż mają śpiewać? Przecież po moskalewsku nie poradzą odmówić nawet pacierza... — podniósł na mnie zdumione oczy. Ja również patrzyłem w niego, zdziwiony tem niespodzianem wyjaśnieniem.

— Siadajcie, podwiozę was kawalek drogi.

Wgramolił się na bryczkę, pochwaliwszy Boga polskim obyczajem.

Zaczęliśmy pogadywać o tem i owem; chłop był chytry, odpowiadał wymijająco i sam mnie ostrożnie wybadywał, ale w końcu rozgadał się dosyć szczerze.

— Jak odłączyć Chelmszczyznę, to wam zabronią mówić po

polsku...

— Musieliby strażników stawiać w każdej chalupie — machnął lekceważąco ręką. — A po jakimu to mamy mówić? Dawniej, jeszcze za Unji, to po wsiach gadali po naszymu, po chłopsku, ale teraz już mało kto rozumie, chyba starzy. Młodzi się nawet tego wstydzą.

— Ale podpisywaliście się za odłączeniem Chelmszczyzny?

— Podpisywałem się, panie, bo mi kazali. Zwolali nas do popa i wytłumaczyli, że jak odbiorą Chelmszczyznę od Polski, to wszystkie pańskie ziemie darmo rozdadzą między prawosławnych.

— Obiecanki cacanki, a głupiemu radość — rzucił Iwan.

— Najwięksi urzędnicy obiecali, to może i dadzą!...

— Dostaniecie tyle, że wam sam djabeł z pleców nie odbierze. Pamiętajcie, jak to brali oporni? — dogadywał Iwan.

Chłop milczał długą chwilę, a wkońcu rzekł najspokojniej:

— A jak nam ziemi nie dadzą, to się wszyscy przepiszemy na katolików.

Oniemiałem ze zdumienia, lecz Iwan zaczął się głośno śmiać.

— Nie mówię na śmiech — zgromił go tamten surowo i ciągnął bardzo poważnie i z przekonaniem: — Ten sam Pan Bóg jest w kościele, co i w cerkwi. Ale w kościele jakoś milej, bo i nabożeństwo ładniejsze, i pośpiewać można, i muzyka gra, i z procesjami chodzą, i ksiądz czasem na kazaniu powie tak prosto do serca, że człowiek się wyplacze, i zaraz mu ulży. Już mi nawet dzieci grożą, że jak tylko dorosną, to się zaraz przepiszą. Przecież wszystkie dziewczyny i chłopaki z całej wsi co niedziela latają do kościoła. Do cerkwi to ich nawet kijem nie napędzi. Bo jedna wiara powinna być dla wszystkich; a przez to, że jeden dom katolicki, a drugi prawosławny, to po wsiach tylko ciągle kłótnie, gniewy i obraza Boska, i zgorzienie. Nawet Żydy się wyśmiewają, że w każdej chalupie innego dnia jest święto.

— To czemu się nie przepiszecie na katolika? — spytał go Iwan.

— A jakby nam ziemię rozdali?

— To nie wiecie, co w Hrubieszowie powiedział chłopom wasz biskup?

— Coś mi tam mówili, ale nie pamiętam co,

— Przyszli się upominać o grunta, obiecano przy podpisaniu, to im rzekł: — Ziemia nie guma, to jej dla was nie rozciągnę.

— I naprawdę tak powiedział? — pytał ściszo, trwożnym głosem.

— Słyszało więcej, niż sto ludzi. I powiedział prawdę. Cudzego przecie nie weźmie, nie dadzą, a wam nie odda!

Dosyć długo mu o tem wykladał, aż chłop sposępniał, twarz mu się poradliła brózdami troski, oczy przygasły, i w końcu skinął mi głową, wyskoczył na ziemię i powłókl się na samym końcu kompanji, srodze zadumany.

Wyminęliśmy kompanję, tak wolno, że miałem czas ją przeliczyć: wszystkiego szło trzydzieści osiem osób.

— Jakoś niewiele ludzi ciągnie na prażnik — zauważyłem.

— Bo teraz już nie placą za „bohomołje” po prażnikach i cudownych miejscach, to się ludziom niesporo wybierać na własny koszt! — zaśmiał się Iwan, popędzając konie. Ale dojrawszy moje niedowierzanie, dodał cynicznie:

— Sam dawniej brałem strawnie za takie spacery. Wychodziłem się niemal! Byłem z „bohomołcami” w Poczajowie i w Ławrze kijowskiej, i w Leśnej, i w Radecznicy, wszędzie, gdzie mi kazali.

Leciałem z ochotą, bo wyżerka po monasterach była za darmo i gorzałki, wiele tylko dusza chrześcijańska strzymała. Ale teraz zmądrzeli, już pieniędzy nie dają, to i bohomołców z naszych stron coraz mniej.

— To wyście prawosławni?

— Przecież każdemu są mile własne kości. Napatrzyłem się przy zniesieniu Unji tyle, że mi wystarczy do sądneho dnia. Widziałem, panie, jak całe wsie plawiły się pod batami we krwi; widziałem jak marli ludzie pod pratułińskim kościołem; widziałem, jak setkami wlekli do więzień i wyganiali w świat. Przecież i moja wieś się opierała i brała nahaje, to i ja brałem swoją część i wraz z drugimi poszedłem do więzienia. Młody jeszcze byłem, skórę miałem laskotliwą i, mówiąc naprawdę, to mi pod batami tak już obmierzły wszystkie wiary, że, jakby mi kazali zostać Żydem, to byłbym tak samo został, jak i prawosławny. Nie moja głowa wybierać co

lepsze.

Opierałem się tylko dla matki, bo mnie wciąż zaklinała na wszystkie świętości. Popędzili mnie do Białej. Siedziałem ze trzy miesiące. Z początku było mi niezgorzej: jeść dawali, było ciepło i roboty żadnej. Ale się wciąż opierał i mówiłem: „Nie i nie!” Przesadzili mnie na osobność i dali funt chleba na dzień. Wyrzyłbym. Cóż tam glód dla chłopca: rodzona matka, nie macocha! Ale w końcu wzięli się na sposób i zaczęli mnie żywić kaszą ze starym sadłem. Tego, panie, nie mogłem już przetrzymać. W pieklebym wytrzymał, ale tej kaszy nie poradziłem! Po tygodniu zgodziłem się na wszystko, co tylko chcieli. A że mnie mgli na samo przypomnienie. Na stare sadło zlowili sobie duszę...

Gruchnął takim złym i cynicznym śmiechem, aże mnie przeszedł zimny dreszcz. Spojrzałem na niego z pewną przykrością i żalem.

— A później przejrzałem wszystko nawylot i teraz wiem, że jedni i drudzy tak samo djabła warci! — zaczął gniewnie i opryskliwie.

— Każdy chłopca ciągnie na swoją stronę, bo każdy tylko z chłopca żyje. Może nieprawda?

Nie odpowiedziałem. Milczał czas jakiś, konie popędzał i znowu się odwrócił do mnie:

— Żeby im się nie przytrafiło, jak tym babom, co się kłócili o psa i dalejże go sobie wydzierają, aż się psu sprzykrzyła ta zabawa jego skórą... i pogryzł obie. (...)

Noc zapadła mętna i nieco burzliwa. Wiatr ze świstem zamiatał drogi, bijąc tumanami kurzawy, po ołowianem niebie przewalały się długie warkoty grzmotów, i co chwila latały oślepiające błyskawice, w których było widać, jak się szarpały przyrodzone drzewa i rozkolebane, spienione zboża. Burza mogła wybuchnąć lada chwila.

— Może przejdzie bokiem, a może nas i zleje... — pocieszał nas furman, pokrzykując na konie, bo wlokły się noga za nogą; droga bowiem była ciężka, wyboista i pełna kamieni, a z obu stron ciągnęły się głębokie rowy, przyczajone w ciemnościach. Już od zmierzchu jechaliśmy tak wolno i na chybił trafił, więc dojrzawszy przemysłki zarys jakiegoś człowieka, pytam go skwapliwie:

— Którędy do Chelma?

— Szosą na prawo, a potem na lewo.

— A gdzież ta szosa, daleko?

Chłopiec rozwiązał się, jak cień. Bądźże teraz mądry i szukaj wiatru w polu, kiedy obaj z woźnicą nie znaleźmy drogi.

— Po dniu, to trafilibym i do piekła — mruzczał furman.

— A mówiliście, że drogę znacie.

— Przecież nieraz wozilem do Chelma starego pana, tylko z innej strony.

Jechaliśmy dalej zupełnie poomacku, kierując się tylko jękiem drutów telegraficznych nad nyszymi głowami. Noc stawała się coraz burzliwsza i mętniejsza, drogi opustoszały, i po wsiach nie było już ani śladu, jakby przepadły w nieprzeniknionych ciemnościach.

— Tylko za moich czasów nie było jeszcze szosy — odezwał się po chwili.

— A dawno jechaliście ostatni raz do Chelma?

— Będzie chyba ze czterdzieści років, jeszcze w powstanie.

Dalem już spokój indagacjom, bo szosa zadudniła pod kołami, a konie raptem przystały.

— Zgadnij teraz, zadadula, gdzie złota kula? — biedzi się zaklopotany.

— Szosą na prawo, a potem na lewo — przypomniałem.

Konie ruszyły z kopyta. Gdzieś przed nami zamajaczyły jakieś światelka, i daleko, daleko leciał przesywający świst parowozu.

— A potem już nie przyjeżdżałem, bo mnie z moim panem popędzili aż za Bajkał, to człowiek i zapomniał drogę — usprawiedliwiał się znowu.

Mijałymi długie wzgórze, pokryte lasem, gdy naraz doleciał nas rozpaczliwy skowyt psów i straszliwy zapach padliny.

— Hyle pachną, to i Chelm musi być niedaleko... — zauważył.

— Popędzajcie! — krzyknąłem, gdyż smród był nie do wytrzymania.

— Jedziemy pod wiatr — tłumaczył flegmatycznie — przecież pod każdym miastem są takie hyclowskie osady, ale żeby tu pozwolili tak przy samej szosie... — dziwił się głośno i podcinał konie dla pośpiechu.

Przedostawszy się przez tą zapowietrzoną strefę, skrzyliśmy na

lewo, w szeroką ulicę obstawioną małymi, niskimi domami, nad którymi majaczyły baniaste kopuły. Wkrótce droga zaczęła się zwolna podnosić, i przybywało coraz więcej świateł, że już cała droga roila się od nich, jakby pokryta mrowiem świętojańskich robaczek.

Chelm był tuż przede mną, płatanina domów, ogrodów i cerkwi, osypana błyszczącą rosą świateł, piętrzyła się na tle nieba czarnymi, groźnymi konturami.

Przez parę tygodni zrędu a tak złowrogo brzmiała mi w uszach nazwa tego miasta, że wjeżdżałem do niego z uczuciem dziwnego niepokoju i obawy. Są bowiem „złe miasta”, które, jak i źli ludzie, roztaczają dookoła siebie atmosferę niewytłumaczonej trwogi. Takie „złe miastem” wydał mi się Chelm.

Dlaczego lud w swoich podaniach i wierzeniach zawsze załudnia szczyty gór djablami i czarownicami? Leży w tym jakiś głęboki symbol niezbadanej prawdy. A Chelm rozłożył się na dosyć wzniosłym wzgórzu, panującem nad rozległą okolicą. I jakby na stwierdzenie wierzeń, gnęździ się na tej górze jakieś „zło”, które już od wielu, wielu lat posiewa dookoła zatrate ziarna nienawiści, krzywdy i nieszczęścia, a ten posiew wschodzi, plonuje i rozlewa się całem morzem łez, krwi i cierpień.

Było już dosyć późno, i z racji piątku cały Chelm pachniał szabasowem specjalami. Ulice były puste, sklepy pozamykane, a tylko tu i owdzie poza rozjarzonymi szybami kiwały się stare, pobożne głowy.

Nazajutrz od samego rana wyszedłem na miasto.

Po nocnej burzy nie było już ani śladu, pogoda zrobiła się wspaniała, błękit nieba lśnił niepokalany, kopuły cerkwi grały w słońcu barwami złotemi, a z pół zawiał wietrzyk pachnący skoszoną koniczyną. Ale samo miasto, pomimo prześlicznego położenia, jest brzydkie, ladajako zbudowane, straszliwie brudne i literalnie zapchane żydowskimi kramikami; ot, zwykła nasza powiatówka, składająca się z jednej, dość szerokiej ulicy, która się ciągnie grzbietem wzgórza do stóp katedry, i z kilkudziesięciu zaułków, rozrzuconych beładnie po stromych zboczach. Imponująca jest tylko liczba cerkwi, ich ogrom i wspaniałość; naturalnie, że wszystkie są świetnie wyposażone i stoją pustkami, gdyż prawosławnych nie starczy na zapelnienie chociażby jednej. Zato kościół katolicki, liczący przeszło piętnaście tysięcy parafjan, nie może pomieścić swoich wiernych nawet zwykłego dnia na mszy. Ale taka już nasza dola: „Jednemu sztydo goli, a drugiemu i brzytwa nie chce” — mówi przysłowie.

Dawna katedra unicka, przerobiona po zniesieniu Unji na sobór prawosławny, dominuje nad miastem, wznosi się na szczycie góry, a obok niej wyrosła nowa wysoka dzwonnica.

Na szerokich, kamiennych schodach, prowadzących od strony miasta na górę katedralną, siedział cały rząd niezmiernie charakterystycznych dziadów, i zaledwie postawiłem nogę na stopniach, gdy opadło mnie stado jastrzębich spojrzeń, kilkadziesiąt rąk wyciągnęło się do mnie, i schrypnięte, jęklive głosy, jakby automatycznie, zaintonowała błagalny chór, zaklinający na Częstochowską, Ostrobramską i Kodeńską, aby się ulitował nad nieszczęśnikami.

Zebrali taką dobrą polszczyznę, że odszedłem o parę złotych uboższy. Przystanołem na szczycie schodów, olśniony przepięknym widokiem, jaki się stamtąd roztacza na niezmierną przestrzeń pól, pofalowanych wzgórzami, pełnych drzew, wiosek, czarnych plam lasów, krętych strumieniami, polyskujących w słońcu, i ptasiego świergotu, kiedy dziadowski śpiew znowu mi zajęczał w uszach.

Po schodach szedł jakiś oficer z damami, a wyciągnięte ręce zabiegły im drogę, i proszalny chór znowu zaklinał, tylko że już w innym języku i na inne świętości, bo na Kazańską, na Poczajowską, na św. Mikołaja i na wiele takich imion, które usłyszałem po raz pierwszy w życiu. Musieli być szczerze opatrzeni, gdyż jeszcze długo stali błogosławieństwa i dziękczynienia.

Nie czekając już na więcej dowodów tej mądrej dziadowskiej polityki, szedłem do soboru. Trafiałem jednak nieszczęśliwie, gdyż z powodu odnawiania główny ołtarz i wszystkie wspanialsze ikony były pozaslaniane. Główną nawę wypełniały rusztowania, farba pryskała na wszystkie strony, a gdzieś z pod sufitu rozlegała się „ojra”, zapamiętałe wygwizdywana. W bocznych nawach, cichych i mrocznych, również nie było nikogo.

— Czy tutaj zawsze tak pusto? — pytam jakiegoś robotnika.

— Jak strażniki napędzą, to i goście są... — odpowiedział, zajął mi w oczy i cofnął się wgląd soboru.

Wyszedłem na plac, zalany słońcem i oślepiającą białością murów. Nie było nigdzie widać ani żywej duszy, a mimo usilnych poszukiwań po przyległym parku, nie znalazłem nigdzie ani śladu tych pobożnych tłumów, jakie, według zapewnień „istotnych” mają wciążyć, dniami i nocami, płynąc do soboru z całej Chełmszczyzny.

Wstąpiłem do muzeum, które, jak i wszystkie gmachy, otaczające sobór, jest bardzo czyste, bardzo monotonne, bardzo starannie utrzymane i w bardzo „kazionnym” stylu wzniesione. Muzeum składa się z kilku niewielkich pokojów i jednej ogromnej sali, przeznaczonej na zebrania „Bractwa”. Na jednej ze ścian wiszą w parę rzędów portrety dawnych biskupów i metropolitów unickich, owi Pocięje, Teleccy i Rutscy, twórcy Unji, jej dobrodziej, obrońcy i męczennicy, a z przeciwnej strony czernią się surowe, fanatyczne głowy współczesnych pasterzy, ze sławetnym Eulogijuszem na końcu. Dwa światy patrzą na siebie niemymi oczyma, dwie kultury i dwie przepaście, niczem i nigdy nie zasypane.

W rogu sali wisi obraz cudownej Matki Boskiej Chełmskiej z XVII wieku, przez wieki czczonej na Unji, ale obecnie zdegradowanej i wyrzuconej z soboru, prawdopodobnie dlatego, że jest namalowana i ubrana nie po formie. Miejscowy „Chołmskoj narodnyj kalendar” na rok 1909 tak mówi o pewnym szczególe tego obrazu: „*Koło prawego ramienia Matki Boskiej, na sukni wisi order Orla Białego, który z głupoty (po nierozumieniu) zawiesił polski król, Jan Kazimierz, wygrawszy bitwę pod Beresteczkiem*”.

Gdzie Rzym, gdzie Krym! Gdzie Beresteczko, a gdzie czasy „Orla Białego”?

Nie jest to jedyny kwiatek „uczoności” autora, gdyż na następnych stronicach tego samego artykułu używa sobie jeszcze lepiej i wylewa całe morza fałszów i kłamstw na dawnych biskupów unickich, a zwłaszcza Pocięja traktuje, jako ostatniego szubrawca i złodziejazka, który okradł cerkiew prawosławne i pastwił się nad duchowieństwem, i „*więcej był rozbójnikiem, niż metropolitą*”. W takim tonie „istotnej” prawdy trzymanej jest cały kalendarz, i taką samą zawierają te setki broszur, wydawanych przez „Bractwo” i celowo rozrzuconych w dziesiątkach tysięcy pomiędzy ludem. Polskość i katolicyzm — to owa czerwona plachta, na której wspomnienie ogarnia „istotnych” karierowiczów chełmskich taki paroksyzm wściekliwości, że wtedy wyrzucają z siebie stek kłamstw, denuncjacji, oszczerstw i groźb. Bredzą już nieprzytomnie, jakby zatruci własnym jadem nienawiści. Doprawdy, że budzą mimowolne politowanie.

W pozostałych paru pokojach „Muzeum” zgromadzono to, co się tylko dało zebrać z dawnych kościołów unickich, a jeszcze jakimś cudem ocalało z grabieży i zniszczenia. Tłoczą się więc jakieś polamane szczątki rzeźb, zlociste feretrony, portrety kolatorów, sygnaturki, święci w mnisich szatach, zmartwychwstające Chrystusy, Matki Boskie, chorągwie, drewniane anioły z rozpostartymi skrzydłami, monstrancje, krzyże, kielichy, mszały i różne aparaty kościelne — wszystko gwałtem spędzone z różnych stron, odrapane, zabrudzone, ponadlamywane i kalekie, zalega bezładną ciżbą ściany, podłogi, gablotki, szafy i ciśnie się tłumem sierocym a żalosnym do zakratowanych okien i, uwięzione na wieki w tych białych, zimnych murach, zda się trwożliwie nasłuchiwać wicherów niosących echa dalekich pól, wiosek i chat.

Już słońce zachodziło, gdy się znowu znalazłem na głównej ulicy Chelma.

Szedłem środkiem ulicy, gdyż trotuary były wprost zatłoczone szabasową publicznością, płynącą czarną, rozszwargotaną i nieustannie wzbierającą rzeką, która stawiała się coraz bełkotliwszą i rozlewała się coraz szerzej, że tylko niekiedy mignęła gdzieś urzędnicza czapka, zabrzączał pałasz oficerski, lub przemycił trzoznie, nad samym rynsztokiem, jakiś zwykły, cywilny aryjczyk.

A gdzie są Rosjanie w tem „odwiecznie rosyjskim” mieście? — pytam znajomego.

— Mamy wszystkiego coś z pięć rodzin rosyjskich, naturalnie prócz urzędników, ale niech pan poczeka: jak Chelm zostanie awansowany na gubernjalne miasto, to przybędzie ich tutaj znacznie więcej — przecież otworzy się tyle nowych posad! A zresztą i Żydzi się postarają, żeby się tu zmieniło nie do poznania, jestem bowiem

pewien że jak tylko poczują w tem jakiś interes, to sami się przebiorą w tuluby i czerwone rubaszki, zmieniają język, przemalują szyldy, zapnumerują odpowiednie pisma i zaczną krzyczeć przy każdej sposobności: „Mi ruskije ludi”, a nas będą tropili gorliwiej i zacieklej, niżli czynią to sami „istotni”. No, i dadzą miastu taki charakter, jaki będzie potrzeba.

— Trudno im będzie tak na poczekaniu przerobić Chelm.

— Powierzchnownie zmienić jest bardzo łatwo, pomogą im w tej pracy, i za parę lat Chelm będzie tak wyglądał, jak wyglądać powinien. Miasto niewielkie i ludność bez głosu, to łatwo przecharakteryzować wszystko na styl „kazionny”... Dachy się pozieleni, a ściany skąpią w takiej „malinie”, że będą się czerwieniły, jakby obdarte ze skóry; dorożkarzy wypchają, żeby przypominali kopy siana, zabronią na ulicy mówić po polsku, zniszczy się, co tylko przypomina „zgnily Zachód”, resztę kościołów poprzerabia się na cerkwie, wyda się nieco broszur, dowodzących naukowo, jako w Chełmie nie postala ani jedna polska noga, i w końcu sami uwierzą, że to miasto było i jest czysto rosyjskie. A jak się trafi jeszcze parę żydowskich pogromów i parę grubych „niedoimek” w „kaznaczejstwie”, to i czemże się będzie różniło od Homłów lub Berdyczowów? Chyba tylko stanem wzmocnionej ochrony, zaprowadzonej już na stałe.

— Ale cóż im przyjdzie z takiej maskarady?

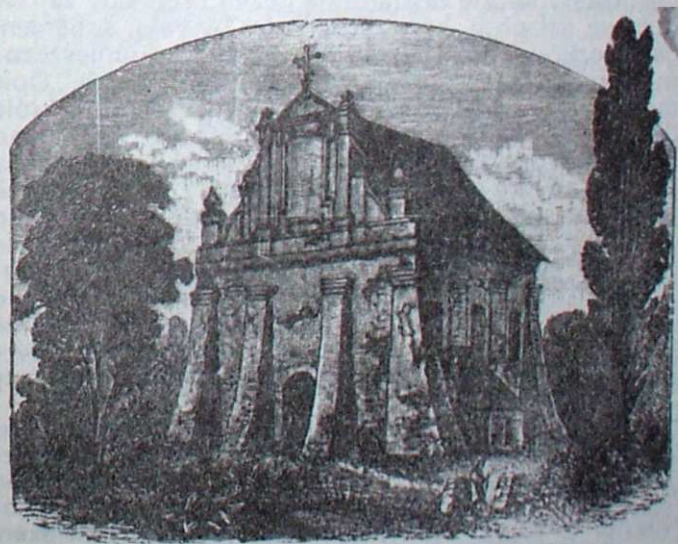
— Państwu nic, ale tym, co to robią, wszystko, bo ordery, awanse i nagrody. Zdaleka bowiem będzie robiło wrażenie, że coś robią naprawdę, czegoś bronią i coś tworzą. Przecież tu tylko chodzi o jakiegokolwiek pozory do odznaczenia się i zasług.

— Więc pan przypuszcza, że Chełmszczyznę odłączą?

— Jestem tego najzupełniej pewien. Za wielu ludzi ma w tem swój własny interes. Trzeba zdobyć Chełmszczyznę i rzucić ją na pastwę zawsze głodnemu tłustych posad Mołochowi. A że za to zapłaci chłop ruski czy polski, że zapłaci upadek kultury całego kraju, że popłyną nowe morza łez, i nowe krzywdy spadną na miliony, cóż to obchodzi tych wszystkich, dla których jedynym bogiem jest „czin”, a istotnym, rzeczywistym świętem każdy 20-ty miesiąc!

Im zawsze będzie dobrze, ciepło i syto.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT



Kościół pounicki w Podgórzu koło Chelma. Rycina XIX-wieczna

# Piją bo lubią

„Piję, piję, bo muszę” mówi Nos w „Weselu”. W tym stwierdzeniu przebija taktyka alkoholika, w podjęciu tej tematyki — taktyka felietonisty, którego świadomość cyklu wydawania kwartalnika zmusza do podejmowania spraw uniwersalnych. Ale zanim rozważymy problemy aktualnego poziomu alkoholu we krwi społeczeństwa, obejrzymy się za siebie.

„Owa zgola pijana Polska zwać się może. Piją wszyscy, biskupi, i senatorowie, a piją do umoru, piją i prałaci, żołnierze, szlachta, w miastach, we dworach i we wsiach” — pisał już Krzysztof Opaliński. Rzeczywiście, pić musiano nieźle, jeśli w czasach jemu bliskich, bo w roku 1563, przez chelmskie sklepy przeszło ponad 32 tysiące litrów miodu pitnego. A pamiętać należy, że obywatela dwutysięcznego wówczas grodu nie stronili zapewne od piwa, wina i gorzałki.

Prawo propinacji, czyli warzenia i wyszynku napojów alkoholowych, wydawane było bez większych ograniczeń. Karczma — dziś ustawowo odsunięta od kościoła o conajmniej sto metrów — dawniej często z nim sąsiadowała, toteż przybytku Bachusa nie omijali zarówno świeżo rozgrzeszeni chłopci jak i osoby duchowne. Bywało więc, że „w wiosce dymią czuby, a w karczmisku ćma narodu, każdy pije jak z zawodu i smalone plecie duby”.

Zaś przebywający w Polsce w roku 1822 Henryk Heine pisał: „spotkać można chłopca polskiego, zdążającego w niedzielę do miasta, aby załatwić tam trzy sprawy: po pierwsze ogolić się, po wtóre, wysłuchać mszy, i po trzecie, upić się na umór”.

Monopol propinacyjny narzucał często obowiązek kupowania napojów alkoholowych tylko w pańskiej karczmie oraz wyznaczał kontyngenty alkoholu na każdą rodzinę chłopską z okazji wesel, chrzcin lub pogrzebów. Pił więc Kuba do Jakuba...

Przykład podobno płynie z góry. Czasy saskie i stanisławowskie dostarczają liczne przykłady zabaw polskiej szlachty, kończących się, bywało, spianiem „szaraczków” lub strzelaniem do Żydów umieszczonych w tym celu na drzewach i udających kukulki. Opis małego (!) pijaństwa na prywatnym przyjęciu w króla Jana III Sobieskiego taką zawiera relację: „Jeść dano według proporcji pomienionych stołów, wina siela bardzo, aby się popili, osobliwie poseł z ludźmi swymi; jakoż za dość mieli, bo ich dobrze przypilnowano i poseł sam nietrzeźwo poszedł spać. Ichmpanowie hetmani całkowicie popili się i tak odjechali pożegnawszy majestaty. U jegomości księdza płockiego poprawili (...) Mało co z drugich ichności było na zamku, bo co żywo, to się rozchorowało na głowy z wczorajszego picia, żaden jednak nie umarł, wszyscy zdrowi dotychczas”.

Ale, przynajmniej to, można było pić... świątobliwie, jak pan Borejko, kasztelan zawichostski, który najbardziej lubił pić z osobami duchownymi. W tym celu, pod jakimś pobożnym pretekstem, wzywał do siebie zakonników z pobliskich klasztorów, których przelożeni — znając jego upodobania — wysyłali mu co tęższe głowy. Z nimi Borejko zamykał się w osobnych pokojach, do których domownikom zakazywał wstępu.

Przed zamknięciem tego „klasztoru” — jak opisuje Kitowicz — pokój sypialny był wysłany cały słomą i kobiercami, innej pościeli dla tego pijackiego bractwa nie potrzebowano, ponieważ każdy jak padł tak spał. Gdy nazajutrz wszyscy powstawali, szli na mszę do kaplicy, będącej przy tym „klasztorze”. Po wysłuchaniu mszy napili się herbaty podług obyczaju, potem wódki raz i drugi, potem nastąpiło śniadanie; po śniadaniu wino, po winie, miernie zażytem, obiad, po obiedzie formalna pijatyka aż do wieczery, po wieczery to samo. Ten klasztor trwał dni trzy najmniej, a najwięcej pięć.

Zresztą jak miano nie pić, jeśli nadworny lekarz Czartoryskich, Niemiec, znający „klimat polski”, twierdził, że „chcąc być w Polsce zdrowym, nie należy używać aptek i doktorów, ale dwa razy w roku porządnie się upić”.

W połowie XIX wieku w raportach naczelników powiatów można przeczytać, że na weselach wypijano nierzadko ponad dwieście litrów wódki, na skutek czego po jednym z takich wesel trzy osoby zmarły. Ziemiaństwo nie było widocznie zgorzzone takim obyczajem u chłopów, jeśli prezes Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego, hrabia Aleksander Ostrowski, stwierdzał, że „umiarkowane użycie wódki jest dla ludu prostego dobroczynne”.

Sądząc z kolejek współcześnie stojących w sklepach monopolowych, społeczeństwo i dzisiaj nie osądza zbyt ostro do niedawna „socjalistycznej”, a obecnie „kapitalistycznej” propinacji. Zresztą reglamentacja w początkach lat osiemdziesiątych była okresem propinacji „społecznej” — w Polsce wykryto w tym okresie piętnaście tysięcy bimbrowni, a po zlikwidowaniu systemu kartkowego — kolejne kilkanaście tysięcy. Jan Marx pisząc o prozie Bogdana Madeja stwierdzał, że nie traktuje on pijaństwa „jako wytworu społecznego, jak to na przykład dziś próbuje się tłumaczyć, że w Polsce chłop i robotnik pije, bo nie ma motywacji, by oszczędzać. Jego bohaterowie piją, bo lubią.”

No właśnie, lubią, więc co mają robić? W końcu już Wespazjan Kochowski pisał, że „ten żyje — kto pije”.

Mawiają starzy chelmieńscy, że niegdyś, chociaż jak się zastanowić, to nie tak dawno, życie uliczne kształtowane było przez styl gastronomii. Kto dziś pamięta o hasłach „Stodoła”, „Wisielec”, „U Kunefala”, „Pod firankami”? Te restauracje, czy raczej wyszynki, z perspektywy czasu nabierają u ich niegdysiejszych bywalców szczególnego blasku. I na próżno by im tłumaczyć, że obecnie mamy trzeźwieć ustawowo, jeśli oni z rozrzwieniem wspominają tamte polówki pod tamtą kaszankę! Bo chociaż Wyspiański pisał: „Żyd, chłop, wódka, stare dzieje”, to wódka, a raczej styl jej picia, nadal jest wyznacznikiem kultury społeczeństwa. Czy tylko kultury?

JOKER

# ARCHITEKT WŁOSKI ZWYCZAJU POLSKIEGO

JOANNA WINIEWICZ

JEDEN z piękniejszych i bardziej malowniczych zakątków Europy to obszar obejmujący włoską prowincję Como i szwajcarski kanton Ticino, „kraj trzech jezior” — należącego do Włoch Lago di Como, największego z nich — Lago Maggiore, którego część wciną się na terytorium Konfederacji Szwajcarskiej, oraz Lago di Lugano, przedzielonego granicą na część włoską i szwajcarską.

Jakiś wyjątkowy genius loci tej krainy uczynił ją znaną nie tylko z wspaniałych widoków, cudownie położonych jezior, wyniosłych grzbietów górskich poprzecinanych stromymi, głębokimi dolinami, ale także z wielkiej liczby artystów, jakich ziemia ta wydała. A byli wśród nich ludzie wielkiego talentu — Carlo Maderno, Francesco Borromini i cała plejada mniejszych, o niepospolitych również zdolnościach.

Ten dziś niezwykle atrakcyjny pod względem turystycznym region, przyciągający prawdziwe rzesze ludzi spragnionych piękna i spokoju, był przez całe wieki krainą dość ubogą. Górzysta, niezbyt żyzna ziemia nie była w stanie zapewnić utrzymania rosnącej liczbie mieszkańców — emigrowali więc na północ, za Alpy, opuszczając rodzinne strony aby „sztuką swą zarobić na utrzymanie rodzin”. Emigracja zarobkowa, mająca — jak słusznie zauważono — charakter wędrowek artystycznych, przybrała tu szczególnie wielkie rozmiary. Artyści — rzeźbiarze i architekci — rozproszyli się po całej Europie, a początki ich peregrynacji sięgają jeszcze wieku XII. Spora grupa komasków i tessyńczyków — bo tak ich określano — osiadła

w Polsce. Była to jedna z większych w Europie — i bodaj czy nie największa — z włoskich kolonii w krajach na północ od Alp. Tak więc „włoski” charakter naszej sztuki to zasługa nie tylko królowej Bony i jej dworu — to działalność w Polsce całych pokoleń Affaitów, Fontanów, Belotich, Ceronich. Często zasymilowani z polską ludnością zakładali tu rodziny, żeniąc się z Polkami, sprowadzali z Włoch swoich krewnych, gromadzili majątek i zostawali na stałe, nierazko obdarzeni indygenatem. Inni natomiast, wierni swej ojczyźnie, pracowali z myślą o powrocie nad rodzime jezioro Como czy Lugano — i wracali, wzbogaceni, otoczeni sławą, czasem zaszczytnym tytułem „architetto del re di Polonia”, jak Matteo Castelli, architekt Zygmunta III Wazy.

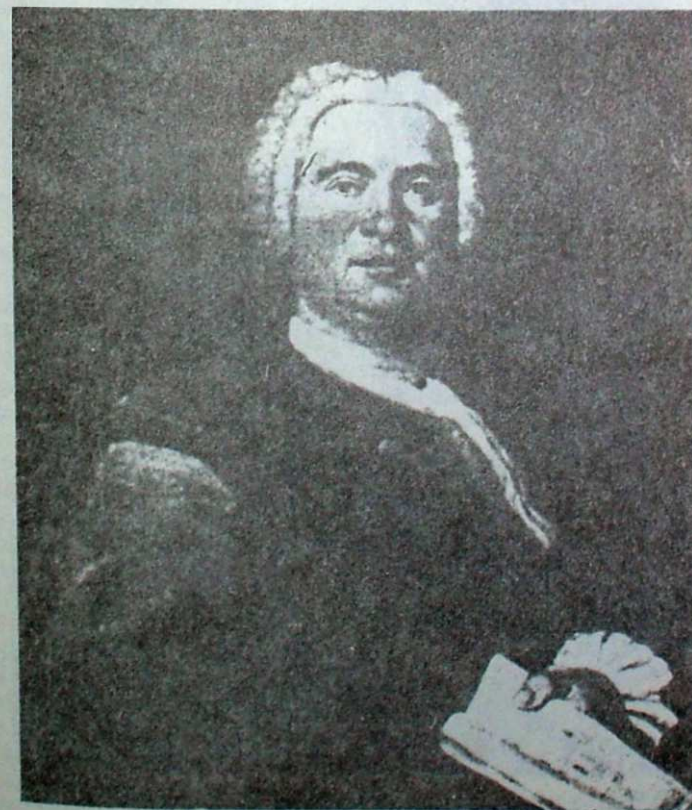
W XVIII wieku powstało na terenach dawnej Rzeczypospolitej — na Lubelszczyźnie i Wołyniu — kilka kościołów, zwracających uwagę ciekawym rozwiązaniem architektonicznym — eliptycznym planem, interesującą bryłą z dwiema wieżami w fasadzie. Poszukiwania twórcy tej oryginalnej koncepcji ujawniło nazwisko Pawła Fontana — architekta pochodzącego właśnie z owego artystami słynącego pogranicza włosko-szwajcarskiego. Należał do bardzo licznej rodziny Fontanów, wśród których działający w XVI i XVII wieku w Rzymie Domenico i Carlo wymieniani są pośród najlepszych, a w Polsce sławą i talentem dorównywał im „architekt króla i Rzeczypospolitej” Jakub Fontana, urodzony już w Polsce, najprawdopodobniej krewny Pawła.

Paweł Fontana, urodzony w Castello Valsolda nad brzegiem jeziora Lugano w jego włoskiej części, syn Jakuba i Marty z Belotich, ochrzczony 28 października 1696 roku — o czym wiemy z zachowane go do dziś zapisu w księdze metrykalnej parafii Castello, pojawił się w Polsce prawdopodobnie około roku 1723, a od maja 1726 wstępuje jako architekt nadworny księcia Pawła Karola Sanguski w Lubartowie.

W Polsce — na Lubelszczyźnie, potem na Wołyniu — spędził całe swoje pracowite życie. Czy przybył tu wprost z Włoch, do których nie udało mu się już wrócić, mimo że myśl o ojczyźnie nie opuszczała go, a powrót do rodzinnej Valsoldy był zapewne celem, ku któremu zmierzał pracując i gromadząc majątek. Gdzie zdobywał swoje architektoniczne wykształcenie? Liczni Fontanowie wymieniani są jako capomastri — czyli mistrzowie murarscy — w Weronie, Vicenzy, Turynie. Być może tam uczył się swego „rzemiosła” także i Paweł, a droga na lubartowski dwór Sanguszków wiodła przez Warszawę lub Wilno — za pośrednictwem innych architektów Włochów, już w naszym kraju zadomowionych, zorientowanych dobrze w możliwościach pracy. Z korespondencji Fontana, jaką dotąd przechowuje jego rodzina we Włoszech, wiadomo, że zaczął pracować i zarabiać na życie wcześniej — w wieku zaledwie 10 lat. Do Polski przybył zwabiony perspektywą licznych zamówień. I nie pomylił się. Lata jego „służby” u Sanguski znaczą liczne realizacje architektoniczne, wielka aktywność architekta, podejmującego się rozlicznych obowiązków.

Dla swojego protektora przebudował Fontana dawny pałac Lubomirskich w Lubartowie, tworząc okazałą, reprezentacyjną rezydencję, z paradnym dziedzińcem, utworzonym przez oficyny i zamkniętym wielką bramą od frontu. Pałac, w modnym wówczas francuskim typie entre cour et jardin, nosi jeszcze piętno architektury XVII wieku z kręgu Tylmana z Gameren, a niewielki wpływ Fontany tłumaczy fakt, że przybył do Lubartowa w momencie znacznego zaawansowania prac, wkraczających już w etap końcowy.

Od fundamentów natomiast i według własnej zapewne koncepcji wznosił usytuowany w pobliżu pałacu farny kościół św. Anny — pierwszą z szeregu świątyń tego typu określanego „centralno-



Portret architekta Pawła Fontana wykonany w 1743 przez malarza włoskiego Jana Fulchi

-podłużnym". Zaprojektował i zrealizował także jej bezpośrednie otoczenie — budynek plebanii i ogrodzenie o falistej linii zwieńczenia kamiennego muru, nadając całości zwarty, jednolity charakter. Kościół lubartowski, dobrze świadczący o zawodowym kunszcie architekta podobal się powszechnie, skoro w krótkim czasie powstało kilka jego replik. Do „rodziny” tej należą oparte na tej samej koncepcji, różniące się nieznacznie w szczegółach, ręką tego samego architekta wzniesione kościoły paulinów we Włodawie (1739—1786), brygidek w Brześciu Litewskim z lat około r. 1751, pijarów w Chełmie (1753—1764) oraz przypisywany temuż architektowi, nieco bardziej odbiegający tak w planie jak i bryle od pozostałych, kościół „na Górcę” w Chełmie (dawna katedra grecko-katolicka, budowana w latach 1735—1756). „Przypomni Wasza Księżęca Mość [...] Książęci Dobrodziejowi — pisał w 1748 roku do Barbary Sanguszkowej, żony księcia Pawła, proboszcz z Kublicz koło Plocka — *jedyn abrys lubartowski kościoła aby kazał odrysować, nic nie wyminąć ani przyczyniając...*”. W Kubliczach pracował czas jakiś inny z Fontanów, zapewne jeden spośród krewnych Pawła, o którym donoszono Sanguszkowej: „*Ponieważ Jaśnie Pan Józef Fontana z tą fabryką kościoła kublickiego tak się droży, nie dziwiwie się, że przez to Wasza Księżęca Mość (...) od kontraktownia odradził*”. Czy tenże Józef Fontana, niezbyt dobrą ciesząc się sławą — jak mówią o tym listy proboszcza z Kublicz — realizował koncepcję świątyni centralno-podłużnej autorstwa Pawła Fontany?

Skarg na Pawła Fontanę archiwa sanguszkowskie — jak dotąd — nie ujawniły. Jedną z podpisanych przez niego umów, dotycząca budowy kościoła kapucynów w Uścilugu na Wołyniu, określa go „*Artis Architectonicae Magister*”. Miał on wówczas — a był to rok 1751 — tytuł pułkownika artylerii Wielkiego Księstwa Litewskiego, co, świadczy o dość wysokich zawodowych kwalifikacjach, a charakteryzujące go słowa: „*virum iam peritum et expertum videlicet*” nie były w tym kontekście jedynie zdawkowym komplementem, ale wyrażały uznanie dla jego zdolności — na co chyba w pełni zasłużył sobie nadworny architekt Sanguszków.

Był człowiekiem niezwykle ruchliwym, przemieszczał się często w miejsca od siebie dość odległe, doglądając różnych „fabryk” budowlanych i kontrolując realizację swoich dyspozycji. Zdażało się też, że murarze i inni rzemieślnicy nie podejmowali się większych prac „*bez pana Fontanego, który się oświadczył, że dla przysługi Waszej Księżęcej Mości Dobrodzieja unikając wielkiego kosztu sam zechce jechać do Warszawy i dopilnować szczerze...*”

Okres lubartowski to dla architekta czasy dużej prosperity. Mnożyły się zamówienia na budowle, które realizował w kilku miejscach niemalże jednocześnie. Dzielił swój czas między Warszawę, gdzie bardzo często był „dla rewizji” przebudowywanego właśnie pałacu Sanguszków i gdzie zapewne odwiedzał swojego brata, Lubartów, gdzie oprócz fary zaprojektował i wznosił kościół kapucynów (1737—42), Rawę Ruską (1726—1739), Sądową Wisznę (1730—1741) i Chełm (1738—1741), gdzie budował kościoły i klasztory dla reformatów, Włodawę, gdzie wznosił kolejną replikę świątyni lubartowskiej — tym razem dla paulinów. Często widzimy go w roli głównego architekta i projektodawcy kościołów kapucyńskich i reformackich. Stał się zapewne ekspertem w dziedzinie budownictwa zakonów, które obowiązywały ściśle przepisy budowlane, określone w tzw. konstytucjach. Kościoły tak kapucyńskie jak reformackie musiały być niezwykle skromne. Prostokątna w planie nawa i nieco mniejsze, na takim samym rzucie, prezbiterium — obie były przesklepione — to podstawowy, realizowany wszędzie niemal bez zmian typ architektoniczny. Przy tak prostym planie rola architekta ograniczyć się mogła do sporządzenia „abrysu” i okresowego nadzoru technicznego prac — stąd też mógł Fontana, bez uszczerbku dla każdej z nich — podjąć się realizacji jednocześnie kilku świątyń w oddalonych od siebie miejscach. Tam, gdzie wymagał tego charakter prac i większy z pewnością stopień trudności, był na budowie i dłużej — w roku 1741 paulini włodawscy zapłacili mu za „*asystencją fabryki przez lato*”. Obecność architekta przy „fabryce” była znaczącym wydarzeniem, skoro przy tej okazji wydatkowano pieniądze „*na wódkę przy bytności architekta*”. Skrzętnie notowano w rachunkach każdą sumę, wypłaconą czy to mistrzowi samemu, czy jego pomocnikom. Stąd częste wpisy w ro-

dzaju: „*na olwóko chłopcu Pana Fontanego*”, „*na buty chłopcu Pana Architekta*”, „*woźnicy P. Fontanego*”, wyszczególniano także wydatki „*na barwę*”, czyli ubiór, dla tegoż woźnicy oraz sumę przeznaczoną „*na owies dla koni P. Architekta*”.

JEGO stosunki z Sanguszką układały się pomyślnie — książę darzył swego architekta sporym zaufaniem, posyłając go często „do rewizji” różnych „fabryk”. Na podróże te otrzymywał Fontana zapewne socjalne fundusze, oddzielone w rachunkach od wydatków stałej, należnej mu pensji, która w roku 1726 wynosiła 1440 złotych polskich, cztery lata później — 1800 zł. O jej uregulowanie upominał się w listach do Sanguszkowej: „*Jako najniższą submisyją padając do stóp pańskich te dwa tysiące złotych polskich które (...) Książę wypłacić kazał mi ustnie deklarował in memoriam reduco, że aż do tego czasu tysiąc odebrałem (...). Przybliża się także rata (...) na ten sam fundusz (...) a co dzień na tej erekcji [czyli budowie] expensa mam wielkie...*”. Skarży się też swojemu protektorowi i suplikuje jego łaski „*gdyż przez lat dwa około tej fabryki podarły się suknie, musiałbym do gdańska napisać do którego kupca, aby mi przysłał sukna...*”.

Opieka Sanguszkowej zapewniała artyście byt zapewne dostatni, był on bez wątpienia człowiekiem zamożnym, skoro w roku 1737 mógł kupić dworek w Lubartowie, przy ulicy Kamieńskiej tj. w bezpośrednim sąsiedztwie pałacu, przy trakcie wiodącym do Kamionki. Posiadłość ta, określona w księgach wieczystych jako „folwark z ogrodem” kosztowała architekta 170 złotych polskich. Życie jego uległo stabilizacji. Czy porzucił już myśl o powrocie do Włoch? Jego więzy z innymi architektami Włochami pracującymi w Polsce były wciąż zawsze ściśle — przez Paracców czy Belottich przekazywał wiado-



Dawna katedra grekokatolicka w Chełmie pobudowana w latach 1735-1756, której autorstwo przypisywane jest Pawłowi Fontanie



mości swojej włoskiej rodzinie. Na żonę wybrał jednak Polkę.

**O** ŻENIŁ się we Lwowie z Marią Suffczyńską, córką być może podczaszego lukowskiego, którego nazwisko kilkakrotnie pojawia się w archiwaliach związanych z Sanguszkami. Jakkolwiek listy wysyłane do Włoch pisał po włosku, do Sanguszki zwracał się w języku polskim — ta jego korespondencja zdradza rękę jakiegoś oficjalisty dworskiego — własnoręczny jest jedynie podpis Fontanty. Na pieczęci, jaką opatrywał listy widnieje — zachowany do dziś — jego herb.

Spśród czworga dzieci jedynie dwaj synowie — Jan i Jakub — powrócili z czasem do rodzinnej Valsoldy. We Włoszech działał też Carlo Fontana — „buon ornataista e frescante”, określony jako wnuk Fontanty, zmarły w 1856 r. Córki, wydane za mąż za kupców lwowskich — jedna za Francuza o nazwisku Boisserrand, druga za Włocha Balarellę — pozostały w Polsce. Tutaj mieszkał też brat Pawła, także zresztą architekt, właściciel cegielni w Warszawie. Wspomina go bowiem Paweł w liście do Sanguszki donosząc swojemu protektorowi o pobycie w Warszawie i „egzaminowaniu” bramy pałacowej, czego dokonywał wspólnie z bratem. Tegoż brata wymienia i sam Sanguszko pisząc do swego plenipotenta: „Cegły ponieważ tam nie masz gotowej, zleciłem tedy panu Fontanemu mojemu, aby pisał do brata swego, aby tymczasem chciał na kredyt co potrzeba, a je mu pieniądze odeśle”. Czy brat ów to warszawski architekt Józef Fontana — czy może Jakub; nie ten jednak, znany architekt warszawski, najprawdopodobniej inny, o którym wiemy jeszcze niewiele. „Defekta w abrysie kościoła zasławskiego, które miałem śmiałość donieść Waszej Księżęcej Mości (...) najpierwej upatrzone są od Pana Jakuba Fontanty, architekta tutecznego — pisał z Warszawy misjonarz Śliwicki do Sanguszki — człowieka in hac arte bardzo biegłego, który lubo bratu swemu dobrze życzy, jednakże zwykłą swoją rzetelnością w tym mnie przestrzegł (...). Tylko suplikuję Waszej Księżęcej Mości Dobrodzieja abyś to w sekrecie trzymał raczył, że te obserwacje od Pana Jakuba Fontanty pochodzą”.

Czy archiwalna wzmianka dotycząca wypłaty pewnej sumy „J. Panu Fontanemu od poprawy abrysu na pałac zasławski” w roku 1757 dotyczy kolejnej interwencji brata, jawiącego się tutaj jako architekt bardziej biegły, w sytuacji, kiedy Paweł sam poradzić sobie nie umiał?

**O** BIE wzmianki łączą się już z „zasławskim” okresem w życiu architekta, bowiem po roku 1743 przeniósł się wraz z całym dworem Sanguszków do Zasławia nad Horyniem. W 1745 roku sprzedał lubartowski dworek „z drzewianemi budynkami, parkanami, gruntem wszystkim”, zastrzegając sobie jednakże prawo do pozostania w nim jeszcze do św. Michała. W roku 1746 jest już z pewnością w Zasławiu i zamieszkuje w dworku należącym do leśniczego zasławskiego, w którym przywilejem wydanym przez księcia „do czasu miał pozwolone mieszkanie”. Dworek ten usytuowany był „w mieście Nowym Zasławiu, nad Ponurką (?), za groblą, ex opposito zamku nowego”. Nie było to chyba miejsce zbyt bezpieczne, skoro architekt — od 1749 roku żonaty ponownie, tym razem z Włoszką Teresą Ramaironi, którą poślubił w Zasławiu — „kołaczę do respektu Jaśnie Oświeconej Księżnej”, ponawiając prośbę, która jak dotąd skutku nie odniosła: „...abyśmy mogli wraz z dziećmi czasu konfederacji (czego uchowaj Boże) mieścić się w zamku w oficynie kuchennej na drugich schodach w izbie przy alkierzu gdzie podczas grasujących w Ukrainie haydamaków mieszkaliśmy...”. Był to rok 1764 — czas konfederacji barskiej, rok, w którym konsekrowano kościół pijarów w Chełmie, kończony zapewne już bez udziału Fontanty.

Po przeprowadzce na Wołyń skarżył się artysta na listach do swoich bliskich na brak zarobków. Sytuacja ta wkrótce jednak uległa zmianie — architekt był nadal niezwykle czynny. Nawet pożar jednej z „fabryk” nie zachwiał w sposób istotny jego pozycji materialnej. W jednym z listów do Sanguszkowej prosi o dyspozycję „respektem fabryk zasławskich i szepietowieckiej” — co do kontynuacji prac bądź ich przerwania. Cóż to za fabryki zajmowały architekta w Zasławiu?

Już w grudniu 1746 roku rozpoczął przebudowę zamku zasławskiego czyniąc z niego — jak wcześniej w Lubartowie — reprezen-



Pałac Sanguszków w Zasławiu wg litografii Napoleona Ordy, około 1870

tacyjną, wygodną rezydencją. Zamek nie przetrwał do naszych czasów w „fontanowskim” kształcie, kiedy posiadał wspaniały dziedzińiec z okazałą bramą wjazdową, lamany dach, ciekawie rozwiązany ryzalit główny, kryjący zapewne eliptyczną w planie salę a ponadto piękny, rozległy ogród. Dawna siedziba Sanguszków znana jest nam dziś jedynie z XIX-wiecznych rycin i opisów, w których czytamy m.in. „Nie tak [on] piękny jak wspaniały (...) przebudowany wielokrotnie, co mu odjęło jego charakterystyczne cechy”. Rzeczywiście — odsprzedany przez kolejnego właściciela — Romana Sanguszkę — rządowi, przekształcony na koszary stracił wiele ze swej okazałości.

Architektoniczny pejzaż Zasławia wzbogacił się dzięki Fontanie o dwie jeszcze budowle — obie z pewnością dużej klasy: kościół farny św. Jana Chrzciciela „z kamienia ciosowego w kształcie krzyża” oraz kościół św. Józefa, fundowany dla przybyłych z Krakowa misjonarzy przez księcia Sanguszkę jeszcze w roku 1748, a więc na dwa lata przed jego śmiercią, konsekrowany zaś w roku 1751. Był to kościół „murowany, figury krzyżowej, pokryty dachówką, front zaś facyaty (tj. fasady) blachą białą pobity” — jak opisywano go w roku 1819 podczas wizytacji generalnej. I dalej: „facyatą obrócony na zachód słońca między dwiema wieżami murowanymi blachą białą pokrytymi...”. Tak jak w przypadku fary lubartowskiej tak i tutaj zaprojektował Fontana otoczenie kościoła, jego scenografię, na którą składał się „cmentarzyk w półcyrkul, murowany, w słupy między którymi żelazne są wprawiane sztachety”.

Wszystkie prace, jakich podejmował się architekt musiały być uzgadniane wcześniej ze zleceniodawcą. Tak więc gdy w kościele misjonarzy, w tym samym, w którym Jakub Fontana dopatrywał się „defektów w abrysie”, uszkodzona została dachówka, interwencja architekta musiała być uzgodniona z księżną, „aby raczyła pozwolić i rozkazać Panu Fontanemu żeby dachówkę na jednej stronie dać kazał (...).”, a tenże z kolei odpowiedział, że „nie może się odważyć tego uczynić bez wyraźnego Waszej Księżęcej Mości Dobrodziejki rozkazu...”.

Aby uzupełnić obraz artystycznej aktywności Fontany, do rozlicznych jego obowiązków dorzucić można jeszcze prace przy „reperecji” drewnianego pałacu w Białogrodce, oddalonej o 20 wiorst na południowy zachód od Zasławia, jakies bliżej nieokreślone zajęcie przy „fabryce szepietowieckiej”, remont pałacu Radziwiłłów w Lublinie, a może także i inne kościoły Brześcia Litewskiego: katedrę unicką i kościoły trynitarzy?

Właśnie Radziwiłłom, blisko z Sanguszkami spokrewnionymi, zawdzięczamy jedyny portret Fontany, przechowywany pieczołowicie pośród innych po nim pamiątek przez rodzinę w Cressogno, odtworzony, wraz z herbem architekta na wybitym w Chełmie w 1980 roku medalu pamiątkowym. Wizerunek pędzla Jana Fulchi, nadwornego portrecisty Radziwiłłów, namalowany w roku 1743 przedstawia sympatycznego mężczyznę o dość pełnej, owalnej

twarży okolonej przylegającymi ściśle do głowy rurkowatymi lokami białej peruki, nie sięgającymi jednak ramion. W dłoni, wychylającej się spoza białej falbanki rękawa, trzyma arkusz z wyrysowaną na nim fasadą kościoła — jakby wizytówkę zawodową architekta.

CZY długoletni pobyt Fontany w Polsce spełnił jego nadzieje? Oprócz majątku, jaki zdobył w Polsce, posiadał najprawdopodobniej także jakieś dobra we Włoszech — wiemy o tym ze spisanej w roku 1755, znanej z kopii sporządzonej ręką dworskiego archiwisty interczy, w której cały swój majątek — w przypadku swojej śmierci — pozostawia żonie, po niej z kolei dziedziczyć go mają dzieci.

Mimo początkowych obaw o brak zajęcia na Wołyniu, aktywność architekta nie osłabła, mimo, że zmarł Sanguszek, jego protektor i fundator zarazem wielu wznoszonych przezeń budowli.

Do Włoch, do rodziny, z którą nieprzerwany kontakt utrzymywał przez całe długie 40 lat pobytu w Rzeczypospolitej, nie powrócił. Zmarł w Zaslawiu w roku 1765. W zaslawskim dworcu mieszkała czas jakiś jeszcze jego żona, a to „dla zakończenia interesu sukcesyjnego z pp. Boisserrand” — córką architekta z pierwszego małżeństwa i jej mężem.

Sylwetkę architekta odtworzyć możemy z fragmentarycznych wzmianek archiwalnych. O jego talencie, zdolnościach — słowem kunszcie artystycznym — dają pojęcie wzniesione przez niego budowle. Niestety, nie wszystkie — a dotyczy to zwłaszcza pałaców — przetrwały do dziś w stanie niezmiennym. Nie wszystkie też można oglądać — po ostatniej wojnie znalazły się poza granicami Rzeczypospolitej. Nie oszczędził ich ani czas, ani ludzie.

Eliptyczny plan świątyni, które w Polsce realizował z takim powodzeniem „podpatrzył” architekt zapewne w Italii, jakkolwiek elipsa występowała sporadycznie na ziemiach polskich już w XVII wieku — przykładem kościół kolegiacki w Klimontowie czy kaplica Kalwarii Zebrzydowskiej. Formę elipsy miały rzymskie amfiteatry i pomieszczenia w antycznych termach — wymienić można choćby termy Karakalli. Elipsa, jako jednym z wariantów rzutu kościoła, zajmował się w XVI wieku Sebastiano Serlio — włoski teoretyk architektury i architekt; realizowali ją w swoich budowlach najwybitniejsi architekci Italii doby baroku: Vignole, Bernini, Borromini. Stała się formą popularną zwłaszcza po odkryciu Jana Keplera, który zaobserwował, że po eliptycznych torach krążą planety w układzie słonecznym. Tak więc koło uważane dotąd za figurę doskonałą, ustąpiło miejsca elipsie, które z Włoch przedostała się za Alpy, do południowych Niemiec, Austrii i Czech, gdzie wzorem działającego w Turynie generalnego architekta Guarino Guariniego, zaczęto tworzyć skomplikowane układy przestrzenne, dla których elipsa była formą wyjściową.

Który z włoskich kościołów tak urzekł Pawła Fontanę i swoją oryginalnością zainspirował do tego stopnia, że kilkakrotnie powtórzył go w Polsce, dostosowując do „nieba i zwyczaju polskiego”?

Czy sam jednak dobrze czuł się pod „polskim niebem”, pośród ludzi żyjących wedle „obyczaju polskiego”? Czy uznał za prawdziwie własny swój dom na Lubelszczyźnie, a potem na Wołyniu?

Najprawdopodobniej żyją jeszcze we Włoszech jego potomkowie; nazwisko to często spotykane jest dziś także w Szwajcarii — nawet w kantonach od Tessynu odległych. Czy jednak któryś z „współczesnych” Fontanów słyszał cokolwiek o nadwornym architekcie Sanguszków w odległej Rzeczypospolitej?

JOANNA WINIEWICZ

Artykuł oparty został na własnych poszukiwaniach archiwalnych oraz na opracowaniach wcześniejszych: S. Kozakiewicz, *Valsolda i architekt z niej pochodzący*, „Buletyn Historii Sztuki i Kultury” IX, 1947, nr 3/4, str. 306—322; D. Mszczak, *Kalendarium prac Pawła Antoniego Fontany we Włodawie*, „Roczniki Humanistyczne KUL”, 18, 1970, z. 5, s. 55—68; te same, *Materiały archiwalne do działalności architektonicznej Pawła Fontany*, „Roczniki Humanistyczne KUL”, 1, 1973, z. 4, s. 25—40; a także A.J. Blichuta, O.F.M., *Niezrealizowane architektoniczne Pawła Antoniego Fontany dla reformatorów małopolskich w: „Podług nieba i zwyczaju polskiego”*. Prace z historii architektury, sztuki i kultury, Warszawa 1988.

# KUZYNKA BUŁHAKOWA

HENRYK RADEJ

Ilaria była młodszą od Michaiła o rok. Urodziła się 31 marca 1892 roku w Chelmie. Była jedyną pociechą dla swoich rodziców. Jej młodszą siostrą Iroczką żyła zaledwie 11 lat. Za to Michaił, jej kuzyn, ten musiał mieć wesołe dzieciństwo i młodość w Kijowie. Jego matka Barbara urodziła mu jeszcze cztery siostry i dwóch braci. Razem było ich siedmioro. Zabawne musiało być życie w takiej gromadzie.

Ale atmosfera domów — Ilarii w Chelmie i Michaiła w Kijowie — była podobna w jednym względzie. On był synem profesora Kijowskiej Akademii Teologii, ona — córką wykładowcy Prawosławnego Seminarium Duchownego i Seminarium Maryjnego. Od najmłodszych lat oboje obracali się w duchowej atmosferze boskich tematów i rozpraw. Stosy uczonych ksiąg były też nieodłącznym elementem ich domowego pejzażu i wychowania.

Jak długo jednak można pozostawać *świeżymi* bez wytchnienia? Rodzinne kłopoty i zawodowe stresy trzeba było jakoś odreagować. Zdrowy humor i żarty dominowały więc w kijowskim domu Bułhakowów<sup>1</sup>). Resztę dopełniało umiłowanie sztuki, zwłaszcza teatru i muzyki. Wspólnie recytowano wiersze, muzykowano inscenizowano domowe spektakle. Osobowość Michaiła okazała się bardzo chłonna i podatna na ten rodzaj sztuki amatorskiej. Między innymi i tym należy tłumaczyć fakt, że po latach porzuci on zawód lekarza i pozostanie wierny literaturze.

Ilaria, oprócz solidnego wykształcenia ogólnego, również pobierała domowe lekcje muzyki. Zadbali o to jej ojciec. Nie sposób było uwolnić się od jego dbałości o poziom rozwoju duchowego własnej córki. Będąc wykładowcą filozofii i greki, umiejętnie rozwijał w swoim dziecku zainteresowania humanistyczne i religijne. Wczesna znajomość elementów wiedzy w tych dziedzinach zadecydowała o całym późniejszym życiu Ilarii.

Jej rodzice, Michaił Iwanowicz Bułhakow<sup>2</sup>) i Ludmiła Gapanowicz poznali się przypadkowo w pociągu. Być może było to na trasie między Kowlem a Kijowem? Zakochali się od pierwszego wejrzenia. Fakt ten opowiadano sobie później jako rodzinną anegdotę. Ilaria wierzyła, że całe życie składa się z przypadków. Z czasem młody filozof opuścił rodzinny Kijów i zamieszkał na stałe u żony w Chelmie.

Mieszkali w kamienicy przy ulicy Reformackiej 15. Ludmiła miała średnie wykształcenie u „*blagorodnych dziewczyn*”, których szkoła sąsiadowała przez ścianę z jej domem. Nie pracowała zawodowo. Zajmowała się domem i po trosze była chelmską damą. Ich córka Ilaria nie mogła więc być gorsza pod względem wykształcenia od swoich rodziców. Dorastającą panienkę wysłano po dalszą naukę do Moskwy. Podjęcie takiej decyzji ułatwił zapewne fakt, że Bułgakowie mieli tam bliską rodzinę. Ilaria zamieszkała zapewne u swoich krewnych.

Dzisiaj trudno ustalić szczegóły i nikt nie pamięta wspomnień Ilarii z tamtych lat. Zwierucha I wojny światowej, rewolucyjne wrzenie, a później wojna polska — bolszewicka nie sprzyjały pobieraniu nauk, zwłaszcza duchowych. Jej pobyt w Moskwie przeciągnął się aż do połowy lat dwudziestych.

W tym czasie młody lekarz Michaił Bułhakow włączył się do pracy w Pododdziale Sztuki pisząc pierwsze utwory dramatyczne dla miejscowego teatru. W 1921 roku przyjechał na stałe do Moskwy.

Zapewne Ilaria poznała swego kuzyna o wiele wcześniej, być może w Kijowie przy okazji rodzinnych spotkań. Spotykali się też w Buczu w okresie letniej kanikuly, kiedy to najbliżsi zjeżdżali na wypoczynek i zabawę. Natomiast trudno dziś udowodnić, czy kiedykolwiek Michaił pojawił się w Chelmie, aby odwiedzić rodzinę stryj. W latach siedemdziesiątych Ilaria opowiadała, że Michaił przyjeżdżał do niej z wizytą. Ile było w tych opowieściach prawdy, a ile pragnień — nie wiadomo.

Swego kuzyna, który nosił takie samo imię jak jej ojciec, Ilaria

darzyła szczególnym sentymentem. Do końca życia nie wyrażała się o nim inaczej jak tylko: „mój Michał”, „mój brat”. „Zobacz, co ten mój Michał pisał, znów wydali jego książkę” — mówiła będąc już starszą panią do bliskiej swemu sercu uczennicy Katarzyny Kurylo. Kiedyś w przypływie szczerości zwierzyła się, że Michaił był mężczyzną w jej typie, „bo miał wąskie usta”. Później, w okresie międzywojennym starała się o jej rękę pewien dyrygent chóru warszawskiego, ale bez rezultatu. Jej podobali się tylko mężczyźni o wąskich ustach. I może dlatego, że niewielu takich spotkała w swoim życiu, nigdy nie wyszła za mąż.

W 1926 roku, po naukach w Moskwie, Ilaria wróciła do Chełma. Zapewne przywiozła ze sobą pierwsze książki Michaiła opatrzone dedykacjami dla uroczej kuzyńki. Jeszcze w latach sześćdziesiątych Katarzyna widziała takie egzemplarze w jej mieszkaniu. Zapewne były to: „Biała gwardia”, „Diaboliada” i „Opowiadania”. Co bardziej pamiętliwi do dziś wspominają jej rewolucyjny zapał, którym bulwersowała małomiasteczkowy Chełm. Chciała zakładać jakieś partie polityczne. Była aktywna i bezkompromisowa w sądach. Nosila się modnie, co też wywoływało komentarze na jej temat. Powtarzano plotkę, że płynnie kłnie po francusku i opala się nago.

Na początku 1937 roku umiera ojciec Ilarii. Jego odejście przeżywa ona bardzo głęboko. W niedługim czasie dokonuje przeobrażeń w swoim życiu. Ku zdziwieniu otoczenia zmienia się jej charakter i filozofia. Ilaria opowiada matce i najbliższemu osobom swój sen-widzenie, w którym główną postacią był zmarły niedawno ojciec. Czuje się spodkobierczynią jego duchowego i moralnego testamentu. Zgłębia teologię, język starocerkiewny i żywoty świętych. Odtąd, ta ekscentryczna do niedawna kobieta, aż do końca swego długiego życia nosić będzie tylko czarne stroje. Swoją aktywność przeniesie do wnętrza cerkwi. Nieoczekiwanie ujawnia się nieobecne dotąd skłonności charytatywne i zaangażowanie w celach dobroczynnych. Ilaria zbiera pieniądze dla najbardziej potrzebujących, a podczas wojny z narażeniem życia podrzuca chleb jeńcom

radzieckim uwięzionym na Placu Łuczkowskiego.

W tym samym czasie dowiaduje się, że w Moskwie zmarł w okropnych cierpieniach jej ukochany Michaił. Ilaria zamawia w cerkwi *panichidę* za spokój jego duszy. Takie nabożeństwa z jej inspiracji odprawiane będą jeszcze co pewien czas w Chełmie, a potem na św. Górze Grabarce. W 1977 roku podczas kolejnej pielgrzymki do klasztoru w Grabarce, w gęstwinie pokutnych krzyży Ilaria ustawi jeszcze jeden, poświęcony pisarzowi. Zawiesi na nim tablicę z napisem: „*Boże, wybacz mi!* Ostatnie słowa rosyjskiego pisarza Michaiła Bulhakowa (1891—1940). Panie okaz miłosierdzie nad nim”. W jej mniemaniu zgrzeszył on ciężko przeciw Bogu pisząc „Mistrza i Małgorzatę”.

Po wojnie zmieniła się rzeczywistość, ale świat wewnętrzny Ilarii pozostał taki sam. W Związku Radzieckim do lat sześćdziesiątych oficjalnie zapomniano o Michaiłie Bulhakowie. Stalinowska polityka kulturalna przypisała go do „białych Rosjan”. Również Ilaria w Polsce nie afiszowała się pokrewieństwem z Michaiłem. Mając na utrzymaniu matkę i duży dom, w lutym 1946 roku podjęła pracę zawodową w Państwowej Szkole Muzycznej w Chełmie. Obecny jej dyrektor — Mieczysław Niedźwiecki, mówi rozkładając ręce:

— Niestety, w naszym archiwum szkolnym nie ma żadnych dokumentów dotyczących bezpośrednio prof. Bulgakowej. Oczywiście, są dzienniki, protokoły z jej podpisem, ale to wszystko.

W szkole zaczynała jako nauczyciel języka rosyjskiego. Wiadomo, jakie były to czasy. Język rosyjski był obowiązkowy. Środowisko nauczycielskie i inteligentkie nie odnosiło się z sympatią do nauczycieli tego przedmiotu, widząc w nich przedstawicieli obcego im ustroju i kultury. Ponadto, Ilarii nie uznano zdobytego w Moskwie 20 lat wcześniej wykształcenia. Dopatrzone się, że w jej studiach więcej było filozofii i teologii niż filologii. Z roku na rok stawała się bardziej nauczycielem muzyki. Przydzielano jej lekcje w klasie fortepianu. Do dziś, wiele osób w Chełmie wspomina dość oryginalną postać „profesor Bulgakowej”, która źle znosiła wydekoltowane bluzki i mini spódniczki swoich uczennic.

Jej uczniami byli m.in. Marek Kasz i jego siostra Magdalena, która trochę bała się tej pani w czerni. Za to Ilaria czule nazywała ją „*ciuciumali*”, a brata — „*kaszmarek*”. Magdalena do dziś pamięta pewien koncert, na który została zaproszona do domu pani profesor. Były smaczne ciastka, a potem obie słuchały Szopena ... z radia. Pani szybko zasnęła, a ona bała się ruszyć. Nie wie ile to trwało, ale jej rodzice zdążyli w tym czasie przeszukać pół miasta i wybierali się na milicję. Wreszcie w szkole ktoś przypomniał sobie o ich wspólnym wyjściu.

Niestety, nikt nigdy nie widział i nie słyszał koncertującej Ilarii, nawet w szkole. Chyba zdawała sobie sprawę, że domowa edukacja z lat młodości, to trochę za mało. Była natomiast dobrym teoretykiem. W muzyce szczególnie upodobała sobie kompozycje Szopena. Znała szczegóły jego biografii i tajniki warsztatu. Udzielała trochę lekcji prywatnych u siebie i w domach swoich uczniów.

Doktor Barbara Kornas wspomina ją ze szczególnym namaszczeniem. Ilaria uczyła muzyki całą jej trójkę dzieci. Podczas częstych wizyt w ich domu dala się poznać jako człowiek na miarę europejską. Widziano w niej dobrego pedagoga i kobietę o wysokiej kulturze. W rozmowach przy herbatce dyskutowała o sztuce. Przynosiła pisma, które nadsyłała jej z Paryża i Pragi. Rzekomo korespondowała z nimi wysyłając tam swoje artykuły. Państwo Kornasowie traktowali ją jako przyjaciela domu. A starzejąca się Ilaria grzała się przy ich domowym ognisku.

Brak własnej rodziny, a zwłaszcza dzieci, sprawił, że właśnie najmłodszym chciała przekazać jak najwięcej dobra i piękna, które sprawdziły się w jej życiu. Katarzynę Kurylo zauważyła w cerkwi i od razu zwróciła na nią baczną uwagę. W krótkim czasie polubiły się z wzajemnością. Ilaria podsuwała jej książki, namawiała do dalszej nauki. Ale wyperswadowała jej studia medyczne, „bo jak taka słaba istota udźwignie chorego człowieka”. W rezultacie, Katarzyna ukończyła rusycystykę.

Ona pierwsza opowiedziała jej o pisarzu Bulhakowie.

W „*Powieści teatralnej*”, którą otrzymała od Ilarii jest wiele fragmentów zakreślonych ołówkiem. Być może odnalazła w nich odbicie rodzinnych wydarzeń i bliskich sobie osób, albo też utożsamiała się z myślami autora?

Katarzyna była jeszcze świadkiem jej manier. Pani profesor



Ilaria Bulgakow

jadła śniadania na wzór francuski: rogaliki, dżem i kawa. Obiady były późne z dużą ilością warzyw i owoców. Kolacji raczej nie jadła. Może dlatego miała ładną cerę i wyglądała o wiele młodziej niż wskazywały na to jej dokumenty. Codziennie przechodziła do niej „niania” i ciepłym kocem okrywała nogi. Była konserwatystką w każdym względzie, a już na pewno w dziedzinie obyczajów.

Jej dom oddawał jej osobowość. Wszyscy wspominają stary, duży kredens, okrągły stół i staromodne krzesła. Lampa wisiała nisko, a pod ścianą stało żelazne łóżko. Wokół panował półmrok. Na środku, między oknami wisiała ikona, dalej — stary zegar z wagami. Obok stało czarne pianino, a na nim jakieś korzenie — dziwolągi natury. Uczniowie siadali przed pianinem na kręconym stołku.

Od kilkunastu lat wszystko to znajduje się w klasztorze na św. Górze Grabarce, dokąd Ilaria jeździła często z pobudek religijnych. Około roku 1972—73 zapragnęła wyjechać tam na stałe, aby w spokoju dożyć swoich dni. Specjalnie, nie było tam miejsca dla niej, ani na księgozbiór, ani na meble i rzeczy osobiste. W klasztorze trwała wówczas budowa nowego domu zakonnego. Co jakiś czas Ilaria wracała do Chelma, często przeziębiona i niedożywiona. Nie był to właściwy tryb życia dla kobiety w wieku 90 lat. Jednak ona poddawała się woli bożej, ufając, że „Bóg wie co dla człowieka najlepsze”.

Latem 1982 roku doktor Kornasowa spotkała ją na skwerze koło cerkwi w Chelmie. Była chora i zaniedbana. Następnego dnia Ilaria z zapaleniem płuc leżała już w szpitalu. Później leczyła się w domu, spędzając całe dni w prawie pustym mieszkaniu. Obok opiekunki PCK na zmianę czuwali przy niej ci, którym przekazała wartości niewymierne.

Kilka razy dziennie przechodziłem pod oknami domu, w którym mieszkała jeszcze Ilaria wraz z cioteczynym bratem Dymitrem Czyżewskim. Nigdy przedtem nie myślałem, że już za kilka lat chodzić będę po jej śladach. Nie znalazłem historii tego domu, ani mieszkających w nim ludzi. Jednak zawsze intrygował mnie stos książek na okiennym parapecie. Tak było do 4 grudnia 1982 roku. W tym dniu umarła Ilaria, a następnego, na drzwiach wejściowych i murze od strony ulicy Waśniewskiego pojawiły się klepsydry z nadrukiem „Bulgakow”. Miasto dowiedziało się o jej śmierci. W świadomości niektórych nazwisko to zabrzmiało dziwnie znajomo.

Telefon na św. Górze Grabarce milczy przez pół dnia. Wreszcie w porze obiadowej odzywa się kobieta ze śpiewną melodią w głosie. To siostra Lidia — przełożona klasztoru. Na dźwięk imienia Ilarii przerywa mi obwieszczając, że „ona nie żyje”. Kiedy dopowiadam szczegóły chcąc wprosić się i mieć dostęp do jej spuścizny, namawia mnie do odłożenia wizyty na później. Drogą kompromisu udaje mi się ustalić termin za dwa tygodnie.

W ciągu kilku godzin dojeżdżam pociągiem z Chelma do Siemiatycz. Gdzieś za Siedlcami krajobraz zmienia się. Trudno zdefiniować na czym to polega, ale pojawiające się co kilka kilometrów identyczne domki drózników kolejowych pamiętają zapewne czasy cara batuszki. To w tych okolicach Ilaria pisała na karcie pocztowej adresowanej do dzieci doktor Kornasowej: „Pociąg, 16.VII.72. Drogie moje dzieci! Piękno na każdym kroku — tylko trzeba je zauważyć! I trzeba je w życie wprowadzać! I będziemy! Prawda? I. Bulgakow.”

W małej wiosce Sycze, gdzie wysiadam wśród zalesionych wzgórz, słychać tylko szum wiatru. Złoty szlak turystyczny prowadzi mnie piaszczystą drogą do klasztoru. Matka Lidia nie jest zadowolona z mojego przyjazdu, ani tym, że chcę szperać w rzeczach po Ilarii. Oczywiście, że ją pamięta. Zaczęła tu przyjeżdżać jeszcze w latach sześćdziesiątych. Przełożoną była wtedy matuszka Barbara, która tolerowała życzenia bogobożnych starszych pań-dobroczyńców. Ilaria została lektorem podczas nabożeństw.

— Ja bym jej nie przyjęła. Klasztor to nie dom starców. Teraz mamy przeważnie młode siostry, które uczą się i robią doktoraty w Leningradzie.

Po pół godzinie mogę nawet usiąść. Na stole pojawia się herbata i zupa rybna, a ja wysłuchuję swoistej katechezy prawosławnej. Nie protestuję, bo jestem tu na lasce matuszki, ale co chwila kieruję rozmowę na wydarzenia wokół Ilarii.

— Pan to jak katolik szowinist, wszystko chce zobaczyć, sprawdzić, a może i zabrać? Ale tu klasztor i nie można wchodzić.

Wszystko jest! Kiedyś sama przejrę i poszukam co trzeba.

Przełożona przywołuje wreszcie młodą siostrzyczkę i poleca jej przynieść *letopisy* klasztoru. Znaczną ich część prowadziła Ilaria. Od razu rozpoznaję jej ogromne i kanciaste *bukwy*. Na jednym ze zdjęć grupowych odnajduję jej jasną twarz. Ona jedna stoi w gromadzie sióstr rozpromieniona i z gołą głową.

— To dlatego, że była skrupulatna i lubiła pisać dalyśmy jej *letopis*. Przez to była dokuczliwa, bo o wszystkim pamiętała — do rzuca na koniec matka Lidia.

Czyściutka cerkiew pachnie starością i dymem świec. Trudno precyzyjnie się wśród drewnianych krzyży okalających wzgórze. Ale udaje mi się znaleźć ten jeden, jedyny poświęcony Michailowi. Ilaria nie ma tu swojego krzyża. Tak jakby zgubiła go po drodze między Chelmem a Grabarką.

„Zerknąłem do brulionów i zobaczyłem, że pierwszym słowem była „apokalipsa”, drugim „archaniołowie”, trzecim zaś „diabeł”. Skreśliłem je pokornie, chciałem co prawda nadmienić, że są to naiwne skreślenia, ale spojrzałem na Rudolfiego i nic nie powiedziałem.” (M. Bulhakow, „Powieść teatralna”).

HENRYK RADEJ

<sup>1)</sup> Pisownia nazwiska „Bulhakow” w takiej postaci pojawiła się dopiero w tłumaczeniach na język polski. W oryginalnej wersji językowej ukraińskiej i rosyjskiej posiada ono formę „Bulgakow”.

<sup>2)</sup> Forma zapisu i brzmienie nazwiska chełmskich Bulgakowów nigdy nie uległa spolszczeniu. Świadczą o tym podpisy Ilarii i jej matki, dokumenty urzędowe oraz rodzinne napisy nagrobne.



„Boże wybacz mi!” — słowa na symbolicznym grobie Michaila Bulgakowa w Grabarce

# Słów kilka o „kresach”

Określenie *kresy* jest doskonale znane i często przez nas używane. Nie zastanawiamy się jednak głębiej nad tym, skąd to pojęcie przywędrowało do naszego języka i dlaczego powszechnie stosujemy je na określenie wschodnich krańców (granic) Polski. O pochodzeniu określenia *kresy* wiemy niewiele. Prawdopodobnie wywodzi się ono z języka niemieckiego od wyrazu *kreis* (w języku polskim — *kres*) i wiąże się z następującymi formami: *die Granzlinie* (linia graniczna), *Kreislinie* (linia kresowa), *Umkreis* (okrąg), *Landeskreis* (okolica, kraj kresowy). Źródła historyczne dokumentują bogactwo znaczeniowe wyrazu *kres*. Znaczenia te charakteryzuje duża różnorodność. A więc *kres* to: kolo, granica, obręb określony granicą kołistą np. w celu pojedynku, a jednocześnie *kres* to linia okalająca pewną przestrzeń, linia będąca granicą pewnej przestrzeni, linia obronna na granicy, kreska, okrąg, orbita, ogrodzenie. Oprócz w/w znaczeń wyraz *kres* używany jest dla określenia końca lub celu, startu lub mety. *Kres* to także określony obszar, miejsce gdzie się coś znajduje i szczyt, punkt kulminacyjny. To tylko niektóre ze znaczeń pojęcia *kres*, ale i one charakteryzują wielkie rozbieżności znaczeniowe tego określenia.

Wyraz *kres* będący rzeczownikiem rodzaju męskiego stał się podstawą utworzenia późniejszej formy liczby mnogiej, tj. formy *kresy*, w znaczeniu: „dawniejsza linia wojskowego pogranicza od Kozaczyzny i Ordy Tatarskiej, siedzących wówczas na dolnym Dnieprze i na jego ujściu.”

Znane są także próby wyprowadzenia liczby mnogiej od rzeczownika rodzaju żeńskiego, czyli od wyrazu *kresa*. Takie właśnie pochodzenie liczby mnogiej znajduje potwierdzenie w Encyklopedii Staropolskiej Glogera: „*Kresami* zwano stanowiska wojskowe czyli wojskowe stójki i poczty rozstawione na pobrzeżach Podola i Ukrainy, jako straż graniczne od napadu Tatarów i Hajdamaków, a zarazem do przesyłania listów i znaków alarmu służące. Ponieważ służbę taką odbywano kolejno, czyli jak komu wypadła kreska, *kresa*, więc i stąd nazwa poszła.” (...) „Nie tylko na pobrzeżu, ale i w wielu stronach Korony, zamieszkałych przez lud polski służbę kolejną na stojące u wójta zwano „kresową” i nad Wisły wzięto nazwę na Ruś. Ponieważ linia czatowni pogranicznych, ciągnąca się przez stepy od Dniepru do Dniestru, była łańcuchem takich stójek wojskowych, więc w mowie potocznej przyplątano z czasem znaczenie granicy Rzplitej od Zaporozża, Tatarów i Wołoszczyzny.”

Przytoczony cytat z Glogera sugerowałby, że wyraz *kres* w postaci liczby mnogiej zaczął być używany już we współczesnym znaczeniu co najmniej od połowy XIX wieku. Trudno jednoznacznie ocenić, czy podstawą utworzenia formy *kresy* był rzeczownik rodzaju męskiego *kres*, czy też rzeczownik rodzaju żeńskiego *kresa*. Spore trudności sprawia również stwierdzenie, kiedy dokładnie pojawiła się na gruncie polskim forma *kresy* w jej znaczeniu dzisiejszym, tj. odnoszącym się do terenów pogranicza wschodniego Polski. Przyпуска się jedynie, że wyraz *kresy* w znaczeniu dzisiejszym został po raz pierwszy użyty przez Wincentego Pola w gawędzie rycerskiej pt. „Mohort”. Ten znakomity XIX-wieczny poeta, urodzony w Lublinie w 1807, wychowany na tradycji utworów Krasickiego i Karpińskiego (poetów pochodzących z Ziemi Czerwińskiej) kochał ponad wszystko ziemię wschodnią, ich zabytki i kulturę. Przyczyniły się do tego również częste wyjazdy na wakacje do krewnych, mieszkających w Mostkach pod Lwowem. Mieszkańcy tego dworu byli żywą kroniką minionych czasów. Ich długie opowiadania o dawnym obyczajach uzupełniane były przez Kozaka Zachara, pełniącego służbę przy dworze. Śpiewane przez niego dumy ukraińskie i dawne kozackie pieśni wojenne pogłębiły w Wincentym przywiązanie do poezji i pieśni ludowej. Rezultatem takich właśnie zainteresowań Pola był „Mohort”. Utwór ten miał również inny tytuł — „Wieczory kalenickie”, który wskazuje na pochodzenie poematu: w okresie pobytu Pola w majątku Krasickich Kalenicy, Ksawery Krasicki

opowiadał często Polowi przeróżne zdarzenia z czasów niepodległej Polski. Przewijały się wówczas przed oczyma duszy poety obrazy najdziwniejszych przygód i osób. Na jedną z nich zwrócił Pol szczególną uwagę. Był nim Szymon Mohort, rycerz kresowy, pochodzący ze szlachty kresowej, z kresów ukraińskich. Trudno znaleźć w naszej literaturze postać rycerską, którą można by porównać z Mohortem. Nawet bohaterowie Sienkiewicza nie są w stanie mu dorównać, łączył on bowiem w sobie czynność, służbistość i waleczność Wołodyjowskiego z łagodnością serca Podbięty. W poemacie tym, liczącym sobie 3200 wierszy, pojęcia *kresy* używa Pol aż 26 razy! Określa również dokładnie teren, do którego stosuje to pojęcie:

*Kto by to myślał, kto by się spodziewał,  
Że gdzieś za światem w bodziakach Czehryńskich,  
Że gdzieś na kresach nigdyś Ukraińskich  
Taki świat dzielny i mocny bywał?*

i dalej:

*Ze stepów Bohu, więcej ku wschodowi  
Zwróciłem konia na stepy Dnieprowe,  
I pojeździłem szlakiem ku Dnieprowi,  
Kędy na kresach wojska narodowe  
Od ujścia Rosi począwszy już stały.*

Utworzona forma liczby mnogiej *kresy* wzbogaciła stopniowo swoje znaczenie, odnoszące się do określenia obszarów pogranicznych lub granicznych np.: granica, pogranicze, kraina pograniczna, linia pogranicza wojskowego, obronna linia graniczna. Obecnie poprawne i literackie określenie pojęcia *kresy*, to: część kraju leżąca blisko granicy, pogranicze (zwłaszcza dawne pogranicze wschodnie).

W języku polskim istnieją również wyrazy pochodne od formy *kresy*. Najczęściej spotykane to określenia stosowane do ludności zamieszkującej tereny kresowe np.: *kresowiać*, *kresowianka*, *kresowicz*, a także przymiotnik *kresowy* (będący na kresach, pograniczny). Interesującym jest fakt, że pierwotnie wyraz *kresy* odnosił się wyłącznie do obszarów wschodniej Polski, położonych na pograniczu z dawną Rusią. W ostatnich latach jednak zaczęto rozszerzać użycie tego wyrazu w odniesieniu także do innych pogranicznych terenów Polski np. ze Słowacją (kresy południowe, obszarów zachodnich (kresy zachodnie) czy nawet północnych (kresy północne).

LUCYNA ZIENKIEWICZ

*Dziękując za wyrażoną uczucia łączę się z patriotycznym ludem chełmskim w jego radości z odzyskania zabranej mu przemocą dawną katedry katolickiej. Przywiązanie do wiary ojców i gorąca miłość Ojczyzny pozwoliły ludowi przetrwać zwycięsko najsrozsze prześladowania. Ze wzruszeniem przyjmuję wyraz jego niezłomnej woli, że stać będzie nadal wiernie i czynnie na straży Wschodnich Kresów Rzeczypospolitej.*

Naczelnik Państwa JÓZEF PIŁSUDSKI

(w odpowiedzi na depeszę biskupa lubelskiego Fułmana, informującego o rekuncjacji świętyni 26 maja 1919 r.)

# CHŁOPAK Z CUMANIA

JERZY GÓRNY

## 1.

Siedzimy ze Stanisławem Esterem w jego jeleniogórskim mieszkaniu. Na ścianach wiszą malowane przez gospodarza obrazy, na stole odręcznie wykonana mapa zatytułowana „Tulaczka wojenna rodziny Esterów, wołyniaków z Cumania-Olyki w latach 1939—1947”.

— Namalowałem Europę — mówi pan Stanisław. Zieloną linią zaznaczyłem trasę wojennej tulaczki moich rodziców i brata, linią czarną trasę moich wędrówek.

Linia zielona swój początek bierze gdzieś daleko na wschodzie, w Mandzurii, by zatrzymać się w Olyce, na trasie Równne — Łuck...

## 2.

Uszkodzony most kolejowy na rzece Putilówka zatrzymał w 1918 r. pociąg, którym wracał z ośmioletniego zesłania warszawiak Aleksander Ester. Za cały dobytek służyła mu podróżna torba i harmoszka. Ponieważ reperacja mostu trwała czas pewien, a trzydziestoletni Aleksander nie stronił od zabawy, na jednej z potańcówek poznał dziewiętnastoletnią pannę mieszkającą w pobliskiej gajówce, położonej w rozległych lasach należących do ołyckiej ordynacji Radziwiłłów. Pociąg odjechał, Aleksander został. Zatrudnił się jako robotnik na niewielkiej stacji kolejowej Cumań, kilka kilometrów od Olyki.

W niedzielę, 7 września 1919 roku w ołyckiej kolegiacie ksiądz Żmijewski pobłogosławił związek małżeński kawalera Aleksandra Estera z panną Antoniną Porębską. W niedzielę, 6 czerwca 1920 roku urodził im się syn Stanisław.

## 3.

W 1927 roku Stanisław rozpoczął naukę w szkole powszechnej imienia Królowej Jadwigi w Równnem. Ponad trzydziestokilometrową trasę wraz z innymi dziećmi przejeżdżał pociągiem towarowym, w doczepionym do niego wagonie osobowym, z lawkami wokół ścian i żelaznym piecykiem na środku. W zimie matka dawała na drogę kilka kawalców drewna, aby po drodze było czym rozpaścić w piecyku.

Gdy w 1935 roku skończył naukę w Równnem, kontroler kolejowy z Chelma przywiózł do Cumania prospekt reklamujący szkołę techniczną w Brześciu. Zapadła decyzja dalszej nauki. Matka wyposażyła go w chleb i słoninę, wypełniła bilet kolejowy do Brześcia.

— Po kilkudniowych egzaminach wracałem do domu uradowany faktem przyjęcia mnie do szkoły. W Brześciu zdążyłem kupić sobie tarczę szkolną z numerem 71T i czapkę z niebieskim otokiem.

Przez cztery lata nauki nie było łatwo. Rodzice nie przysyłali mi wystarczającej ilości pieniędzy. Zajęci swoimi obowiązkami ani razu nie przyjechali do Brześcia. Nie znali warunków w jakich przyszło mi się uczyć. Na śniadanie — sitkowy chleb ze smalcem i cebulą, na obiad gospodyni gotowała nam zupę za 10 groszy. Ale dzięki pomocy opiekuna wydziału mechanicznego szkoły i udzielanym korepetycjom udało mi się przetrwać.

Duma rozpieła wszystkich, gdy ze świadectwem technika mechanika powrócił w czerwcu 1939 roku do Cumania. Ale na stole leżało wezwanie do odbycia miesięcznego obozu wojskowego na Huculszczyźnie. Lipcowe dni nad Czeremoszem były ostatnimi dniami młodości. Gdy w sierpniu powrócił do domu, zastał następne wezwanie — do odbycia służby wojskowej w szkole podchorążych

we Włodzimierzu.

Zanim nadszedł termin wyjazdu, z wiszącego na ścianie radioodbiornika Telefunkena dowiedzieli się o wybuchu wojny.

## 4.

Mieszkańcy malej, liczącej pięć domów i jedenaście rodzin wioski czekali z niepokojem na rozwój wypadków. Wkrótce zaczęli nadciągać uciekinierzy z zachodnich terenów Polski.

— Tragedia ludzi wywierała na mnie, dziewiętnastolatku, przegnębiające wrażenie. Wraz z moim kolegą zgłosiliśmy się jako ochotnicy w urzędzie gminy w Olyce. Skierowano nas do akcji pomocy uciekinierom, którą kierował ksiądz Edmund Radziwiłł. Zwerbowane nakazem wójta furmanki rozwoziły uciekinierów do pobliskich wsi. Naszym zadaniem było sporządzanie wykazów imiennych, zapewnienie u chłopów podstawowego wyżywienia. Jednak wkrótce, na skutek ogólnego chaosu, akcję pomocy przerwano.

Dwa wydarzenia miały w tych dniach szczególne znaczenie. Około 8 września na stacji Cumań pojawił się powóz z dwoma salonkami, które zamaskowano przy pomocy brzoźowych drzewek. Do zamku w Olyce przybył niewielki oddział wojskowy, a wraz z nim grupa dystygowanych osób cywilnych. Tydzień później do mieszkania wpadł zdyszany ojciec Stanisława.

— Ubieraj się i zgłoś do czekającego na ciebie przed domem majora.

— Przyjechałem z rekomendacji księcia Edmunda. Czy znasz dobrze okoliczne drogi leśne?

— Nie zabłądzą nawet nocą.

— Siadaj więc na rower i jedź do Olyki, na zamek.

Na zamkowym dziedzińcu panował duży ruch. Żołnierze ładowali skrzynie na wozy. Do innych furmanek wyścielonych słomą wsiadali elegancko ubrani mężczyźni i kobiety. Tymczasem major pokazał mu na mapie trasę, którą konwój leśnymi drogami powinien dotrzeć do toru kolejowego. Gdy przybyli tam po dwóch godzinach, na torze pojawił się zamaskowany wcześniej pociąg. Wsiadli pasażerowie, załadowano bagaże i odjechał w kierunku Równnego.

— Major pożegnał się ze mną, ostrzegł o tajemnicy wojskowej i polecił udać się do domu. Do dzisiaj nie udało mi się odpowiedzieć na pytania: kto był w tym konwoju? gdzie dotarli? co wieźli?

## 5.

17 września sytuacja uległa diametralnej zmianie. Z licznych plakatów i ulotek dowiedzieli się, że Armia Czerwona zajmuje tę ziemię, aby uwolnić gnębione narody od kulaków i kapitalistów. Księcia Edmunda wraz z rodziną wywieziono w głąb Związku Radzieckiego. W grudniu ojca, bez podania przyczyn, usunięto z pracy i mieszkania. Znaleźli się na śniegu. Rodzina z Kolonii Kadyszcze przygarnęła ich do wspólnej izby, w której razem było ich siedmioro. Trzeba było szukać źródła utrzymania.

— Pierwsze w życiu podanie o przyjęcie do pracy w odległym o siedem kilometrów od stacji tartaku musiałem napisać po rosyjsku. Przesłany na dyrektora były enkawudzista, towarzysz Gorbaczow, napisał na nim: „Jesli podchadit', nie wozražajus'.” Taka opinia wystarczyła, aby zatrudniono mnie w biurze warsztatu mechanicznego tartaku jako kreślarza. Zabrałem się solidnie do pracy, znalazłem uznanie w oczach dyrekcji. Ułatwiło to zatrudnienie ojca w parowozowni kolejki wąskotorowej, łączącej tartak ze stacją. Rodzice przenieśli się do mnie, do tartaku. Na szczęście aresztowania i zsyłki

ominęły naszą rodzinę, chociaż dwukrotnie byłem wzywany do NKWD, gdzie wmawiano mi przynależność przed wojną do organizacji „Strzelca” i „Sokoła”. Dyrektor Gorbaczow okazał się dobrym człowiekiem, osłaniał Polaków przed NKWD. Miał tam wiele do powiedzenia.

W listopadzie 1940 roku do tartaku wpłynęło zamówienie wojskowe. Trzeba było wykonać czternaście wagonów — sań do wywożenia śniegu z lotnisk wojskowych. Stanisław otrzymał zadanie nadzorowania montażu. Gdy w połowie grudnia gotowych było dziesięć wagonów, jeden ze ślusarzy zauważył zbyt dużą przestrzeń dzielącą obudowę wagonu i ruchome skrzynie na śnieg.

— Przestraszony sprawdziłem rysunki. Odkryłem, że błąd popełniła stolarnia. Skrzypiny były krótsze o pięć centymetrów. Zgłosiłem ten fakt do Wani Popowa, leningradczyka przyslanego tu na dyrektora technicznego.

— Nikomu nie mów — odpowiedział.

Następnego dnia zdenerwowany Wania wszedł do warsztatu i w tajemnicy wepchnął mi do kieszeni kartkę na której pisało: „Nakazuję towarzyszowi Esterowi kontynuować montaż sań samowyladowniczych według nieprawidłowych rozmiarów minus 50 milimetrów. Iwan Popow.”

— Po co ta kartka? — zapytałem.

— Ech, ty durniu. Nie znasz Związku Radzieckiego. Ja jestem Rosjaninem, ty Polakiem. Dzisiaj jestem tutaj, jutro skierują mnie do innej pracy. Jeśli się dowiedzą co zrobiliście — po tobie. Masz to na obronę.

Sumienie czy też nerwy Wani nie wytrzymały. Zameldował o tym dyrektorowi Gorbaczowowi. Po kilku godzinach przed dyrekcyjnym budynkiem zatrzymał się samochód NKWD. Zapewne Gorbaczow wszystko załatwił, gdyż jedyną konsekwencją było wysłanie starego majstra na emeryturę.

— Gdy w sylwestrowy wieczór czterdziestego roku sprzątałyśmy hałę po zmontowaniu ostatnich sań, wszedł do niej dyrektor Gorbaczow:

— Dziękuję wam — powiedział. — Dzisiaj w świetlicy jest zabawa. Przychodźcie, będziemy witać nowy rok!

## 6.

Nowy rok nie okazał się lepszym. W czerwcu po rozpoczęciu wojny niemiecko-radzieckiej nastąpiły jeszcze trudniejsze czasy. 23 sierpnia w Cumanii pluton egzekucyjny Gestapo rozstrzelał „na wyspie” liczną grupę Polaków i Żydów. Władzę nad tartakiem objął herr Gallus, chodzący zawsze z bykowcem w rękę. Wyjechał po kilkakrotnych ostrzeżeniach w ulotkach, że zginie. Po nim dyrektorem został Forster, jeszcze „lepszy” od poprzednika. Bił z zamiłowaniem. Praca była symbolicznie wynagradzana, zaczął dokuczać głód. Wiosną czterdziestego drugiego roku, ostrzeżony o możliwości wywózki do Niemiec, Stanisław Ester ucieka do tartaku w Orzewie.

Ale prawa życia są nie mniej silne niż prawa wojny. W listopadzie poślubia córkę Gracjana Bogusza, jednego z rozstrzelanych „na wyspie” w Cumanii. Jednak luny pożarów nad polskimi wioskami pośród ukraińskiego zwiwołu nie zapowiadają spokoju. Zagładzie uległa robotnicza osada Janowa Dolina, ginie kilkaset osób. W marcu czterdziestego trzeciego na tartak w Orzewie napada silny oddział ukraiński. Walka między atakującymi i broniącymi się wachmanami trwała całą noc. Są zabici i ranni.

— Wraz z żoną i teściową skryliśmy się w krzakach obok domu. Przeżyliśmy. Zapadło postanowienie ucieczki do Brześcia. Rodzice i brat pozostali w Cumanii.

## 7.

Brześć okazał się, na tle sytuacji na Wołyniu, zbawiennym miejscem.

— Otrzymaliśmy pomoc. Pani Czechowicz, moja gospodyni z czasów szkolnych, pomogła znaleźć mieszkanie. Znalazłem pracę przy rozładunku soli. Noszone z wagonów do magazynu worki przesiąkały potem. Sól wżerała się w plecy. Ale, jeśli udało się jaj

ukraść, była dobrym towarem w handlu wymiennym.

W niedzielę, 22 sierpnia 1943 roku Esterom urodził się syn. Na chrzcie otrzymał imiona Wiesław Aleksander.

— Otrzymaliśmy list z Warszawy, od wuja żony, Zygmunta Bogusza. „Ratujcie się, uciekajcie z Brześcia, dam wam schronienie w moim domku na Grochowiu” — pisał. Uradował nas ten list, ale jak przejść strzeżony most na Bugu?

Mijały tygodnie, podczas których intensywnie układali plan „skoku przez Bug”. Sąsiedzi podpowiedzieli, że można przekupić Niemców. Wkrótce trafiła się okazja. Niemiec, kierowca firmy remontowej, miał przewieźć kilka silników samochodowych z Brześcia do Warszawy. W sekrecie, po cywilnemu, przyszedł uzgodnić warunki. Był koniec kwietnia czterdziestego czwartego roku.

— Jutro, w niedzielę rano, przyjadę pod wasz dom. Brama ma być otwarta. Będziecie mieć tylko kilka minut na załadowanie się.

Spojrzał na teściową i dodał:

— Jej nie zabiorę, tylko was i dziecko. A teraz dawaj pieniądze i słoninę.

Narada z sąsiadami pozwoliła na rozwiązanie tego problemu. Niemcy zezwalali miejscowym na jednodniowe odwiedziny krewnych po zachodniej stronie Bugu, pod warunkiem pozostawienia na granicy dokumentu. Za przysługę brali chętnie słoninę.

— Wrzuciłem do koszyka ze dwa kilogramy słoniny i dokument teściowej, z zameldowaniem w Brześciu, oraz adres „krewnych” w Terespolu. Boczny ścieżkami dobrnęliśmy do granicznego mostu. „Idź mam, tylko spokojnie” — powiedziałem, sam kryjąc się w zaroślach. Przez kilka minut serce mi łomotało. Jednak zobaczyłem, że drzwi wartowni się otwierają, a moja teściowa w umówiony sposób podnosi rękę lekko do góry — idzie do Terespoła.



Z matką Antoniną, zdjęcie z lat dwudziestych

Rano poukladaliśmy się w ciężarówce za silnikami, na tobołkach położyliśmy uśpione makie dziecko. Kierowca szczególnie zasznurował plandekę. Na moście, przez szparę ujrzalem rozmawiających Niemców, obdarowanych naszą słoniną. Po kilku minutach byliśmy w Terespolu. Przed szlabanem kolejowym czekała na nas teściowa. Kierowca, otrzymawszy dodatkowo znaczną opłatę, był laskawy i pozwolił ją zabrać. Po południu dojechalśmy do Warszawy. Teściowa pożegnała go słowami: — Boże, pomóż temu „Frycowi”.

## 8.

Po tygodniu znalazła się praca dla Stanisława Estera. W Grójcu, gdyż wuj od razu skontaktował go z organizacją AK, która uznała, że tam potrzebny jest łącznik. Pracował prawie do powstania, gdy otrzymał rozkaz, aby stawić się w swoim zgrupowaniu w kompanii lotniczej, gdyż po zwycięstwie miała za zadanie obstawiać lotnisko.

Powstanie rodzina przeżyła w piwnicy, Stanisław Ester w oddziale.

— Jak było w powstaniu — wiadomo. Strzelanina, gaszenie pożarów, brak wody i żywności. Chodziliśmy po jęczmień na Chłodną, do magazynów browaru. Ten jęczmień kanałami taszczyliśmy do Śródmieścia. Robiono z niego placki. Po wodę — do studni na Poznańskiej. Trzeba było czekać na kolejke pięć, sześć godzin. Były zruty broni, lekarstw, ale to kropla w morzu potrzeb...

Wraz z rozkazem o kapitulacji Warszawy nakazano wychodzić z miasta kobietom i dzieciom, mężczyznom — na razie zostać.

— Odprowadziłem swoją rodzinę do punktu zbiorczego, pożegnałem się. Gdy wracałem wśród gruzu do oddziału, natrafiłem na zgubiony przez syna bucik uszyty z mojego szkolnego płaszcza. Nosilem go długo jako talizman.

W oddziale otrzymaliśmy po dwadzieścia dolarów, polecenie wyszukania sobie dobrych butów i ubrań oraz rozkaz zdania broni Niemcom, najlepiej, jeśli będzie uszkodzona.

Zdawaliśmy broń koło Politechniki. Potem pędzono nas aż do Ożarowa. Tam w pustych fabrycznych halach spędziliśmy noc i otrzymaliśmy pierwszą gorącą zupę z kapusty. Załadowano nas do wagonów towarowych i pociąg zatrzymał się aż w Łambinowicach koło Opoła — w słynnym Lamsdorf Stalag.

## 9.

— Ogromny obóz. Rosjanie, Francuzi, Anglicy. Zostawiono nas na odrutowanym polu przez dobę. Chciało się pić. Przyjeżdżał taki „Fryc” wozem z umieszczoną na nim beczką z wodą, otwierał korek i zacinał konia. Za wylewającą się na ziemię strugą biegli powstańcy. Każdy lapał wodę w ręce, czapkę, puszkę. Potem rewizja — zabierano nam co się dało. Zaprowadzili nas do baraku — bez sienników, bez kocy, bez poduszek.

Rozpoczęło się życie obozowe. Zupa z brukwi, szkorbut, krwotoki. W grudniu rozpoczęto wyczytywanie numerów — po pięćset dziennie. Do wyjazdu!

— Po kilku dniach wyczytano 103704 — mój numer. Rano zbiórka i do towarowych wagonów. Dotarliśmy do Monachium, do Stalagu 7A. Tam strzyżenie, kąpiel, nowe ubrania — austriackie mundury z pierwszej wojny. W baraku sienniki, poduszki, koce. Po tym, co przeżyliśmy, prawie komfort. Następnego dnia rano kiszona kapusta i ziemniaki. A potem wręcz rozpusta — podjechał z paczkami szwajcarski Czerwony Krzyż. W paczkach papierosy, czekolada, kawa.

Wkrótce Stanisław Ester trafił do Arbeitskommando — do pracy w Monachium. Codziennie rano długi marsz do pracy. Uzupełniali dachówkę na wysokich, strzelistych dachach monachijskich budynków. Wiele godzin spędzonych na dachu wykrzywiało palce od mrozu. Trzeba było uważać, by nie spaść.

— Tam było takie zdarzenie. Strażnik, który nas pilnował, zauważył, że kolega z kartką na chleb wyszedł na ulicę. Gdy wrócił — Niemiec uderzył go w plecy kolbą rewolweru. Kazał wszystkim zejść z dachu, ustawił nas i tłumaczył, na czym polega przewinienie, po czym znów wyciągnął rewolwer... Wtedy rzuciliśmy się na niego.

Koledzy, którzy dobrze znali niemiecki zagrozili mu: — Jeśli uderzysz, wyrzucimy cię przez okno. On się przestraszył i kazał iść do obozu. Okazało się jednak, że po naszych wyjaśnieniach wachman dostał nagane. Już się Niemcy zaczęli bać.

Potem reperowali dach na byłej rezydencji królów bawarskich. Aż nadeszło wyzwolenie: 8 maja wkroczyli Amerykanie.

## 10.

Wolność. W pierwszym tygodniu szaleństwo. Radość z wolności, a jednocześnie rozboje, pijaństwo, morderstwa. Niemcy pochowali się w piwnicach. Dopiero po kilku dniach Amerykanie zaprowadzili porządek. Stanisława Estera przeniesiono do Norymburgii. Tam pracował przy rozładunku amerykańskiej żywności.

— Podczas wojny, jeszcze w Warszawie, dowiedziałem się, że rodzice i brat zostali wywiezieni do Rzeszy. Mając adres, zwróciłem się do komendanta obozu o zgodę na tygodniową przepustkę.

Ubrany w amerykański mundur dojechałem do stacyjki Bodenheim. Podszedłem do starego niemieckiego kolejarza i mówię:

— Jestem Polakiem. Gdzie jest obóz?

— Dlaczego pan pyta?

— Bo tu była moja rodzina.

— Jak się nazywali?

— Ester.

— Ester! On pracował tu u nas, na stacji, lampy czyścił. O, mój



Stanisław Ester w Watton Camp, maj 1947



Boże!

Zaprowadził mnie do obozu. Wszystko było tam zdemolowane.

— Gdzie oni są?

— Tydzień przed wejściem Amerykanów popędzili ich do Darmstadtu.

W Darmstadt znalazłem ich w szkole. To był szok. Rozstaliśmy się na Wołyniu, spotykamy pod francuską granicą.

Spędziłem z nimi tydzień. Rodzice namawiali mnie do powrotu do kraju, mnie jeszcze ciągnęło do kolegów z powstania. Wróciłem do Norymbergii.

Wkrótce przyjechała ogromna kolumna. Ogłaszają, że w Polsce akowców aresztują, radzą nie wracać do kraju, wstępować do wojska. Pojechaliśmy do Włoch.

## 11.

Trafiał do zielonych беретów — do batalionu komandosów. Stacjonowali niedaleko San Lorento, gdzie rekruci odbywali intensywne szkolenie. Po dwóch miesiącach odkomenderowano go do wojskowej szkoły technicznej. Pomimo że miał stopień strzelca, jako wykładowcę zakwaterowano go razem z oficerami. Ci zwracali się do niego „Panie inżynierze”, co mu schlebiali.

Pewnego dnia szkołę niespodziewanie wizytował gen. Szyszko—Bohusz.

— No, jak tam panie poruczniku? — zwrócił się do Estera.

— Panie generale, nie jestem porucznikiem. Jestem strzelec z cenzusem.

Kazał zapisać dane i odjechał.

— Minął tydzień, a w rozkazie wieczornym słyszę, że otrzymuję stopień Public Relation Officer — oficera oświatowego. Zmieniało to mój status: wyższy żołd, inne świadczenia, mieszkanie cywilne u Włochów. Czas mijal dość przyjemnie.

W roku czterdziestym szóstym II Korpus przeniósł się do Anglii. W roku następnym został rozwiązany. Każdy może jechać, gdzie chce. Stanisław Ester pod koniec maja wysiadł w Gdańsku. Wkrótce, zabrawszy żonę z Kielc, dołączył do rodziny w Jeleniej Górze.

## 12.

Po wojnie powrócił do deski kreślarskiej. Skończył studia. Był konstruktorem, projektantem maszyn górniczych, autorem kilku patentów.

W 1968 roku wybrał się swoim moskwiczem do Lwowa. Stąd do Cumania tylko sto kilkadziesiąt kilometrów. Wprawdzie nie miał stosownych przepustek, ale pojechał. Odwiedził znajomych, obejrzał tartak. Plakala Wójtowiczowa, która nosiła go jeszcze na rękach, rozplakał się Kuźma Czeczotka, majster z tartaku. W domu na stacji w Cumanii nadal w piwnicy leżał kamień, który zatoczyli tam wspólnie z ojcem. W powrotnej drodze zatrzymała go milicja i za brak przepustek zawróciła do Łucka na rozmowę.

Ale to nieważne. Chociaż przez moment mógł popatrzeć na miejsca swojej młodości. Mógł czarną linię na mapie tułaczek Esterów, oznaczającą jego drogę, z powrotem dociągnąć do Cumania i Olyki.

JERZY GÓRNY

# WĘDRÓWKI PO KRÓLEWCU

ARTUR TIMOFIEJEW

P óżnym wieczorem wsiadłem w Wilnie do pociągu podążającego do Królewca. Wykupiłem u konduktora pościel za cenę jednego rubla, ułożyłem się wygodnie i tuż za Kownem zapadłem w drzemkę, obiecawszy sobie przedtem solennie, że obudzę się na granicy Litwy i Prus. Pociąg przejechał przez Kibarty po stronie litewskiej, minął Ejdkuny po stronie pruskiej, a ja wciąż spałem. Ocknąłem się w Stolupianach, gdzie przystanął na dłużej. Wyrzałem przez okno. Niewiele mogłem dostrzec, bo prawie cały dworzec tonął w ciemności. W mętnej poświacie kilku żółto świecących latarni przemknęli przez peron wysiadający pasażerowie, słychać było wyłącznie mowę rosyjską.

Pociąg ruszył, ale nie miałem już ochoty na drzemkę. Wiedząc, że linia kolejowa Kowno—Królewiec biegnie wzdłuż rzek Pissy i Pregoly i przecina, podobnie jak główna dorga kolowa, znane mi z ubiegłorocznego wypadu do Prus miasta Gąbin, Wystruć, Welawę i Tapiewo, chciałem — zgodnie z powiedzeniem, że wizytówką każdego miasta jest jego dworzec — spojrzeć na nie okiem pasażera pociągu. Niestety, srodze się zawiodłem: taktyka zaciemnianych dworców obowiązywała na całej trasie do Królewca i nic poza zarysami budynków, kilkoma punktami światel, a czasem i tablicą z obco brzmiącą nazwą stacji „Gusev” czy „Znamensk” chciwie widoku spojrzenie nie mogło ulowić.

O szóstej rano wysiadłem na Dworcu Południowym w Królewcu. Ten zbudowany z czerwonej cegły, stylizowany na neogotyck przestronny gmach, szczęśliwie ocalały w wojennej zawierusze, swoją halową konstrukcją i krytymi peronami przypominał mi dworce Wrocławia i Gdańska. Ponieważ jeszcze nie świtało, postanowiłem pozostać w jego wnętrzu, obejrzeć je, zjeść śniadanie i kupić bilet powrotny do Wilna. Studiując tablicę z rozkładem jazdy zauważyłem, iż kilka miejscowości oznaczono z boku czerwoną gwiazdką; w legendzie przeczytałem, że są to miejscowości nadgraniczne i że bilet uprawniający do wjazdu tam można nabyć tylko po okazaniu specjalnej przepustki. Dziwne mi się to trochę wydało, tym bardziej, że część „ogwiazdkowanych” miasteczek, jak np. Gierdawy czy Pruska Ilawa, graniczy z Polską. Następne, tym razem mile zaskoczenie przeżyłem, gdy w dworcowym kiosku, pod którym tak jak u nas ustawiała się długa kolejka oczekujących na poranną prasę, zobaczyłem turystyczny plan miasta i zestaw reprintów przedwojennych widokówek Królewca. W oczach kioskarki mignęło zdziwienie, kiedy zamiast o „Kalingradzką prawdę” poprosiłem po polsku o tenże plan i kilka zestawów pocztówek.

Opuściłem dworzec, gdy zaczęło świtać. Pierwsze wrażenie natury czysto organoleptycznej kazało przywołać mi w myślach poranki w Krakowie — to, co z za szyb dworca wzięłem za spowijającą miasto mgłę, okazało się być nią tylko w części, resztę zaś tych oparów stanowiły trujące wyziewy pobliskiej, usytuowanej w mieście fabryki celulozy. Brodząc w tej na polu sztucznej mgły o niemilościernie przenikliwym, ostrym zapachu, dotarłem na Plac Kalinina z socrealistycznym pomnikiem tegoż pośrodku. Rzecz charakterystyczna — podobnie jak Wilno ma „swojego” Lenina wyciągającego dłoń z odstawionym prostopadłe od niej kciukiem, tak i tu, odlanemu w spiżu czołowemu działaczowi reżimu stalinowskiego dłoń zastygła

w dziwnym, wyrażającym ni to drapieżność, ni to reumatyczne dolegliwości, przykurczu.

Ulicą Chmielnickiego przemaszerowałem pod były katolicki kościół Świętej Trójcy, zamieniony po 1945 r. na filharmonię, co bez wątpienia uchroniło ten neogotycki budynek przed dewastacją i kompletną ruinacją, jaka spotkała większość ocalałych z wojennej pożogi kościołów. Z uwagą przyglądałem się smukłej bryle „filharmonii”, portalowi, strzelistej wieży z zegarem i wieżyczkom wieńczącym szczyt frontonu, z których, naturalnie, zniknęły krzyże — mnie zaś przyglądali się śpieszący do pracy mieszkańcy otaczających kościoł kamienic. Kościół był na glucho zamknięty i o zajrzeniu do wnętrza o tej porze dnia nie było mowy.

Zmierając w kierunku centrum, zatrzymałem się na moście łączącym obrzeżną część miasta z dawną dzielnicą Lomse. Zawiesina mgły opadała powoli, leniwy nurt Pregoly unosił na powierzchni poduszki piany — widoczny i drażniący niemiłe powonienie dowód, że fabryka celulozy nie próżnowała tego poranka.

Na lewym nadbrzeżu, w pasie powojennej szarej, pudełkowej zabudowy można było dostrzec przybrudzoną czerwień kilku starych ceglanych budynków — dawnych spichlerzy, może żurawi? Parę metrów od nowego mostu, na którym przystanąłem, widniały pośrodku rzeki i na obydwu jej brzegach kamienno-ceglane przyczółki dawnego mostu, wskazując na kierunek biegnącej tu niegdyś ulicy. Teraz na tym nienaturalnie opustoszałym fragmencie nadbrzeża urządzono skwer — w miejscu, gdzie przed półwiekiem pędziły dorożki i przetaczały się z hukiem tramwaje, można uisnąć na lawce i przeczytać „Prawdę” lub zamyślić się nad losem tego miasta.

Ulicą Oktiabrską dotarłem do sui generis królewieckiego Ursynowa; jednak nie chęć porównywania tutejszych osiągnięć „wielkiej płyty” z warszawskimi przywiodła mnie tu. Szare prostopadłościąny mrówkowców z założenia chyba miały skutecznie kryć okazały gmach kościelny, ale na szczęście, jak się przekonałem, tylko z założenia. Kościół ten od wieków nosił nazwę Kościoła Polskiego — tak też zaznaczyli go autorzy wspomnianego już, wydanego w tym roku, planu turystycznego. Mój Boże, plan turystyczny planem, a ów obiekt, turystyczna atrakcja, znajdował się w oplakany po tysiącokroć stanie. Z dwu masywnych wież tylko na jednej zieleniał patyną wieków półkuliasty hełm — druga wieża, prawie do połowy utracona, wyciągała z ciemnych oczodolów okien, jakby w niemej skardze na los, poskręcane kawałki żarzewiałych szyn. I chociaż bliższego przystępu do kościoła bronił solidny parkan z zamkniętą na kłódkę furtą, dostrzegłem na końcach tychże szyn bloki i pourywane liny; zajrzałem przez szparę w parkanie; porozrzucane na dawnym dziedzińcu przykościelnym dziurawe wiadra, potrzaskane pustaki, worki skamieniałego cementu etc. upewniły mnie, że jeszcze do niedawna ten XVII-wieczny budynek pełnił funkcję magazynu materiałów budowlanych. obszedłem kościół dookoła i mimo zawałonego częściowo dachu, powybijanych do cna i w większości zamurowanych okien, zabitych deskami drzwi, porośniętych chwastami i wątlami brzózkami gzymsów czulem szlachetną i dumną wyniosłość tej budowli utopionej w jakże nuworyszowskiej pseudo-wyniosłości betonowych pudełek. Wrażenie to pogłębiło się, gdy odchodząc ogarnąłem wzrokiem raz jeszcze tę ruinę: na zamglonym cokolwiek niebie wisiało nad wieżami bladawe słońce, a cudem chyba zachowany olbrzymi mozaikowy portal z wielkim łacińskim krzyżem objawiał niestrudzenie w tej dziwnej, powojennej królewskiej rzeczywistości prawdę uwidocznioną na nim sentencji: Słowo z krzyża jest mocą Bożą.

Wyszedłem na szeroki Prospekt Moskiewski, przecinający miaso wzdłuż osi wschód — zachód, ruchliwą arterię komunikacyjną zabudowaną po obydwu stronach nowymi, masywnymi budynkami w stylu lat pięćdziesiątych, mieszczącymi w swoich wnętrznościach prócz mieszkań całe kompleksy urzędów, biur i wielobranżowych sklepów. Ta współczesna reprezentacyjna ulica Królewca mniej więcej na wysokości Kneiphofu czyli Wyspy Katedralnej posiada dość osobliwy akcent — oto, na sporej wybetonowanej płaszczyźnie ustawiono pomalowany na szaro i czerwono stary kuter torpedowy,

sprawiający wrażenie, że lada moment wzbije się w powietrze. Obok kutra znajduje się wyryty w kamieniu zwyczajny przy tego typu „pomnikach” napis okolicznościowy.

Obdylem przechadzając bulwarem wzdłuż Pregoly, z niewielkiego oddalenia spoglądając na wyspę. Doskonale zachowane płyty nadbrzeża, żelazne barierki z czasów cesarza Wilhelma, pacholki i pierścienie służące do cumowania stateczków i łodzi — i obecna, przejmująca swoją nienaturalnością pustka tego miejsca, wypełniona krzykiem mew, kazaly odtwarzać w pamięci obraz dawnego Królewca, znany mi tylko z opowiadań byłych jego mieszkańców, ze starych fotografii i pocztówek. Nadbrzeże i całą wyspę pokrywała gęsta zabudowa wysokich, ostroszczytowych kamienic, na rzecę kolysał się las masztów cumujących łodzi, słycać było syreny niewielkich białych parowców, dziś powiedzielibyśmy spacerowych, wówczas spełniających rolę istotnego środka komunikacji...

Przeszedłem obok dawnych fortyfikacji miejskich mieszczących obecnie Muzeum Radzieckich Gwardzistów i znalazłem się w ciuchym, willowym zakątku, tonącym w cieniu starych drzew — dawniej dzielnicy Amalienau. Dość długo błądziłem uliczkami, przyglądając się starym, krytym czerwoną dachówką willom, gdzieś tam pieczołowicie odrestaurowanym, gdzieś tam zeszpeconym przez współczesne dobudówki. Sądziłem, że poprzez korony drzew dość szczerlnie zasłaniające pole widzenia uda mi się w końcu dostrzec białą wieżę kościoła Luizy, który obrałem za punkt przystankowy kolejnego etapu wędrówki po Królewcu, ale nie dość, że w tej masie zieleni żadnej wieży zauważyć nie byłem w stanie, to na dodatek zacząłem żywić obawy, czy przypadkiem na dobre nie zagubiłem się w tej urokliwej dzielnicy. Toteż ucieszyłem się niezmiernie ujrawszy, jak na opustoszał uliczkę wyszła jakaś pani z siatką na zakupy. Przeprosilem ją i zapytałem o drogę do teatru lalkowego, wiedziałem bowiem, że ta właśnie instytucja mieści się obecnie w kościele królowej Luizy.

— To pan do teatru chce?

— Nie — odparłem. — Interesuje mnie budynek, dawny kościół Luizy — zaznaczyłem i dla pewności powtórzyłem nazwę kościoła po polsku i niemiecku.

— A czy bardzo stary ten kościół? — zapytała.

— Owszem, stary. Zbudowany z białego kamienia, ma okrągłe okna, wieżę z zegarem... — zacząłem opisywać interesujący mnie budynek.

— Ach, to ten stary kościół! Wiem, jak do niego dojść. Idę właśnie na przystanek, więc proszę ze mną, to po drodze.

Ucieszyłem się podwójnie: z odnalezienia właściwego kierunku marszruty i z możliwości porozmawiania.

— Interesują pana zabytki, tak? No, a czy widział już pan Muzeum Gwardziejców? Pewno nie wie pan, jak tam dojść?

Wyjaśniłem, że nie tego rodzaju „zabytkami” się interesuję; szukam śladów przedwojennej przeszłości, między innymi kościołów. Kobieta pokiwała głową ze zrozumieniem.

— A... to pan chce się pomodlić. To źle pan idzie, w tym kościele, o którym pan mówił, nie modlą się teraz. Ale ja wiem, w którym można się modlić. Musi pan od pętli dwa przystanki tramwajem podjechać.

Zmienił mi temat i oto dowiedziałem się, że Królewiec nie zyskał szczególnego powodzenia u turystów — pojawiają się tu, owszem, wycieczki autokarowe z republik nadbałtyckich i Białorusi, czasem trafi do tego miasta autokar z Polski, ale nikt z tych wycieczek nie wypytuje o kościoły czy stare bramy miejskie.

— Oglądają cmentarz żołnierzy radzieckich, fort-muzeum i idą na zakupy do sklepów. To normalne — zakończyła.

Przed nami była pętla tramwajowa, zaś na prawo od niej wśród wiekowych drzew bielala bryła kościoła Luizy. Pożegnałem się z moją przewodniczką i przez uchyloną bramę wkroczyłem do Parku Luizy. Neoromański kościół wykonany z białego piaskowca usytuowany został tuż przy wejściu do niego. Jak zwykle obejrzałem go gruntownie ze wszystkich stron i z satysfakcją muszę przyznać, że jego obecni właściciele z uczciwą troskliwością przyłożyli się do jego



*Budynek dawnej Giełdy królewieckiej, obecnie kaliningradzki pałac kultury marynarzy*

przywoitego wyglądu zewnętrznego. Choć niewątpliwie można wysunąć zarzuty co do usunięcia krzyża z wieży, jak i pokrycia szarą farbą okiennych fug, filarków i słuzek — pierwotnie chyba czerwienią naturalną barwą cegły — to jednak starannie uzupełnione i wyretuszowane wojenne ubytki ścian i fundamentów, całe i czyste rozetowe okna, ba! nawet chodzący zegar na wieży sprawiały przyjemne wrażenie — ten budynek żył. Otwarte drzwi w portalu głównym kusily by przekroczyć ich próg. Tak też uczyniłem. Ledwie jednak znalazłem się w ciemnej kruchcie funkcjonującej obecnie jako szatnia i kasa teatru, wyskoczyła zniechciana tęga jejmość w białej bluzce i z nieukrywaną złością krzyknęła:

— Co! Nie widzicie!? Teatr zamknięty! Nie wolno wchodzić!

— Tak, wiem o tym. Przepraszam, ale...

Dziarska niewiasta nie pozwoliła mi skończyć:

— Nie wolno wchodzić i już! Wychodźcie!

W podobnym tonie, straszliwie kalecząc rosyjskie słowa wyrzuciłem z siebie, że nie przyjechałem tu z Polski po to, by oglądać skaczące na scenie kukły.

— Ciekawi mnie architektura, wygląda wnętrza. Przecież pani wie, że to był kiedyś kościół?

Stropiona tym najwyraźniej, już bez złości wyjaśniła mi, że takie są przepisy i poza spektaklem nie można wpuszczać nikogo do teatru. Pozwoliła mi jednak zajrzeć do środka, upomniawszy przedtem surowo, bym nie usiłował tam wchodzić. Zerknąłem do wypełnionego półmrokiem trójnawowego, bazylikowego wnętrza przedzielonego stylizowanymi na romańszczyznę arkadami, na oddzielone kurtyną od nawy głównej prezbiterium — scenę kukielkowego teatru. Poza zachowanym architektonicznym porządkiem wnętrza nie zauważyłem żadnych śladów dawnego wystroju.

W równie dobrym stanie jak kościół znajdował się rozległy Park Luizy z końca XVIII w. utrzymany w stylu angielskim. Rozłożyste

wiekowe platany, wiązy, akacje łagodzący swoim cieniem upał południa — parkowymi alejkami wijącymi się swobodnie pomiędzy nieregularnymi grupami drzew przebiegała rozbawiona dzieciarnia, na ławkach siedziały młode matki, rozmawiające ze sobą lub kolyszące wózki, emeryci czytali gazety. Minąłem muszlę koncertową, dużą drewnianą altanę à la Chinesse, w której urządzono salon zabaw dla dzieci i zagłębiałem się coraz dalej. Zszedłem w uroczą dolinę przerznątą szemrzącą strugą... mętnej zielonkawej cieczy. Mimo że od czasów królowej Luizy, założycielki parku, nie tylko dużo, ale prawie wszystka woda upłynęła z tego strumienia, nie tracił on wiele ze swego uroku. Pospacerowałem jeszcze trochę po przeciwległej stronie doliny, wspiąłem się na zbocze, przeszedłem się w kierunku południowym w poszukiwaniu śladów starego cmentarza, jaki w tej części parku kiedyś się mieścił, ale nic nie znalazłszy, opuściłem nie bez żalu ten przepiękny zakątek, rzuciwszy przedtem do strumienia drobną monetę...

Klasycyistyczny, na żółty kolor odmalowany budynek Teatru Dramatycznego nie zmieniał nigdy swojego przeznaczenia i lekceważąc zmianę granic i kultur, wciąż służył muzom za przybytek. Tu, w okolicy teatru, jeszcze czterdzieści kilka lat temu stała najslawniejsza protestancka uczelnia północnej Europy — Albertina. Założony w roku 1544 przez księcia Albrechta i zatwierdzony patentem króla Zygmunta Augusta w roku 1560 uniwersytet królewiecki dwukrotnie przyjmował Jana Kochanowskiego; wśród licznie i chętnie studiujących w nim Polaków, głównie protestantów, byli Stanisław Murzynowski, twórca pierwszego całościowego przekładu Nowego Testamentu na język polski i autor „Ortografii polskiej” oraz Hieronim Malecki, tłumacz pism Lutra i wybitny kaznodzieja. Profesorem tego uniwersytetu był Jan Sieklecki-Seklucjan, autor „Wyznania wiary chrześcijańskiej”, pierwszego popularyzatorskiego ujęcia zasad luteranizmu. Tu studiowali: Stanisław Sarnicki, szesnastowieczny dzie-

jopis, jeden z twórców mitu Sarmacji; Krzysztor Celestyn Mrongowiusz, językoznawca, badacz folkloru kaszubskiego, obrońca języka polskiego na Mazurach; Wojciech Kętrzyński, historyk i etnograf — i wielu innych zasłużonych dla polskiej kultury i nauki ludzi. Z tą uczelnią związał całe swoje życie Kopernik nowożytny filozofii — Immanuel Kant.

Z królewieckiego Alma Mater tyłu *viribus doctis*, z europejskiej Albertiny nie pozostał kamień na kamieniu... Próżno szukałem miejsca gdzie znajdował się gmach uniwersytetu — całkowicie odmienna od przedwojennej topografia współczesnych ulic i skwerów uniemożliwiała skutecznie moje poszukiwania. Nagabywani przeze mnie przechodnie albo nie wiedzieli o Albertinie zgoła nic i z reguły kierwali mnie w stronę budynku nowego, erygowanego w 1967 r. uniwersytetu, albo — jeśli już ktoś słyszał coś niecoś o starym, to podobnie jak ja okazywał się bezradny w określeniu jego położenia. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko schować na powrót do kieszeni kupiony na dworcu reprint starej pocztówki z widokiem Albertiny i udać się w kierunku Muzeum Kanta.

Po drodze zająłem do antykwariatu, lecz nie znalazłem w nim ani jednej książki w języku polskim lub niemieckim wydanej w którejś ze sławnych oficyn królewieckich czy w ogóle wschodniopruskich; owszem, w dziale książek obcojęzycznych widziałem druki polskie i niemieckie, ale, rzecz jasna, powojenne. Bez trudności natomiast można było kupić w tymże antykwariacie dziewiętnastowieczne książki rosyjskie.

Nowy gmach uniwersytetu stoi w pobliżu miejsca, gdzie do 1945 r. znajdował się budynek uniwersyteckiej biblioteki, i niczym szczególnym nie wyróżnia się spośród otaczających go betonowych prostopadłościaków w stylu lat sześćdziesiątych. Trafiałem do niego dzięki uprzejmości dwu dziewczyn, jak wynikało z rozmowy — studentek, zmierzających także w kierunku uczelni. Jedna z nich, o wybitnie wschodnim typie urody, była rozmowniejsza od swojej koleżanki — i od niej to właśnie dowiedziałem się, ku mojej rozpacz, że usytuowana w uniwersytecie ekspozycja poświęcona autorowi „Krytyki czystego rozumu” jest nieczynna od dłuższego czasu. Z jakich przyczyn — tego Marika nie potrafiła wyjaśnić. Sama oglądała kiedyś tę ekspozycję, ale niewiele zapamiętała.

— Było tam trochę książek i jakiś biust, chyba Kanta... — powiedziała z rozbrajającym uśmiechem.

Wstąpiłem do zarekomendowanej mi wcześniej „bulocznej”, gdzie za kilka kopiejek można napić się mleka lub kawy i zjeść naprawdę chrupiącą buleczkę, a za chwilę znalazłem się na pięknym bulwarze biegnącym brzegiem Jeziora Zamkowego. To wąskie, o wydłużonym kształcie jezioro położone w centrum miasta nazwę swoją wzięło od stojącego w nieodległej jeszcze przeszłości na jego południowym brzegu trzynastowiecznego zamku wielkich mistrzów i książąt pruskich. Dziś na terenie zajmowanym niegdyś przez kompleks budynków zamkowych wznosi się nowoczesny hotel „Kaliningrad”...

Patrzyłem na spinający w najwyższym miejscu brzegi jeziora lekki, zgrabny most, na biegnące po drugiej stronie alejki między pochylającymi się nad wodą drzewami, na starannie odrestaurowany budynek dawnej Stadthalle... być może, przyszło mi na myśl, mój punkt obserwacji pokrywał się z tym, z jakiego przez z górą 170 laty spoglądał na odbywającą się na Jeziorze Zamkowym wspaniałą fetę na cześć księżniczki Karoliny niestrudzony wojażer, Julian Ursyn Niemcewicz, który dokładny opis teje uroczystości, jak również ówczesnego Królewca przekazał potomnym w „Podróżach historycznych po ziemiach polskich”.

Po wiernie skopiowanym w Niemcewiczowskich zapiskach zabytkowym wnętrzu królewieckiej katedry pozostała jedynie wciąż niezabliźniona rana po ołtarzu głównym. Znikły znajdujące się przed nim kunsztowne renesansowe grobowce księcia Albrechta i jego dwu małżonek, jak i szklana trumna ze szczątkami fundatora katedry, Ludera z Brunszwiku; próżno szukać barokowego epitafium księcia Bogusława Radziwiłła, przez ostatnie lata swojego życia piastującego urząd gubernatora Prus Książęcych; w kruchcie, gdzie znajdowało

się wejście do grobów wielkich mistrzów, zwaly gruzu porastające mchem, czarna pustka pozostałości otworów drzwiowych prowadzących na chór i do wieży porażają oko obserwatora. Długo stałem z głową wciśniętą między kraty założone w pozabawionym drzwi portalu głównym, metr po metrze przyglądając się porożniętej zielskiem nawie głównej, potężnym filarom, fragmentem ostrolukowych empor, wstrząśnięty stopniem zniszczenia, a jednocześnie urzeczony monumentalnością ruiny.

I tak jak przed rokiem, tak i teraz przystawałem przed każdą tablicą epitafijną wmurowaną w zewnętrzne ściany katedry, próbowałem odcyfrować łacińskie i niemieckie inskrypcje, rekonstruowałem w myśli pierwotny wygląd tych tablic, jako że obecny ich stan w niczym nie odbiegał od ogólnej kondycji katedry. Poobtlukiwane herby, potraskane powierzchnie, często w zupełnie bezmyślny sposób zaszpachlowane cementem napisy nagrobne przywoływały na myśl słowa Eklezjastesa: „... et omnia vanitas”, wydając także jednoznaczne świadectwo „betonowi” lat powojennych.

Do północnej ściany katedry przylega klasyczna w swojej prostocie konstrukcja — na różowawych granitowych filarach wspiera się płaski kamienny baldachim, pod nim — obły granitowy sarkofag bez jakichkolwiek ozdób, powyżej którego czarne, proste litery układają się w napis: IMMANUEL KANT 1724—1804.

I jeszcze jeden obiekt zbiorowej pamięci oparł się zniszczeniom wojennym i powojennemu zapalowi w zacieraniu śladów — i w stanie nienaruszonym, tak jak pomnik Schillera i grobowiec Kanta, trwa do dziś. To grób Juliusza Ruppą (1809—1884), teologa i filozofa, twórcy ewangelickich Wolnych Wspólnot, usytuowany w niewielkiej oległości od południowej ściany katedry. Jest to nieregularny głaz granitowy z umieszczoną na nim płaskorzeźbą półprofilu Ruppą. Przed oboma grobowcami odnalazłem tabliczki w języku rosyjskim, lapidarnie informujące, kim zacy byli tu spoczywający.

Oddaliłem się nieco od katedry i przespacerowałem po wyspie w nadziei odnalezienia innych, choćby najdrobniejszych reliktyw dawnego Kneiphofu, lecz prócz poutykanych między młodymi drzewkami spizowych popiersi radzieckich pisarzy i poetów nic nie dostrzegłem. A zatem z całej średniowiecznej dzielnicy Królewca pozostała jedynie zrujnowana ze szczytem katedra; ratusz odbijający się w nurtach Pregoly na południowo-zachodnim krańcu wyspy, dom kapitulny, przykatedralne kolegium — najstarsza siedziba uniwersytetu, kupieckie kamienice zniknęły całkowicie.

Usiadłem na ławce i w zamyśleniu spoglądałem na ocalały budynek dawnej Giedy, obecnie pałac Kultury Marynarzy, stojący na przeciwległym brzegu, prawie vis a vis miejsca po gmachu ratusza, to znów kierowałem spojrzenie na oświetlony słońcem coraz bardziej chylącym się ku zachodowi wyniosły fronton katedry i na pozabawione helmów wieże. I wtedy właśnie dane mi było stać się świadkiem niezwykłego zdarzenia: usłyszałem przybliżający się gwałtowny głos, odwróciłem się i oczom moim ukazał się orszak ślubny, zmierzający wprost ku katedrze. Nowożeńcy i ich goście zatrzymali się przed zakratowanym portalem i w zupełnym milczeniu patrzyli przez dłuższą chwilę w głąb zrujnowanej budowli. Potem z grupki tej odłączył się fotograf-amator i wykonał młodej parze zdjęcie na tle katedry. Wtedy wszyscy udali się w stronę grobowca Kanta.

Gdy odeszli na most, znalazłem się natychmiast przy sarkofagu Wielkiego Filozofa — moje domysły sprawdziły się: u jego stóp leżał bukiet świeżych róż. Ci młodzi ludzie, Rosjanie już na tej ziemi urodzeni, przyszedli tu — do ruin katedry i grobowca — symbolu. Świadomie wybrali wartości europejskie, zmanifestowali swoje poczucie więzi z jedną, wspólną i rodzimą dla nas wszystkich Europą. Ważki to znak czasów.

Ów epizod głęboko zapadł mi w pamięć i sprawił, że wsiadając do pociągu, żegnałem to piękne, ponad 750 lat historii liczące miasto z nadzieją, że jego świetność, chociaż przygaszona, znów zajaśnieje pełnym blaskiem.

ARTUR TIMOFIEJEW

# UKRAINA NIE JEST DALEKA

Zaden kraj i naród nie istnieje w izolacji, z natury rzeczy posiada gospodarcze, polityczne i kulturalne powiązania z innymi, zwłaszcza z sąsiednimi. Wzajemne kontakty polsko-ukraińskie trwają od średniowiecza. Całe obecne pogranicze, obejmujące wschodnie połacie województw: białkopodlaskiego, chełmskiego, zamojskiego, przemyskiego, rzeszowskiego i krośnieńskiego, zamieszkiwała ludność etnicznie ruska. Jeszcze po I wojnie światowej egzystowały na tych terenach zwarte zespoły gwar ukraińskich. Dopiero takie czynniki, jak oddziaływanie polskiego języka literackiego, upowszechnienie oświaty i kultury oraz migracje i przesiedlenia ludności ukraińskiej, spowodowały stopniowe wymieranie tych dialektów. Z kolei ludność polska przenikała głęboko na tereny Rusi, przy czym kresowi magnaci i pisarze brali żywy udział w życiu Rzeczypospolitej. Wszystkie te zjawiska pozostawiły liczne ślady w języku polskim, w postaci wpływów ukraińskich w polskim słownictwie, nazwach miejscowości i nazwiskach.

Ukraińizmy w słownictwie polskim, występujące od XV wieku, liczy się na kilka setek, najbardziej znane to: balamut, Bohdan, chlystek, czereda, czeremcha, czerep, czereśnia, czupryna, hodowla, holubić, holota, hulanka, krynica, morda, odzież, sielanika, wterp, Wołoch, znachor; w gwarach polskich, stykających się z ukraińskimi, jest ich, oczywiście, wielokrotnie więcej. Nazwy miejscowości, wyróżniające się ukraińską fonetyką, są położone na całym pograniczu wschodnim, np.: Choroszczyńska, Dolhobyczów, Dorohusk, Dubienka, Horodlo, Horodyszcze, Hrubieszów, Hrud, Huszlew, Lubyca, Sławatycze, Telatyn, Werbkowice, Wisznice. Nazwy te, przeznaczone przez administrację Gierka na polonizację, ocalały i stanowią dziś ważny zabytek, świadczący o dawnych stosunkach etnicznych.

Najwięcej cech ukraińskich przechowało się i nadal się przechowuje w nazwiskach. Nazwiska tego typu są powszechne obecnie na terenie całej Polski, szczególnie dużo ich występuje jednak na obszarze dawnej Lubelszczyzny i Rzeszowszczyzny. Są one utworzone od wyrazów pospolitych, np. Duryło (od przymiotnika *durny*), Rozhin, Szutko, albo od ukraińskich nazw miejscowości, np. Iwanowski, Wasylewski, Wiszniewski, ale przede wszystkim od imion chrześcijańskich. Wynika to z faktu, że te same chrześcijańskie

imiona chrześcijańskie docierały do Polski z łaciny, zwykle za pośrednictwem niemieckim i czeskim, a do języków ruskich ze średniowiecznej greki. Dzięki temu różnią się one fonetycznie i ta różnica cechuje też nazwiska, utworzone od tych imion bądź od ich pochodnych. Oto przykłady najczęściej spotykanych imion tego typu i utworzonych od nich nazwisk: 1) pol. Aleksander, Aleksy = ukr. Oleksander, Oleksij, nazwiska: Leś, Lesiuk, Łesiów, Oleksy, Oleszczuk; 2) pol. Atanazy = ukr. Opanas, Panas, nazwiska: Panas, Panasiewicz, Panasiuk; 3) pol. Bazyli = ukr. Wasyl, nazwiska: Wasil, Wasiluk, Wasyluk, Wasyliszyn, Waśko; 4) pol. Błażej = ukr. Włas, Ułas, nazwiska: Ułaszyn, Właszkiewicz; 5) pol. Cyprian = ukr. Kuprijan, nazwiska: Kupryjaniuk; 6) pol. Cyryl = ukr. Kuryło, nazwiska: Kurylak, Kurylcio, Kurylewicz, Kuryluk, Kuryło; 7) pol. Daniel = ukr. Danyło, nazwiska: Danilczuk, Danilewicz, Daniluk, Daniłóś; 8) pol. Damian = ukr. Demian, nazwiska: Demianowicz; 9) pol. Dymitr = ukr. Dmytro, nazwiska: Dmityruk, Dmyterko, Dmytrowicz, Dmytryk, Gmityruk; 10) pol. Dionizy = ukr. Denys, nazwiska: Dec, Denisiuk, Denisowicz, Denys; 11) pol. Eliasz = ukr. Ilija, nazwiska: Ilczuk; 12) pol. Filip = ukr. Pylyp, nazwiska: Pilipeczuk, Pilipeczuk; 13) pol. Gabriel = ukr. Hawryło, nazwiska: Hawrylak, Hawryluk, Hawrył, Hawryło, Hawrylkiewicz, Hawryłko; 14) pol. Grzegorz = ukr. Hryhorij, nazwiska: Hrycaj, Hryciuk, Hryniowski, Hryniuk, Rynkiewicz, Ryń; 15) pol. Izidor = ukr. Sydor, nazwiska: Sidorczuk, Sidorko, Sidorowicz, Sidoruk, Sydor; 16) pol. Jakub = ukr. Jakow, nazwiska: Jakowenko, Jakowiński; 17) pol. Jan = ukr. Iwan, nazwiska: Iwan, Iwaniak, Iwaniszyn, Iwaniuk, Iwanowicz, Iwańczak, Iwaszko, Waszczuk, Waszczyński, Iwaszkiewicz; 18) pol. Jeremi = ukr. Jarema, Wermij, nazwiska: Jaremko, Wermiczuk, Wermiko; 19) pol. Józef = ukr. Osyp, nazwiska: Osipowicz, Osipowski, Osypiuk; 20) pol. Kornel = ukr. Kornyło, nazwiska: Korniluk, Kornilowicz; 21) pol. Leon = ukr. Lew, nazwiska: Lewczuk; 22) pol. Marcin = ukr. Martyn, nazwiska: Martyn, Martyna, Martyniuk; 23) pol. Mateusz = ukr. Matwij, nazwiska: Matwiejuk, Matwiejew, Matwiejuk; 24) pol. Saba = Sawa, nazwiska: Sawa, Sawka, Sawczuk, Sawko; 25) pol. Stefan = ukr. Stepan, nazwiska: Stepanienko, Stepaniuk; 26) pol. Szymeon = ukr. Semen,

nazwiska: Semczuk, Semeniuk, Semeniowicz; 27) pol. Teodor = ukr. Fedor, Chodor, nazwiska: Chodorowski, Federowicz, Fedorko; 28) pol. Tomasz = ukr. Choma, nazwiska: Choma, Chomczuk, Chornicki, Chomicz, Chomko; 29) pol. Zenobiusz = ukr. Zinowij, nazwiska: Zin, Zinkiewicz, Zienkiewicz, Zińczuk. Oczywiście, w poszczególnych przykładach nazwiska te mogą też wywodzić się z odpowiedników białoruskich bądź rosyjskich.

Drugą grupę takich nazwisk stanowią te, które pochodzą od imion typowych tylko dla kalendarza prawosławnego i sporadycznych w kalendarzu rzymskokatolickim, np. Chalimon, Harasym, Hleb, Isaj, Kuźma — nazwiska: Chalimoniuk, Harasimiuk, Harasynowicz, Sajewicz, Kuźmicz itp. Na ukraiński charakter nazwiska wskazują też niektóre typowe dla tego języka przyrostki, np. —uk, —enko, —ko, —yszyn. Istnieje także zjawisko nakładania się na siebie cech polskich i ukraińskich, np. przyrostków polskich i ukraińskich podstawy imienne (Chomiak, Iwaniak, Panasiak).

Wpływy polskie na język ukraiński są bardzo silne w zakresie słownictwa; najnowsze monografie wyliczają ponad 1200 pożyczek polskich, w różnych dziedzinach życia, co wynika z dużego promieniowania kultury polskiej na Ukrainę, jak również z faktu, że przez Polskę szły na Ukrainę kulturalne wpływy zachodnie, zwłaszcza niemieckie. Częstsze przykłady: *agrest*, *apteka*, *bruk*, *butelka*, *cegła*, *clo*, *cukor*, *dach*, *folwarok*, *gimnazya*, *herbata*, *indyk*, *jedwab*, *kapelus*, *kawa*, *korona*, *marynata*, *okowyta*, *pryklad*, *rada*, *skarb*, *szafa*, *zapalka*, *zold*. Nie jest natomiast zbyt wiele polskich cech w nazwiskach, np. *Bonk*, *Wrubel*, *Dzik*, *Skowron*, *Trembacz*, *Groch*, *Wojtek*; przypuszczalnie cechy te zostały zasymilowane fonetycznie i nie są już wykrywalne.

Jak widać, powiązania językowe polsko-ukraińskie są liczne i żywe do dzisiaj. Świadczy to nie tylko o bliskości geograficznej obydwu tych krajów, ale i o tkwiącym w podświadomości użytkowników odczuciu bliskiego pokrewieństwa językowego. I polski, i ukraiński należą bowiem do tej samej rodziny języków słowiańskich.

MIECZYŚLAW BUCZYŃSKI

## ŻÓŁKIEW

Być we lwowie i nie zobaczyć Żółkwi... Miasta wspomnień, pomnika kultury, miejsca drogiego trzem narodom. Do Żółkwi, dziś Niestierowa, dojechać nietrudno. Gdzieś na krańcach Zamarstynowa jest małutki dworzec autobusowy, w miejscu gdzie Peltew wynurza się z kanałów lwowskich. Odjeżdżają stąd autobusy do Sokala, Czerwonograda, Rawy Ruskiej i do Żółkwi. W Żółkwi od dworca autobusowego, położonego wśród łąk, niedaleko do miasta. Gdy idzie się przez przedmieście lwowskie, w dali po lewej stronie widnieje lesisty wał Roztocza, bliżej w zieleni wzgórze Haraju, gdzie król Jan II wznosił nieistniejący dziś zameczek myśliwski, a prosto w głębi domy i świątynie Żółkwi.

Prawdziwą perłą architektoniczną jest kościół kolegiacki, wzniesiony na wzgórzu, obok rynku. Wzgórze to zostało usypane przez jeńców tatarskich. Kościół zbudowany jest na planie krzyża. W miejscu, gdzie przecinają się ramiona krzyża wznosi się wyniosła kopuła. Fundatorem kościoła i celgo miasta był słynny hetman Stanisław Żółkiewski (1547—1620). Ród Żółkiewskich wywodził się gdzieś z Mazowsza, później osiadł na zachód od Krasnegostawu w okolicach Żółkwi (na polach wsi Żółkwi Żółkiewscy założyli miasto Żółkiewkę). Ojciec hetmana wielkiego powędrował jeszcze dalej na południowy — wschód i miał dobra w okolicach Lwowa i Belza (był wojewodą belskim). Stanisław Żółkiewski niewątpliwie wzorując się na swym wielkim nauczycielu Janie Zamoyckim założył nowe miasto na polach wsi Winniki nad rzeczką Swinią. Miasto było budowane już od ostatnich lat szesnastego wieku, ale za rok założenia podaje się 1603, a więc rok, w którym Zygmunt III obdarzył powstającą miejscowość różnymi przywilejami.

Kolegiata jest przepięknym, harmonijnie zbudowanym kościołem renesansowym. Dzisiaj jest wreszcie restaurowana i bardzo trudno dostać się do środka. A przecież jest to miejsce tak drogie sercu każdego Polaka. Są tu bowiem groby wielkich zasłużonych rodaków: hetmana Stanisława Żółkiewskiego, jego syna Jana, który zmarł z ran niedługo po Cecorze, Jana Danilłowicza, ojca Jana III Jakuba Sobieskiego, a także groby synów Jana III Jakuba i Konstantina. W kościele rzucają się w oczy przede wszystkim przepiękne renesansowe pomniki: po prawej stronie stojących postaci Stanisława i Jana Żółkiewskich, po lewej żony Stanisława Re-

giny z Herburtów Żółkiewskiej i fundatorki rzeźb córki Stanisława Zofii Danilłowiczowej. Gdy spogląda się na stojącą, zbrojną postać wielkiego hetmana, to szuka się poniżej zniszczonego i niszczonego już przez zaborców napisu. Gdzieś z zakamarków pamięci powracają te słowa: *D.O.M. Stanisław na Żółkwi Żółkiewski Królestwa Polskiego Kanclerz i hetman wielki, barski, jaworski itd. starosta, po zwyciężeniu Kozaków zbuntowanych, Tatarów pod Udyczem zwyciężeniu, po pojmaniu cara moskiewskiego i państwa tegoż ujarzmieniu, gdy zwycięzca i triumfator na cały świat zajaśniał, aby w niebie nie zbywało mu na świetnym triumfie i wieńcu chwały zwycięskiej, na Multanach nad Dniestrem z Tatarami dzielnie walcząc, za wiarę chrystusową i ojczyznę świętą poległ roku odkupienia pańskiego 1620 dnia 6 października, życia swego roku siedemdziesiątego.*

*Tułów jest wśród żaloby powszechnej w domowe progi wniesiono i głowa w Bizancjum barbarzyńców na zniewagę wystawiona, potem za staraniem w najwyższym żalu pogrążonej małżonki stamtąd sprowadzona, w tym pochowane są grobowcu.*

Poniżej był jeszcze napis:

*Tobie, wrogu, na postrach,*

*Tobie, przechodniu, na wzór.* A na samym dole był ów półlegendarny napis:

*Niech mściciel z kości naszych powstanie.*

Po drugiej stronie rynku wznosi się zamek Żółkiewskich, Danilłowiczów i Sobieskich. Jest to obszerna budowla na planie prostokąta, z masywnymi basztami w rogach, z wyniosłą wieżą nad bramą. Budynek wzniesiony przez Żółkiewskiego był przebudowany przez Sobieskich i Radziwiłłów, później rujnowany mieścił różne urzędy i mieszkania jak dzisiaj. Na dziedzińcu są dzisiaj jakieś klomby kwiatowe i ogródki warzywne, spaceruje ptactwo domowe. Nie nacieszył się tym miejscem Stanisław Żółkiewski, który aż 44 razy z domowych pieleszy udawał się na pola bitewne, jak mawiał, czterdzieści cztery obozy złożył. Kiedyś, jak chce stara powieść, gdy Żółkiewski był wyjątkowo w domu, do zamku wleciał słowik i przy gościach pięknie śpiewał. Później ponad kobiercami i makatami zbudował sobie gniazdo i młode wywiódł. Aż pewnego razu wraz z małym opuścił na zawsze obszerną, wysoką komnatę. Widząc to hetman pwoiedział: — Tak to bywa, że i dziedzic puścizny ojców nie zagrzeje.

Wracając od zamku przechodzi się przez

obszerny rynek, gdzie częściowo zachowały się jeszcze stare domy z podcieniami. Na jednym z nich można nawet dostrzec lwa republiki weneckiej. Tu mieszkało poselstwo tego kraju przy dworze króla Jana. Obok pod numerem dziesiątym (Rynek 10) znajdowała się słynna drukarnia hebrajska Uriego Febusa Lewika z Amsterdamu. W głębi, za blokiem kamienic rynkowych, stoi jeszcze stara synagoga wzniesiona za czasów Jana Sobieskiego. W środku wdzięczni Żydzi umieszcili herby Sobieskich i polskie orły. Z synagogą tą i pobliskimi zabudowaniami wiąże się także pamięć o wielkim filozofie żydowskim Nachmanie Krochmalu (1785—1840), który tu przez wiele lat mieszkał i dopiero po jakichś niefortunnych transakcjach finansowych wyjechał ostatecznie do Brodów.

Nieopodal można oglądać czynną do dzisiaj obszerną cerkiew parafialną, dawną świątynię ojców bazylianów. W świątyni w czerwcową niedzielę podczas nabożeństwa jest tylko mała garstka starszych kobiet. Cerkiew tą otaczał swą opieką Jan III, bo sprowadził tu relikwie Jana z Trapezuntu (żył ok. 850 r.) aż z Suczawy, a także zakonników suczawskich. W XVIII wieku za Józefa II relikwie odesłano do Suczawy a w zamian na otarcie lez przywieziono z Wiednia od klarysek relikwie Porteniusza, dworzana Decjusza, zm. około 250 r.

Wracając do dworca ul. Lwowską nie sposób nie zauważyć kościoła i klasztoru Dominikanów, zbudowanego w 1655 r. przez matkę króla Jana III Teofilę Sobieską na pamiątkę śmierci Marka Sobieskiego pod Batowem w 1652 r. Wewnątrz kościoła przebudowanego po pożarach w XVIII wieku są groby i barokowe nagrobki Teofilii Sobieskiej i Marka Sobieskiego. W skarbczyku kościelnym był też ornat tkany przez Teofilę Sobieską.

Po drodze do dworca autobusowego po prawej stronie na przedmieściu lwowskim mijamy jeszcze przepiękną starą (z 1601 r.) modrzewiową cerkiewkę św. Trójcy. Mieści się tu wystawa cerkiewnej sztuki okolic Żółkwi. Czas do zatłoczonego podmiejskiego autobusu. Mijamy Kulików, w dali widać już wzgórze Wysokiego Zamku i Kopiec Unii Lubelskiej.

STANISŁAW JEDYNAK

# Felieton obrazkowy

Zdjęcie wykonał w Chełmie Karol Dromlewski



# HISTORYCZNE PALIWO BUŁGARSKIEJ GORĄCZKI

MIECZYŚLAW BUCZYŃSKI, STEFAN WARCHOŁ

Od roku 1954 nie ma spokoju w Bułgarii. Władze tego kraju uznały wówczas, że mieszka w nim ludność jednolita pod względem etnicznym, że składa się ona z samych Bułgarów. W imię tej zasady nakazano ludności pochodzenia tureckiego i religii muzułmańskiej zmienić imiona i nazwiska z tureckich na bułgarskie. Akcją tę przeprowadzono natychmiast: bezwzględnie, urzędowo. Nie brano w ogóle pod uwagę zdania i protestów bułgarskich Turków, co spowodowało stopniową, ale stałą emigrację tej grupy do Turcji. Wyludniły się całe regiony, w niektórych z nich (np. w okręgu Szumen) zabrakło nawet rąk do pracy w rolnictwie i przemyśle.

Nowy rząd bułgarski, po ustąpieniu Todora Żiwkova, wycofał się szybko z tej błędnej, mówiąc oględnie, polityki, lecz jej skutki trwają do dzisiaj. Nadal odbywają się manifestacje nacjonalistów bułgarskich przeciw Turkom, a powracające do swoich siedzib rodziny tureckie administracyjny „beton” kieruje do różnych miejscowości na terenie całego kraju.

Geneza tzw. problemu tureckiego tkwi głęboko w historii i geograficznym położeniu Bułgarii i Balkanów. Tereny te od najdawniejszych czasów znajdowały się na skrzyżowaniu wielkich lądowych szlaków komunikacyjnych o znaczeniu kontynentalnym: z Europy Zachodniej i Środkowej do Azji Mniejszej oraz z Europy Wschodniej do Południowej. Najwcześniej osiedliły się tu przybyłe z Azji indoeuropejskie plemiona Traków, Daków, Mezyjczyków, Ilirów, Greków i Macedończyków. W II wieku p.n.e. ulokowali się na półwyspie Rzymianie, których reliktem jest powstały na podłożu dackim naród i język rumuński. W wiekach VI i VII zaczęły się wielkie migracje Słowian, z ich kolebki położonej na północ od Karpat, dwoma szlakami: 1) wschodnim, przez Nizinę Rumuńską, wzdłuż zachodnich brzegów Morza Czarnego aż do Morza Egejskiego i wysp greckich (tereny obecnej Bułgarii i Macedonii), 2) zachodnim — przez Nizinę Morawską i Panonię (obecne Węgry), wzdłuż wschodnich wybrzeży Adriatyku (obecna Jugosławia); w efekcie wschodnia grupa języków południowosłowiańskich (bułgarski i macedoński) posiada bliższe pokrewieństwo wobec języków ruskich, a grupa zachodnia — wobec zachodniosłowiańskich, są tu nawet wspólne nazwy plemienne: Serbowie, Chorwaci. W okresie od V do X wieku przemieszczały się tędy różne inne ludy: z północnego wschodu mongolskie i turecko-tatarskie plemiona Awarów, Bułgarów, Chazarów, Hunów, Kumanów, Pieczyngów i Tatarów oraz irańscy Scytowie, z północy Celtowie, germańscy Goci i ugrofińscy Madziarzy; w XIV w. zaczęli swoją inwazję z południa Turcy. Balkańska struktura osadnicza jest zatem wyjątkowo złożona i różnorodna: na tych samych obszarach osiedlały się i nawarstwiały kolejno na siebie różne ludy, tworząc urozmaiconą mozaikę etniczną i językową, zróżnicowaną nadto pod względem kulturowym, religijnym i politycznym (historycy określają obrazowo ten rejon jako „kocioł balkański”).

Tereny obecnego państwa bułgarskiego zamieszkiwali w najdawniejszym okresie (przypuszczalnie od X tysiąclecia p.n.e.) indoeuropejscy Trakowie, lud odznaczający się bardzo wysoką kulturą materialną i duchową, o czym świadczą liczne wykopaliska, m.in. słynny skarb tracki (przechowywany w muzeum w Sofii), na który składają się liczne złote i kunsztownie wykonane naczynia, ozdoby i przedmioty codziennego użytku; od Traków przejęli Grecy uprawę winogron i kult Dionizosa oraz mit o Orfeuszu.

Na południe od Traków osiedliło się, pokrewne im i Grekom, plemię Macedończyków, znane już w VI wieku p.n.e.; ich pierwotna siedziba mieściła się w dolnym dorzeczu rzeki Haliakmon (obecnie bułgarska Bystrica). Za Filipa II państwo macedońskie zajęło całą południową część Półwyspu Balkańskiego, a za Aleksandra Wielkiego rozprzestrzeniło się na cały Bliski Wschód. W II wieku p.n.e. i Tracy, i Macedończycy zostali podbici przez Rzymian, przy czym w północnej części dominował element romański (Dacja, obecna Rumunia), zaś w południowej — helleński (Cesarstwo Wschodniorzymskie, późniejsze Bizancjum). Rzymska prowincja Macedonia obejmowała wtedy teren dorzecza trzech rzek: Haliakmon, Aksios i Strymon (obecnie: Bystrica, Wardar i Struma).

W VI wieku wtargnęły na półwysep plemiona słowiańskie, które dwoma szlakami doszły do Morza Egejskiego i osiedliły się na stałe. W szybkim czasie Trakowie i Macedończycy zostali zasymilowani przez Słowian i Greków, a ich języki wyszły z użycia. Do dzisiaj ocalały tylko trackie nazwy rzek (np. Iskryr, Łom, Mesta, Struma), osiedli (np. Płowdiw, z dawnego Pulpudewe „miasto Filipa”) i gór (np. Rodopy), macedońskie imię Berenike.

W VII wieku przywędrowało na obszar obecnej Bułgarii nieliczne, ale doskonale zorganizowane turecko-tatarskie plemię Bułgarów (nazywanych w nauce protobulgarami). Ich chan, Asparuch czy Isperich, podbił miejscowe ludy słowiańskie, obronił się przed Bizantyjczykami i w roku 680 założył swoje państwo. Wojownicy bułgarscy szybko jednak zostali wchłonięci przez Słowian i zasymilowani, tworząc w tej bułgarsko-słowiańskiej jednostce państwowej arystokrację i elitę władzy z pierwotnego języka tureckich Bułgarów przetrwało tylko kilka wyrazów (np. chan, bojar), nazwa etniczna Bułgar oraz imiona carów (Asparuch, Asen, Krum, Kubrat, Omurtag, Terwel i in.). Nowe państwo musiało toczyć ciągłe walki z Bizancjum o utrzymanie swojej niezależności, raz sięgając po ziemie bizantyjskie aż po Morze Egejskie i Adriatyk, raz broniąc się przed upadkiem; stolicami były w tym czasie Pliska i Presław, a w okresie rozbitcia na dwie części: dla południowej części — Ochryd i Prespa. Wynikiem silnego oddziaływania Bizancjum, politycznego i kulturalnego, było przyjęcie religii chrześcijańskiej, za cara Borysa I, w roku 865.

Z tym też okresem łączy się działalność Cyryla (Konstyntyna Filozofa) i Metodego. Na terenach obecnych Czech, Słowacji i południowej Małopolski istniało wówczas słowiańskie Państwo Wielkomorawskie, będące stale przedmiotem infiltracji niemieckich. Jego władca, książę Rościsław, chcąc się uniezależnić od Niemców, zwrócił się do cesarza bizantyjskiego Michała III z prośbą o przysłanie misjonarzy, którzy by nauczali jego lud wiary chrześcijańskiej w języku słowiańskim (dodać trzeba, że w tym okresie różnica pomiędzy poszczególnymi językami słowiańskimi była bardzo mała i wszyscy Słowianie mogli się pomiędzy sobą swobodnie porozumiewać bez tłumacza). Cesarz wyznaczył dwóch braci, Słowian z okolic Solunia (greckie Saloniki) i oni — utworzywszy specjalny alfabet, oddający potrzeby języka słowiańskiego, zwany glagolicą — przetłumaczyli z języka greckiego Biblię na słowiański dialekt swoich rodzinnych stron. Z tymi księgami udali się w roku 863 na Morawy i tam przez kilkanaście lat prowadzili swoją działalność misyjną. Później, przesładowani przez duchowieństwo niemieckie i w końcu wygnani z Moraw, przenieśli się (w roku 885) do Bułgarii i Macedonii. W dwóch tamtejszych ośrodkach, w Presławiu i Ochrydzie, Metody



i jego uczniowie (Gorazd, Kliment, Naum, Sawa) przełożyli na język słowiański dalsze księgi religijne, ale zapisane już nowym alfabetem, opartym na greckich dużych literach — cyrylicą. Alfabet ten, zwłaszcza cyrylica oraz język liturgiczny, stworzony przez dwóch braci i ich uczniów, weszły do oficjalnego użycia w krajach prawosławnych, które przejęły chrześcijaństwo z Bizancjum: w Bułgarii, Macedonii, Serbii, na Rusi i w Rumunii (głagolica tylko w Chorwacji).

Pierwsze państwo bułgarskie przetrwało do roku 1018, następnie 180 lat to niewola bizantyjska. Odbudowa państwa nastąpiła w roku 1187, z nową stolicą w Tyrnowie. W roku 1396 całe Balkany zostały zajęte i podbite przez Turków, co dla Bułgarii oznaczało pół wieku ciężkiej niewoli. Sturczeniu uległo wówczas całe oficjalne życie państwowe, społeczne i gospodarcze: administracja, nazewnictwo, także w dużym stopniu kultura materialna, społeczna i duchowa (obyczaje, kuchnia, budownictwo itp.). W Bułgarii osiedliło się wówczas wielu Turków, wiele rodzin bułgarskich przeszło na islam. Po kilku nieudanych powstaniach w XVIII i XIX wieku (zginęli w nich m.in. Christo Botew i Wasyl Lewski) wyzwolenie kraju przyniosła dopiero wojna rosyjsko-turecka w latach 1878—1879.

Reakcja na niewolę nastąpiła teraz w formie masowej zmiany tureckich nazw geograficznych; obecnie pozostało tych nazw zaledwie kilkanaście, np. nazwa gór Balkany, nazwy miast: Kazanlyk, Kiustendil, Kyrdzali. Wiele turcyzmów zachowało się natomiast w słownictwie bułgarskim: z zakresu życia społecznego, np. *cziflik* „folwark, dwór”, *machała* „dzielnica, przysiółek”, *mechana* „karczma”, *pazar* „rynek, targ”; w budownictwie, np. *tawan* „sufit”; w urządzeniach i przedmiotach codziennego użytku, np. *czanta* „torba, teczka”, *kibrit* „zapalki”, *pejka* „ławka”; w nazwach potraw, np. *czorba* „zupa”, *jujka* „łazanki”, *kaszkawał* „żółty ser owczy”, *kebabcze* „specjalnie przygotowane kielbaski”, *kifla* „buleczka”, *tarator* „chłodnik ogórkowy”; w nazwach roślin i mineralów, np. *karamfil* „goździk”, *kalaj* „cyna” itp. Do II wojny światowej Bułgaria była królestwem, po niej — republiką socjalistyczną.

Nieco inaczej ułożyły się losy Macedonii. Do początków XIX wieku pozostawała ona jeszcze w granicach Turcji. W wyniku kilku wojen bałkańskich, trwających na początku naszego stulecia między Turcją a Bułgarią, Grecją i Serbią, w roku 1913 podzielono tę krainę na trzy części: Macedonię Piryńską w Bułgarii, Macedonię Wardarską w Serbii oraz Macedonię Egejską w Grecji. Po utworzeniu Jugosławii jako państwa federacyjnego Macedonia Wardarska stała się republiką związkową, posiadającą swoją autonomię i odrębność kulturową. Wtedy to w oparciu o dialekty centralne (okolic Skopje) utworzono macedoński język literacki, w którym przez minione czterdzieści lat powstało wiele dzieł literackich i naukowych.

W okresie władzy Todora Żiwkova ujawniły się w Bułgarii silne tendencje nacjonalistyczne, uwidocznione w dwóch problemach: macedońskim i tureckim; oba zdają się mieć związek z wyobrażeniami o Bułgarii, małym przeciw kraju, jako mocarstwie, opartym — tak jak przejściowo dwa razy w przeszłości — na trzech morzach: Czarnym, Egejskim i Adriatyckim. Problem macedoński, podniesiony z całą ostrością w roku 1950, zakładał, że nie istnieje naród i język macedoński, które powinny wchodzić do etnicznego pojęcia narodu i języka bułgarskiego. Prawda historyczna jest taka, że w VI i VII wieku oba plemiona należały do tego samego ludu, który drogą wschodnią wkroczył na Półwysep Bałkański i zajął jego wschodnią część, od Dunaju po Morze Egejskie. O ile jednak obecni Słowianie bułgarscy natrafili na podkład tracki i zostali później zasileni substratem Bułgarów tureckich, o tyle Słowianie macedońscy trafili na substrat macedoński i grecki. Dialekty obu tych plemion były i nadal są bardzo sobie bliskie, choć w wyniku odmiennej historii i rozwoju są i pewne różnice (język macedoński ma spółgłoski *k* i *g* miękkie oraz *dz*, a także bardziej rozwinięty system rodzajników postpozycyjnych). Decydującą sprawą jest jednak poczucie narodowe Macedo-

ńczyków. Ono decyduje właśnie o odrębności państwowej Niemiec i Austrii (choć w obu krajach mówi się po niemiecku), o odrębności państw latynoamerykańskich (choć w dwudziestu kilku krajach mówi się po hiszpańsku).

Problem zaostrza stosunek stron do liturgicznego języka, utworzonego w IX w. przez Cyryla i Metodego. Język ten utworzono w oparciu o dialekty z okolic Salonik, położonych na terenie Macedonii. Naukowcy jugosłowiańscy i niektórzy sławiści zachodni nazywają więc ten język staromacedońskim, podczas gdy Bułgarzy — starobułgarskim (nazwami neutralnymi są: starocekiewnosłowiański i starsłowiański). Faktem jest, że i literacki język bułgarski, utworzony w ciągu XVIII i XIX wieku, i literacki język macedoński, utworzony po II wojnie światowej, oparto na współczesnych dialektach i żaden z nich nie stanowi bezpośredniej kontynuacji dawnego języka liturgicznego. Tego ostatniego używano w liturgii i w literaturze na terenie wielu krajów i wpłynął on, oczywiście, na dzisiejsze literackie języki słowiańskie, najwięcej na rosyjski; nawet w języku polskim odnaleziono kilkanaście cerkiewizmów (np. błogosławić, Bogurodzica, dziesięcina, kamienować, męczennik, miłosierdzie, miłosierny, prorok, wskrzesić, wszemogący, zakonnik, zwolennik).

Wielowiekowe współistnienie obok siebie na Bałkanach wielu różnych języków doprowadziło do powstania tzw. bałkańskiej ligi językowej: w bułgarskim, nowogreckim, albańskim i rumuńskim pojawiło się kilka nowych wspólnych cech: zastąpienie przypadków przez przymimki, rodzajnik postpozycyjny, zanik bezokolicznika, opisowy czas przyszły. Świadczy to o fakcie, iż w bałkańskim kotle ciągle jeszcze wrze.

MIECZYŚLAW BUCZYŃSKI  
STEFAN WARCHOŁ



Iwan Ninow jeden z najwybitniejszych grafików bułgarskich. Mieszka w Sofii. („Autoportret”, sucha igła, 1973)

# ABY SŁOWO STAŁO SIĘ CZYNEM

EDWIN SUGAREW

Wolność słowa, demokracja, decentralizacja, społeczny dialog, pluralizm socjalistyczny — są to piękne słowa i piękne zasady. Jednak niedawna historia już niejednokrotnie wykazała, że najpiękniejsze słowa i zasady mogą zostać pozbawione treści, mogą zmienić się na umieszczone w próżni kulis, za którymi poruszamy się jak marionetki reżyserowane pozorami, grające dramat własnej erztasz—egzystencji. nawet w pompacyjnej pewności, z jaką stajemy w obronie słowa, jest coś nieprawdziwego, wątpliwego. Iluż innych, kardynalnie różnych prawd już broniliśmy?

Najwyższy czas uświadomić sobie, że ważne jest nie tylko to, co zostało wypowiedziane, ale i sposób, w jaki to wypowiedziane funkcjonuje, zamienia się w rzeczywiste, społeczne i kulturowe fakty. dzisiaj musimy zdać sobie sprawę, że w retorykę nikt już nie wierzy, że nie jest ona decydująca, że niczego nie wnosi, że przejrzeni ją nawet ci, którzy gotowi są mimo wszystko jeszcze jej posłuchać. (...)

Kiedy słowa pozbawione są sensu, wówczas rzucają bardzo gęsty cień na ludzkie życie, na jego sens; odczłowieczone słowo burzy wiarę, że na początku było ono, otwiera drogę gorzkiemu pesymizmowi, że na początku było kłamstwo i kłamstwo przetrwa teraz i zawsze, i na wieki wieków. (...) Odbieranie słowa jego znaczenia nieuchronnie rozkłada moralność, zamienia ją w rozpaczliwy akt bez perspektyw, otwiera tamę ludzkiego cynizmu. W wielkim kłamstwie mała ludzka prawda staje się coraz bardziej drażliwa, coraz mniej prawdą, jest coraz bliższa zasymilowaniu się fałszywymi normami oficjalnego piśmiennictwa. I jest bez znaczenia czy pozbawione treści słowo błaga o totalne dobro, czy zakłada retoryczne szaty najwyższych, humanistycznych ideałów — swoimi pompacyjnymi gestami tylko je profanuje. (...)

Odnawiając słowa dnia dzisiejszego, mamy obowiązek rewidować wszystko to, co jeszcze do wczoraj uważano za niepodważalne i bezwarunkowe. Same konstatacje niczego jednak nie zmieniają: słowo musi być potwierdzone czynem. Jeden przykład: jeszcze niedawno słyszałem od wielu młodych i oczywiście ignorowanych plastyków rozdzierające serca westchnienia za wolnością, której nie ma, i jak cudownie byłoby, gdyby mogli (tak jak na Zachodzie) wystawiać swoje obrazy na ulicy. W porządku — teraz mogą już to robić, ale gdzie oni teraz są? Pozostali w swoich pracowniach i pozwolili, żeby na ulicy szerzył się kicz. Okazuje się, że nie pragnęli wolności, a tylko admiracji ze strony władz Związku Artystów Bułgarskich.

Jeśli ktoś powie dzisiaj poetom: Musicie pracować nieopstrzeżenie przez cały rok, jeść tylko chleb posmarowany margaryną, by bez trudności wydać jedną cieniutką książeczkę, za którą jednak nie dostaniecie złamanego grosza, żadnej nagrody lub miejsca w związku twórczym — to czy i poeci nie zareagują tak, jak plastycy?!

Tutaj w ogóle nie chodzi o to, aby ktoś „z góry” podarował nam prawo głosu; chodzi o to, aby je sobie wywalczyć. Musimy wyrwać własną świadomość z urzędniczo—redaktorsko—wydawniczych uprzedzeń, musimy poczuć, że dla nas poezja jest wszystkim — najwyższym ryzykiem, obowiązkiem, losem, przeznaczeniem i powołaniem, a nie uznaniem, społecznym cenzurem, wygodnym stylem życia. Musimy zrozumieć, że każdy wiersz rozpoczyna swoje

istnienie w momencie jego napisania, a nie wydania. I że nikt w całym tego słowa znaczeniu nikt, nie jest w stanie odebrać nam prawa głosu, żeby nie wiem ile miało to kosztować poetę.

Kiedy poezja młodych staje się nieproszonym gościem w oficjalnych wydaniach i wydawnictwach, zawsze może się odwrócić do nich plecami i wyjść na ulicę. Wystarczająco długo kryła się ona w swoim narcystycznym osamotnieniu i wydawała żalosne jęki w anonimowe ucho nieznanego i obcego jej czytelnika. Wystarczająco długo całowała klamki redakcji gazet i czasopism. Wystarczająco długo wyczekiwała, zawstydzona i skrępowana, w przedśionku naszego życia kulturalnego, w czyścicu usłużnego posłuszeństwa. Wystarczająco długo wsłuchiwała się we wskazówki, jaka i dlaczego taka być powinna. W wolnej międzyinstytucjonalnej przestrzeni również jest życie — i właśnie to życie jest prawdziwe. Młoda poezja musi rozbić skorupę anonimowości, musi nauczyć się oddychać powietrzem z ulicy, stanąć twarzą w twarz ze swoją publicznością — tutaj na własnym grzbiecie musi sprawdzić i udowodnić swoje prawdziwe możliwości.

Czyżby stary śpiewak z bazaru, ze swoją harmonią i piosenkami miał więcej śmiałości od młodego poety bułgarskiego? Czy nasi poeci umieją obchodzić się ze swoją publicznością?

Jeśli nie umieją, to muszą się tego nauczyć — wszystko jedno, czy chodzi o słowo napisane, czy wypowiedziane: żeby się nauczyć, muszą najpierw przezwyciężyć strach. Strach przed autorytetem, strach przed ofiarą, jaką musi ponieść poeta bezkrompomisowy; strach przed bólem z jakim poetycki duch wyrwa się zza najeżonych kolcami przesądów, norm, stereotypów, strach przed konfliktem z sobą samym. To właśnie trzeba przezwyciężyć.

„Dyktatura przeciętności” nie jest straszna. Straszna jest tylko wtedy i tylko dla tych, którzy ją akceptują i z nią się liczą, którzy dają się ogarnąć jej asymilacyjnym oddziaływaniom. Tak naprawdę, to ona jest po prostu przeciętna, żeby nie wiem jak wyrafinowana i niezwykła wyglądała na pierwszy rzut oka. Słowo wypowiedziane z talentem naprawdę zdolne jest się przez nią przebić, jeśli nie obalić jej. Dzisiaj jest to realne i jeśli nie wykorzystamy do końca tej możliwości, jeśli nie włożymy w to maksimum wysiłku, to dzień jutrzejszy nam tego nie wybaczy.

*Z bułgarskiego przełożyła:  
TERESA PILECKA*

Urodzony w 1953 roku w Sofii, dr nauk filozoficznych Edwin Sugarew jest historykiem i krytykiem literackim, poetą, wydawcą własnego kwartalnika poetyckiego „Most” (od 1989), członkiem zespołu redakcyjnego oficjalnego pisma bułgarskiej opozycji „Demokracja”, założycielem radykalnego koła poetyckiego „39” (skupiającego twórców, którzy nie przekroczyli 39 roku życia), działaczem ruchu „Ekoglastnost”, a ponadto — pracownikiem Akademii Nauk i wykładowcą Uniwersytetu Sofijskiego. Opublikował książkę „Bułgarski ekspresjonizm”, trzy tomy jego poezji zostały przyjęte przez wydawców. Tekst „Aby słowo stało się czynem” (tytuł redakcyjny) stanowi fragment obszerniejszego artykułu o aktualnych problemach etycznych poezji bułgarskiej w okresie burzliwych przemian społeczno-politycznych, zachodzących w tym kraju. (red.)

# ZEMSTA STARYCH CEGIEŁ

ALEK POPOW



Stary burzyciel Raszo wszedł do kantoru szefa, pełen złych przeczuć. Ludzie wokół stołu poruszyli się, mimo że go oczekiwali. W swoim żółtym kombinezonie, z pomarańczowym kaskiem pod pachą, jakby wniósł znoj i pył z placu budowy. Raszo znał wszystkich obecnych: szefa, głównego inżyniera, architekta...

— Sando — wykrzyknął, gdy spojrzeniem natknął się na mężczyznę z obandażowaną głową. Tamten skinął ponuro.

— W czym problem? — zapytał wprost Raszo.

Szef szybko zabrał głos:

— Raszo, ty jesteś najbardziej doświadczonym burzycielem w kraju.

Raszo wzmógł czujność. Głaszczą „nic dobrego z tego nie będzie. Szef odchrząknął uroczyście i ciągnął:

— Wiecie wszyscy, że jesteśmy w okresie kapitalnej odnowy. Nasza stolica zmienia swoje oblicze na naszych oczach. Mamy w tym pewną zasługę i my. Zadaniem naszej organizacji jest przygotowanie terenów pod nowe budownictwo. Jak każde wielkie dzieło, tak i nasze spotyka na swej drodze niezliczone trudności: miejska łaźnia, hala targowa, gmach Sądu Najwyższego — usunięcie tych zginionych zębów z promiennego uśmiechu naszej stolicy zdawało się być dziełem ponad nasze siły, ale my, dzięki niektórym tutaj obecnym, wywiązaliśmy się z tego z honorem — zrobił pauzę i wymownie spojrzal na Rasza.

„Jestem prostym robotnikiem” — pomyślał sobie Raszo. — „O co mu chodzi?”

Postukował wykrzywionym palcem po kasku i milczał.

Dzień wsiąkał w siną szarzyznę, cienie ludzi i przedmiotów stapały się w jedną mętną plamę. Tylko żółty kombinezon fluoryzował. Raszo podobał się sobie w nim: z zamkami błyskawicznymi, cieniutkimi przewodami sterującymi gładziegdzie, kombinezon roboczy przypominał bardziej skafander kosmonauty. W nim czuł się zupełnie bezpiecznie.

Szef niespokojnie zatarł swoje pulchne dłonie. Na wypolerowanej powierzchni stołu jego ręce zostawiły przepocone ślady.

— Chciałem powiedzieć, że nie boimy się trudności — podchwycił. — Ty na pewno się zdziwisz, gdy dowiesz się, że chodzi o największy dom. Pewien stary dom na 93 ulicy, dawniej Svetagora. Byłby to jeden z lepszych obiektów, gdyby nie kilka nieszczęśliwych wypadków, których ofiarą padła brygada Sanda.

Biały zwój drgnął. W otworach na oczy zgęstniała ciemność. Spod bandaży wylał się głuchy głos:

— Ten dom trzeba wysadzić!

Inżynier poprawił swój czerwony krawat i wyniośle wycedził:

— W pobliżu znajdują się ważne budynki państwowe.

— Dlaczego nie próbujecie maszynami? — zapytał Raszo, który od dawna nie zajmował się takimi zwykłymi sprawami. Zdaje się, że wszyscy oczekiwali na tę replikę.

— Problem w tym — powiedział szef — że próbowaliśmy. Ilekroć maszyny zbliżały się do domu, traciły nad nimi kontrolę. Dokonano ciężkich uszkodzeń pobliskich budynków. Fakty te, jak i szczególny charakter naszych niepowodzeń, zmuszają nas do podjęcia środków ostrożności.

Raszo wrócił do domu w złym nastroju. Rozmawiał wcześniej z Sandem. To o czym mu opowiedział wyglądało tak nieprawdopodobnie, że zwątpił, czy ludzie Sanda nie zrobili jakiegoś grubego przekroczenia przepisów BHP. I teraz próbują zatrzeć

prawdźwiwy powód... Ten ostatni szczegół nie był dla niego wielką zagadką. Przez budynek przechodziły najróżniejsze wibracje i przypadkowe impulsy, więc żadna maszyna nie była wystarczająco pewna. A mimo to, coś mu się tutaj nie podobało. Z drugiej strony szef napomknął, że ten obiekt przyniesie mu Honorowy Tytuł, a chłopakom wysokie premie. Nie można było tego przepuścić. Jasne jak słońce. Jeszcze tylko wpaść do ludzi, aby uprzedzić ich, że jutro zaczną ją.

Irenka rysowała coś przy biurku, gdy poczuła, że drzwi pokoju się uchylili. Słaby podmuch rozhuścił jeden kędziorek nad jej uchem. Ktoś się wśliznął, czymś szeleszcząc. Ona żywo położyła się na kartkach, przycisnęła je rękoma, lobuzersko odwracając buzię.

— Wcale mnie to nie interesuje — powiedział lekceważąco Raszo. I udał obrażonego. Ale pozostał w pokoju. Czuł się tutaj dobrze, jakby się znajdował na malej, żywej planecie. Kochał Irenkę. Była córką jego syna. Był dumny, że ma syna. Cieszył się, że ma wnuczkę. Syn z synową wyjechali do pracy w Niezasiedlonej Strefie. Płacą tam ciężkie pieniądze, ale to nie dla dzieci miejsca. Irenka wróciła do rysowania, ścisnąwszy w garści kilka flamastrów, jakby się bała, aby jej ich nie wydarto. Jej kasztanowe kędziory opadały na ramiona. Z gołymi plecami, przysiadł na słabym, dziecięcym foteliku, nie opierając się mocno. W kombinezonie roboczym, w samych skarpetkach, straszny burzyciel wyglądał bezbrinnie jak odpoczywający kosmonauta.

— Gotowe — zapisała i rzuciła się ku niemu, podtykając mu pod nos jakąś kartkę.

— Co to jest? — zdziwił się Raszo.

— „Mój dom” — wyjaśniła z dumą. — Mieliliśmy pracę domową z rysunków.

— Ależ co ty! — odpowiedział, podrapując się po krótko ostrzyżonej głowie i pocierając o siebie skarpetki.

Irenka narysowała trzypiętrowy dom ze spadzistym dachem i malutkim balkonem z kutego żelaza. Teraz takie domy można policzyć na palcach: okna były wysokie i wąskie, z wystającymi parapetami i bogato zdobionymi ramami. Niskie schody z wysoką poręczą prowadziły do drzwi wejściowych. Z boków dwie kolumny podtrzymywały trójkątny ganek. Ze szczytu dachu spadał piorunochron, prawie tak długi jak cały dom. W prześwitach zieleniła się rzadka trawka. Jeden rachityczny soplek ledwie trzymał się ściany.

— To nie jest twój dom — rzekł z przekonaniem.

— Nie jest — zgodziła się ponuro, ale natychmiast dodała — ale chciałabym, żeby był mój.

Raszo cyknął językiem. Wydało mu się to bardzo dziwne. Z kuchni roległ się głos żony, która wołała go na kolację. — Uhm — hm — pokręcił głową z zadowoleniem, gdy poczuł smakowity zapach...

Z porannej mogły wygramolić się niezgrabnie jakiś ciągnik. Wióki za sobą ocynkowaną furgonetkę. Było bardzo wcześnie. Mgła. Lepka jak para, ciepła, koloru błękitno-szarego. Szyby i wszystkie metalowe części maszyn zapotniały. Tępy pyk ciągnika pokrywały kropelki rosy. Wilgotny asfalt lśnił jak mokra skóra. Ciągnik ostrożnie wysunął nos zza rogu nowego, wysokiego budynku. Powoli, jakby się ociągając przejechał odległość od rogu następnego domu. Zatrzymał się. Dał wsteczny, ostrożnie skręcił w prawo, aby ustawić furgonetkę w wolnym miejscu między obydwojma budynkami. Ocynkowana trumna zatarasowała wyjście z ciasnego, wąskiego

podwórza. W głębi czerniała poszczerbiona sylwetka jakiegoś zburzonego domu.

Każdego ranka, w drodze do pracy Raszo odprowadza Irenkę na przystanek szkolnego autobusu. Przyjemnie mu jest, gdy tak idą we dwoje. Równie dachy budynków lśnią w słońcu, podczas gdy ich kwadratowe tułowia wciąż jeszcze toną w cieniu. Ulice są tak równe, że na ich końcach widać tylko niebo; ludzkie morowisko jakby się wtapiało w pustą przestrzeń między kamiennymi ścianami. Po drodze żartują sobie. Irenka drobi u jego boku i od czasu do czasu pociąga za sznurki jego kombinezonu robotniczego, a jej mała figurka z tornistrem na plecach płynie po mokrych szybach, zanurza się w witrynie po witrynie jak pstrokata ryбка.

Oto i autobus — najwykleszy dwupiętrowy blok, tylko że na kółkach. Irenka się dąsa przez chwilę, potem podbiega do otwartych drzwi. Na schodkach szybko się odwraca i wysyła dziadkowi w powietrzu pocałunek.

Zastawszy barakowóz na nowym miejscu Raszo z zadowoleniem zamruczał. Poleciał zeszłej nocy, aby to pudło przemieszczono. Ze środka dochodziły głosy przebiegających się chłopaków. Energetycznie pisał w metalową ścianę. Odpowiedział mu grupowy ryk. Obszedł furgonetkę i skocznie przemknął się na plac przed obiektem. Na żółtawej ziemi widoczne były ślady gąsienic, dalej sterczało kilka świeżo ściętych pniaków. I nagle Raszo osłupiał. Widział już gdzieś ten dom! Już gdzieś go widział... Ludzie Sanda zerwali już część dachu, poza tym wszystko odpowiadało rysunkowi Irenki. Portyki, kolumny, trójkątny ganek. Przecież dobrze sobie przypomina. Wydało mu się to potworne; skąd ona może wiedzieć, że istnieje dokładnie taki dom? Teraz podobne domy w ogóle są rzadkością. Jeżeli go sobie wymyśliła, dlaczego akurat taki? Być może dla niej było to przypadkowe, ale nie dla niego. Co to ma znaczyć?

— Hej, szefie! Co się tak gapisz? — krzyknął ktoś ze schodków furgonetki. Ale on nie odrywał oczu od starego domu. Tynk opadał i cegły wyglądały miejscami jak kawalki wyszarpanego mięsa. Na ciasnym, podługowatym podwórku Raszo poczuł się nagle jak w pułapce. Z naprzeciwna ziały puste okna domu, a za jego plecami wznosiła się ocynkowana ściana furgonetki. Nie było ucieczki.

— Dzień dobry, szefie!

Czterej jego pomocnicy wysypali się na zewnątrz, poszturchując się i popychając. Poranek działał na nich odmładniająco. Ostatni pojawił się Van-ju. Był jeszcze senny, ze zmiętą twarzą. Wietnamczyk miał zwyczaj spania w barakowozie. Był tutaj na specjalizacji i wszyscy go nazywali Wanią.

— Zalatwimy go za dwa dni — rzekł Michał Arsow, wskazując niedbale na dom.

Uważał się za drugiego po Raszu burzyciela i miał nadzieję, że pewnego dnia zajmie jego miejsce. Był niewysoki, ale zbyt krępy, kędzierzawy, z małą lysinką. Wąsy opasywały mu twarz aż do bokobrodów. Łazar Kaczor i Bezo pokiwali przyzywająco. Dwa dni i po wszystkim. Michał Arsow drapał się po kosmatym brzuchu i uśmiechał się. Kombinezon miał rozpięty. Przyglądając mu się Raszo powoli odzyskiwał pewność siebie. Uświadomił sobie, że przecież nie jest tam. Pomyślał, że Michał Arsow jest człowiekiem, na którego można liczyć. Pewnego dnia na pewno zajmie jego miejsce.

Promienie wschodzącego słońca przebiegały po cieniowych fasadach sąsiednich budynków. Z lśniących wierzchołków w dół, wzdłuż pięter, rozlewało się miękkie różowe migotanie. Tylko mroczne, wąskie podwórce w studni z murów, przypominało strzelnice. W jednym końcu poraniona ściana domu, a w drugim — pięciu mężczyzn z narzuconymi na ramiona młotami pneumatycznymi jak karabiny maszynowe.

— Niedawno zdarzył się tutaj przykry wypadek — uprzedził ich Raszo.

Rozpoczęli, szcękając groźnie całą swoją amunicją. Broń burzycieli była osypana pyłem, z zakrzepłymi czerwonymi plamami błota. Zamiast łuf sterczały grube stalowe pręty. Raszo szedł i czuł jak z każdym krokiem ogarnia go dobrze znana profesjonalom zaciekość.

Przedpokój był duży, ale ciemny. Strome, drewniane schody porwały na drugie piętro. Tuż pod schodami ział otwór wejścia do izby. Tynk z sufitu opadał i trzeszczał im pod nogami. Z przyzwyczajenia Raszo wciągnął powietrze, aby zorientować się w atmosferze domu. Powietrze było suche i nieruchome, jakże bywa zwykle w od dawna zamkniętej szafie. Michał Arsow zbliżył się do drzwi izby i wetknął swoją latarkę w ciemny otwór.

— Mateczko — wykrzyknął — pełno szkieł!

Słup latarki oświecał kupy potłuczonych butelek i słoików, poblyskiwały tylko ich ostre końce.

— Skąd mogły się tu wziąć? — zapytał Łazar Kaczor wychyliwszy się, żeby spojrzeć.

— Dobra, to nie nasza sprawa — ostudził go Raszo.

Łazar Kaczor splunął w otwór i odszedł. Bezo i Van-ju swoim zwyczajem trzymali się razem. Stare domy pełne są dziwnych dźwięków. Niepostrzeżenie z ciemnych kątów wysypuje się zaprawa murarska. Pękają grzędy. Pod tapetą szorują różne robaczki. Obsuwają się cegły i niespodziewanie wpadają do jakiejś jamy z guchym „buch”. Nawet głosy zmieniają się. Straszne. Van-ju słyszał podobne głosy w dżungli. Są to kroki martwych żołnierzy. Dusze żołnierzy żyją w drzewach. Nocami drzewa maszerują. Van-ju nie chciał zostać drzewiarzem, poszedł do budownictwa. Ale co z tego? Schody trzeszczały i uginały się pod nogami.

— Nie ma co mieszkac w takim domu — powiedział Michał Arsow. — Nie rozumiem, jak mieszkali tutaj dawniej. Prawdziwa męka.

Nawet na drugim piętrze było mrocznie. Rozklejone tapety pozawijały się w górny rogu jak rolki. Pokoje były puste, na podłogę wały się śmieci. Coś różowego przyciągnęło uwagę Rasza. Roztrzącił nogą szmaty w kącie. Był to tyleczek jakiejś golej, plastikowej lalki. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

Po wyjściu na dach światło dnia ich osłepiło. Wysoko w górze słońce białeło niczym pas rozżarzonego piasku. Ale u podnóża domów powietrze było wilgotne jak w lesie tropikalnym. Przepadkowy podmuch przywiął zapachy gumy, rdzy i kanału, bliski, dobrze znany zapach. Gdzieś tam, za szklanymi fasadami migotały sylwetki ludzi i to rozdziło u burzycieli uczucie, że nie są sami.

Po dwóch godzinach dach już nie istniał. Okropna strzelanina sprawiała, że powietrze drżało. Oglądani z góry burzyciele wyglądali jak pięć żółtych kropek spowitych tumanami kurzu. W przerwach, urzędnicy z sąsiednich budynków zbierali się u okien, żeby popatrzeć. Z ciepłą grzanką, kawą lub coca-cola w rękę, mówili sobie:

— Ci to nie żartują!

Od czasu do czasu opadał z guchym trzaskiem kawał ściany. Sypała się zaprawa murarska, łuski betonu furczały jak szrapnele. Białych puch przyklejał się od zewnętrznej strony szyb i stopniowo odcinał robotników od ciekawych spojrzeń. Tylko jeden dyrektor widział wszystko jak na dłoni, ze swojego gabinetu na 34 piętrze. Pył nie dochodził aż tak wysoko.

— Mima — odwrócił się od blond sekretarki — zanieś chłopakom na dół po kanapkę z colą, żeby przerwali na moment.

Ona zachmurzyła się, ale cóż było robić...

Irenka wyciągnęła pracę domową na ławkę i rzuciła spojrzenie na rysunek swojego sąsiada, rudawego Mania. Odwróciła się do tylnej ławki. Uniosła się leciutko i zerknęła w szparę między plecami siedzących z przodu. Nauczycielka przechadzała się między rzędami i sprawdzała pracę domową. Temat na dziś — „Mój dom”. Była kościstą młodą kobietą o wąskiej, przetłuszczającej się twarzy. Jakiś mały tik powodował, że często mrugała oczami. Lubiła dzieci, ale trochę się ich bała. Przezywno ją „Migacz”, o czym nie wiedziała, a przynajmniej udawała, że nie wie. W głębi pokoju, na zaimprovizowanych statywach, ułożono pod rząd gipsowe odlewy antycznych głów i popiersi. Nieznany złoczyńca, zapewne ze starszej klasy, pomalował im jaskrawo twarze. Przypominały grupę perwersyjnych typów i przerażająco młodsze dzieci.

Już na widok pierwszych prac „Migacz” popadła w dzikie osłupienie. Jej powieki wściekle zatrzepotały jak skrzydła jakiegoś błyszczącego owada. Cóż to ma znaczyć, na Boga? Co to za wieżyczki, okrągłe okna? Schyliła się nad swoim notatnikiem — wszystko w porządku. Temat na dziś — „Mój dom”. „Migacz” zaczęła kręcić się między rzędami. Dzieciaki jakby się zmówiły, lecz żaden z rysunków nie był podobny do następnego. Jeden dom pokrywała kopia, drugi był podobny do gotyckiej dzwonnicy, trzeci był płaski, z tarasem zamiast dachu i rosnącymi na nim drzewami. Co to miało być za miasto? Oszołomiona i zalamana, wskazywała tylko od czasu do czasu na jakiś detal i pytała:

— Co to jest, to pod domem?

— Tajne wyjście — odpowiadało dziecko.

— A to? — pokazywała inną kartkę.

Odpowiadano jej:

— Schron.

— Obserwatorium.

— Wiszący balkon.

Wydało jej się, że błąka się po ulicach jakiegoś miasta — zmory. Przed jej oczami nagle stanęły gipsowe głowy, okrutne uśmiechy rozciągały ich uszminkowane usta. Rzeźby nagle ożyłły, zmieniły się w normalnych ludzi i ruszyły w jej kierunku. Ich tkane złotem szaty ciężko się rozchylały, odsłaniając nogi z białego kamienia. Szybko

się odwróciła i silnie uszczypnęła, udając, że poprawia sobie włosy.  
— Dzieci — powiedziała drżącym głosem, z męką opanowując trzepotanie powiek — coś się wam pomyliło. Temat na dziś to „Mój dom”.

Dzieci milczały i uporczywie wpatrywały się w coś na zewnątrz. Przez okna widać było inne okna domów z naprzeciwka.  
— Tam gdzie mieszka człowiek, tam jest jego dom — powiedziała bezsilnie.

Przed jej oczami wyrósł las bloków, gdzieś tam mieszkała i ona. Dzieci zaczęły się wiercić i coś sobie cichutko poszeptowały. Rysunki leżały na lawkach, tajemnicze i trochę złowieszcze. Przewyciężywszy swoje przygnębienie, nauczycielka przeszła wzdłuż rzędów i zebrała je.



Instalacja parasolowa 20m x 8m, projekt artystyczny  
The Umbrella (inst. project in Japan and USA) Idonstake #5, Tagerpa

Oto szkic (woryginalie barwny) fragmentu instalacji złożonej z tysiąca żółtych i błękitnych parasoli o wysokości 6 m i średnicy 8 m, których szeregi przebiegać będą przez wybrane tereny Japonii (18 km) i amerykańskiej Kalifornii (25 km), gdzie ulokowane zostaną umbrellas yellow, a to ze względu na złocisty w okresie suszy kolor tamtejszej trawy. Według wstępnej kalkulacji, koszt instalacji pochłonie 8 mln dolarów, a jej swoiste „otwarcie” nastąpi w październiku bieżącego roku. Jak już wspomniano w „Okolicach sztuki” z poprzedniego numeru „Kamery”, autorem tej wielkiej struktury artystycznej jest Christo (Javacheff), twórca pochodzący z Bułgarii, z której dawno wyemigrował na Zachód, by ostatecznie, w 1964 roku, zamieszkać w Nowym Jorku. Jak sam twierdzi, jest człowiekiem bez przynależności do konkretnej kultury (etnicznej), działa w polu sztuki międzynarodowej, gdzie zresztą posiada bardzo wysoką pozycję. Narodowe sentymenty tłą się chyba jednak w Christo, jeśli syn jego — co już także odnotowaliśmy — ma na imię Cyryl. (K)

Zacząto już kruszyć płytę, kiedy Bežo zauważył dziewczynę machającą im z dołu ręką. Zrobił znak kolegom, aby wstrzymali się. Pyl stopniowo opadał. Dziewczyna przyniosła tacę z kanapkami i szklankami napojów; wołała ich, żeby zeszli. Dopiero teraz Raszo poczuł, że drżą mu ręce. Lekki deszcz przechodził ku górze po jego ciele, a włosy pod kaskiem zjeżyły się. Otrzeptał się z kurzu i niepewnie ruszył ku schodom. Inni również szli jak nieprzytomni. Michał Arsov wyciągnął garść gruzu z kombinezonu. Powietrze w domu było silnie naelektryzowane. Nieoczekiwanie Raszo zrozumiał, że i on sam jest naładowany elektrostatycznie. Ale skąd się to wzięło?

Burzyciele docenili kanapki, ale bardziej ucieszyła ich blond laleczka. Nosila minispódniczkę ze skóry i kozaczki za kolana, na wysokim obcasie. „Jak na świńskich filmach” — pomyślał Raszo, zajęty przede wszystkim swoimi myślami. Ale chłopcy zapomnieli o bożym świecie. W dekolcie rozpiętej bluzki dziewczyny błyszczala w upale młoda skóra. Uśmiechała się do wszystkich z przyzwyczajenia, ale gdy spojrzała na mordę Kaczora, niechcący skrzywiła się. Łazarz zaczerwienił się ze wstydu.

— Ty, Kaczor — rzucił Michał Arsov — nie strasz dziewczynyl  
— Laleczko, dlaczego nie pracujesz tutaj z nami, zamiast niego?

Roześmiała się i powiedziała, że na górze ma wystarczająco dużo pracy. Wszyscy oczywiście poznali się na dowcipie i zarzeli z podziwu. Raszo skierował spojrzenie ku górze: „Każdy może się robić na Boga, gdy jest wysoko”, pomyślał w rozrządzeniu, przeuwając. Ona pożegnała się szybko i odeszła, podrzucając zgrabnie tyleczkiem. Jej obcasiki zostawiały małe ślady na żółtej ziemi.

— Plaska — lekceważąco powiedział Łazarz.

— Ty jesteś płaski — oburzył się Michał Arsov.

— Posłuchajcie — wtrącił się Raszo — powiem wam coś ważnego: ten obiekt nie podoba mi się. Chcę, żeby każdy pracował z głową. Dlatego będziemy pracować na zmiany. Inaczej człowiek się męczy i traci panowanie.

Stali tyłem do domu i nikt nie zauważył niebieskawego światła, które błysnęło ze środka, jak przy krótkim spięciu.

Odgłosy ciężkich kroków burzycieli od nowa rozeszły się po pustych pokojach. Podłoga zatrzeszczała i zapiszczała. Weszli na drugie piętro. Za moment rozpoczęła się strzelanina. Uniósł się tuman pyłu, kilka szybkich pęknięć przebiegło po ścianach. Światło nagle rozplynęło się w mroku, a okna jakby zmalowały w nagłym bolesnym skurczu. W zgęstniałym od napięcia powietrzu zapalały się niebiesko białe iskry, jak błędne ogniki. Kontury ścian ledwo uchwytnie się poruszyły, kąty się rozsunęły. Gdzieniedgde rozdarła się postarzala tapeta. Otwór drzwi wejściowych niepostrzeżenie się zwężał...

Przez zapyłone szkło kasku Michał Arsov widział tylko wibrujące, metalowe ostrze, które zagłębiało się w cegły i zamieniało je w gruz. Miał w tym taką przyjemność, jak gdyby ucierał nosa jakiemuś mądrali. Z otworów wyciekała czerwona woda, rozproszkowana mgielka. Maszyna drżała mu w rękach, on kierował ją w odpowiednią stronę, naciskał lekko i końcówkę zagłębiał w ścianę. Potem jednym szarpnięciem wyciągał ostrze. Z otworów wysypywał się ceglany miel. I znowu...

Łazarz Kaczor pracował w sąsiednim pokoju. Rzucił się na ścianę jak kogut, jak gdyby pod ceglami leżała długonoga sekretarka. Jego przyśpieszony oddech świstał w respiratorze. Cegły wydawały mu się miękkie i podatne jak ciało. Młot kopał go w słabiznę, ale on napierał zażarcie całym ciałem. W krótkich przerwach przebiegał Van-ju z żelaznym łomem i dobijał odłamki.

Raszo i Bežo siedzieli na schodkach, a wysoko nad nimi jaśniało słońce. Raszo był czujny. Bežo żuł jakieś resztki, które wynajdywał w kieszeniach. Od czasu do czasu wznosił wzrok ku słońcu i pomrukiwał. Z włosami koloru beżowego i okrągłymi błękitnymi oczami przypominał dużego pluszowego pieska. Wyglądał na niewinnego i roztrzępanego. Czekal na swoją kolej. Lubil swój fach, chociaż stare opuszczone domy budziły w nim lęk. Ale powoli wyzwał się z tego uczucia: z każdą przewróconą ścianą, z każdym zburzonym piętrem dopóki nie przemienił strachu w proch — w jedną dużą, białą stertę gruzu, po której przechadzał się śmiało i już nie bał się niczego, przynajmniej na jakiś czas.

Michał Arsov nie widział i nie słyszał niczego. Zadyszany trzask motoru go upajał: „Ta-tata-tata-tata”. Włosy na ramionach nastroszyły mu się jak puch. Chciał się rozkręcić, tak jak potrafi najlepiej, ale im bardziej rosło jego natchnienie, tym ciałniejsze wydawało mu się pomieszczenie, w którym pracował. To tak, jakby wcisnął się do jakiejś celi. Spróbował się odwrócić i brzuchem otarł o ścianę. Nie wierząc własnym oczom, zatrzymał motor i uszczypnął się, ale nic się nie zmieniło. Centymetr po centymetrze ściany ciężko sunęły ku niemu, cegły glucho poskrzypywały. Niebo było widoczne jak przez otwór lufcika. „Ta-tata-tata-tata” — dolatywała strzelanina Łazarza z drugiego pokoju. Ogarnął go paniczny lęk — został ściśnięty

pomiędzy ścianami! Próbował krzyczeć, ale hałas zagłuszył wszystko. Oparł dłonie o ścianę, chciał ją zatrzymać chociażby na chwilę, nadgarstki mu nabrzmiały. Zaciśnął oczy, wyszczerzył zęby. Jakaś straszna siła zlamala jego silne ręce jak słomki. „Ta-tata-tata-ta”. Grzmoty jak uderzenia pięściami dochodziły coraz bliżej...

Raszo spojrzal na zegarek i powiedział:

— Jeszcze trzy minuty.

Bezo wyciągnął młot spomiędzy kolan, wydmuchal pył z kratki chłodnicy i zaciśnął paznokciem gwint. Klęczący w koncie Van-ju obserwowal go z zainteresowaniem.

Przed zamglonym spojrzeniem Łazara Kaczora płynęła sekretarka. Podążał ku niej całą mocą swojego młota. Zapomniał, gdzie się znajduje. Ostrze pieściło czule cegły, ściana rozkwitała mu przed oczami... Przechodził wciąż do wewnątrz. Czuł, że zrasza się z maszyną, wyczuwał każde załamanie się na jej drodze. Przechodził coraz głębiej. Nagle ostrze ześliznęło się i weszło w coś miękkiego, jakby w watę. Wygląda na to, że przebił ścianę na wylot. Wciągnął głęboko powietrze i wydobył ostrze z zamiarem ponownego wbięcia go w ścianę. Ale zamarł na miejscu. Stalowy koniec był czerwony i ociekał krwią. Gęste, purpurowe krople spływały na białe od pyłu odłamki. Przerażony Łazarz odrzucił maszynę i odskoczył. W gardle mieszały mu się dźwięki, jakby cierpiał na jakąś chorobę strun głosowych.

Nieoczekiwanie zrobiło się cicho. Raszo i Bezo wymienili spojrzenia. Na korytarzu pojawil się Łazarz, który tyłem wycofywal się w ich stronę. Poitknął się o kawałek ściany i upadł. Z sąsiedniego pokoju wyszedł Michał Arso, chwycąc się i trzymając rękami za brzuch. Ciemna krew wypływała spomiędzy palców i ściekała wzdłuż nogawek. Twarz miał martwą. Zrobił kilka kroków i zwalił się nie wydawszy jęku. Bezo i Van-ju rzucili się w stronę ciała Michała Arsowa i odwrótili je na plecy. „Zaczęło się”, pomyślał Raszo. Schylił się nad Łazarem, potrząsnął go za ramię i wykrzyknął:

— Biegnij po pogotowie!

Oszolomiony Kaczor wyprostował się z trudem, belkocząc bez związku:

— To n... oja wina, to nie moja wina...

— Leć! — uciął Raszo.

W mroku, na pierwszym piętrze, rozległ się suchy trzask, poleciały drzazgi i zardzewiałe gwoździe. Mroczny cień drewnianych schodów powoli odchodził od górnego podestu i tak pozostal w zawieszaniu, w odległości jakiegoś metra od niego. Ten mały szczegół uszedł uwadze Łazara, lecącego po pomoc... Nagle stracił grunt pod nogami i naprawdę poleciał, tylko, że w dół... Czarny kwadrat go pochłonął. Dalo się słyszeć chrupnięcie szkła, po czym z zadowolonym skrzypleniem schody powrócili na swoje dawne miejsce.

— Przenieśmy go do barakowozu! — zaproponował Bezo, który pragnął o godzinę wcześniej się stąd wymknąć.

— Nie można go ruszać — odezwał się Van-ju przerywanym głosem.

— „Już po nim”, pomyślał Raszo, patrząc na mokną, kredowo białą twarz Michała Arsowa.

— Poczekajmy — zdecydował.

Nie mieściło mu się w głowie, jak to się mogło stać. Obejrzał pokój, w których pracowali obydwoj. Zwykle, puste ściany. Nic nie wskazywało na to, że przed paroma minutami tutaj rozlegała się tragedia. Tylko gole, posępne ściany. Uważnie obejrzał fatalny otwór z obu stron: z jednej widać było dużą czerwoną plamę, a z drugiej tylko cienki, krwawy wianuszek. „Diabelski żart”, pomyślał Raszo. Jedynym, który wie coś na pewno i nie musi tego ukrywać, jest odchodzący na tamten świat Arso. Czy jest w tym jakiś zamysł?

— „Dlaczego tak długo”, zapytywał się. „Ile jeszcze będziemy czekać?” Wrócił do swoich zawartysszy pelen podejrzeń.

— Kaczor się spóźnia — rzucił Van-ju.

Bezo popatrzył nań pytająco. nagle przyszło mu do głowy, że może Łazarz po prostu uciekł.

— Musimy go przenieść do barakowozu — powiedział zdecydowanie. — Wy dwaj złapcie go za ramiona, a ja za nogi.

Ciało było bezwładne i ciężkie, wielka głowa zwisała na piersi. Dużo trudu ich kosztowało znoszenie Arsowa po schodach. Na pierwszym piętrze o mały włos nie upuścili go z zaskoczenia. Przez jedyną cienką szelkinę w miejscu drzwi przechodziło blade światło. Położyli ciało na podłodze i przyglęli do ściany. Zdolali spostrzec jedynie pas podwórza i część barakowozu. Z ledwością mogli przecisnąć przez nią ręce. Od zewnątrz wystawały tylko skurczone palce, które rozpaczliwie próbowały dostać się do powietrza. Dookola nie było żywej duszy. Barakowóz zatarasował wyjście na ulicę i zatrzymywał głuche wolania, dobiegające z wewnątrz. Nieliczni przechodnie nawet przez chwilę nie domyślali się dramatu.

Z sąsiednich domów wychodzili ludzie, zapadali się w podziemnym przejściu, inni prosto z tego przejścia wpadali między szklane drzwi, gdzie mętnie rysowała się figura portiera na jego marmurowej ambonie. Głęboko spod ziemi rozchodził się stukot podziemnej kolejki. A ruiny domu sterczały samotnie w głębi podwórza. I niby to przypominały domek z obrazka, ale był to już inny, zły domek, z wyszczerzonymi murami i oknami jak strzelnice...

Burzyciele blakali się po pokoju i na próżno szukali otworu, przez który mogliby uciec. Łamali palce w ciasnych szczelinach i chciwie chwytali oczami skąpe światło. Suche, naelektryzowane powietrze wrogo trzeszczało.

— Włóżcie kaski — zakomenderował Raszo, wkładając swój.

Otułila go ciepła głuchota, jakby schował głowę w poduszki. Wydaje się, że i pozostali doświadczili tego samego: na chwilę przenieśli się w inny świat: domowy, pewny. Ale iluzja nie trwała długo. Po szklach kasków przeskakiwały duże niebieskie iskry.

— Cóż zrobimy teraz? — ktoś zapytał równym, metalicznym tonem, jak robot.

Membrana aparatu dźwiękowego odbierała głosem ich intonację, czyniła je niczymi.

— I co teraz? — powtórzył ten sam nie ludzki głos.

Van-ju popatrzył pytająco na Beza, Bezo popatrzył na Rasza, a Raszo na obydwo...

— Musimy zrobić dziurę w ścianie.

Bezo zrobił krok do przodu i uniósł maszynę, z którą się nie rozstawał. Ściany poskrzypywały i ledwo dostrzegalnie się kołysały, jak gdyby stapały w miejscu. „Szybciej”, ochryple powiedział sobie, „jak najdalej od tego koszararu”. Naciśnął na cyngiel i mocno cisnął plastikowe uchwyty. Coś tknęło Rasza, że musi się wtrącić, ale nadzieja bliskiego ocalenia zwyciężyła. Ostrze wzbilo kurz i wcięło się w cegły. Raszo i Van-ju śledzili je z zapartym oddechem. „Ta-tata-tata-ta!” Wkrótce miało się przebić na wewnątrz. Wtem oślepiający luk przeskoczył między młotem a ścianą. Bezo poczuł jak uchwyty topią mu się w rękach. Dłonie przykleiły się do żelaza, piekielny ból przeszył jego ciało. Raszo i Van-ju widzieli jak ręce Beza żarzą się w czerwonych promieniach, a kombinezon dymi. Bezo podrygiwał, nie mogąc oderwać się od maszyny; pękła szyba kasku i od wewnątrz wychyliła się poczerwieniała twarz ze świecącym nosem. Upadł przed Raszem i Van-ju, jakby, chciał, żeby się opamiętali.

Trzęśli się. Mózgi ich były otępiałe, jak po długim śnie. Podeszli powoli do ciała, nie śmiejąc go dotknąć. Osmolona sylwetka młota złowieszco sterczała ze ściany. Nieoczekiwanie ciało wyprężyło się i odwróciło na plecy. Ten nowy wstrząs ich ocucił. Zostali tylko oni dwaj. Po szklach kasków biegały niebieskie iskierki. Ściany i podłoga wibrowały, cegły bzykały jak rozgniewane osy. Znajdowali się w środku oszałatego ła. Strach o własną skórę podpowiadał im, że jeszcze mają szansę.

— Musimy przebić ścianę! — wykrzyknął Raszo.

— Ale jak? — zapytał Van-ju.

— Kilofem! — ściana jest naelektryzowana, a trzonek jest drewniany.

Nosili go na wszelki wypadek. Wybiegli do przedsionka. Kilof stal oparty o ścianę. Van-ju rzucił się, aby go złapać, ale zastylł na miejscu. Błado żółta luna oświetlała górny podest. Światło miętko pulsowało i słało się wzdłuż schodów złocistym pyłem. Czekal, że tam, w górze, coś się pojawi, ale nic się nie pojawiło. Ten fakt tylko wzmógł jego przerażenie.

— Szybciej! — popędzał go Raszo.

Ale Van-ju nie mógł oderwać się od schodów. Był przygotowany na najokropniejszy widok. Ta bezkształtna światłość była nie do zniesienia. Musiał coś zobaczyć. Kogoś. Inaczej po co ta migotliwa światłość? Promieniowanie stawało się coraz silniejsze. Tam na pewno ktoś był. Na pewno ktoś!

— Ktoś tu jest! — krzyczał Van-ju, podczas, gdy Raszo starał się oderwać go od poręczy. Opamiętał się dopiero wtedy, gdy wachpchnięto mu kilof do ręki. Najlepszy sposób, by wrócił do siebie.

— Zaczynaj — rozkazał mu Raszo.

Zamachnął się gniewnie. Posypały się iskry i kilof odskoczył gwałtownie jak wypluty. „Przekląty dom — wycedził Van-ju — ty zabić mój przyjaciel!” I znów uderzył. Kilof pozostal wbity w ścianę, jak gdyby ktoś cisnął go w zębach. I nagle odleciał z taką siłą, że Van-ju nie mógł go utrzymać. Stal kilofa wbiła mu się między łopatki, a trzonek pozostal w górze, stercząc nad głową Wietnamczyka. Jego kręgosłup trzasnął i Van-ju stracił przytomność. Powoli ukłękął, upadł twarzą w przód. Zaterdagiemtelny jęk uleciał z kasku, jak bzyknięcie muchy.

— Wania... — wyszeptal Raszo raczej do siebie.

Trzonek kilofa, jak jakaś złowieszca strzałka, wskazywała ścia-

# ECOSOPHIA

## — nowe myślenie

WALDEMAR PYCKA

W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i Rzeczypospolitej Polskiej — to samo: nie publikuje się danych o stanie zniszczenia przyrody. Nie publikuje się map ukazujących skażone odcinki rzek, nie przestrzega się przed chmurami trującym w komunikatach meteorologicznych. Myśl ludzka chroniona jest przed złymi informacjami. A to znaczy, że postrzega się związek między stanem myśli a stanem przyrody.

Największe w Europie zanieczyszczenie przyrody nastąpiło w Polsce wskutek prymitywizmu myślenia. Przemysł ciężki najpierw ograniczył naszą konsumpcję — teraz zabija nasze organizmy. Kartezjusz radził: „Kiedy nie możesz zmienić świata — spróbuj chociaż zmienić siebie”. Dziś potrzebne jest takie „nowe myślenie”.

**E**COSOPHIA — czyli swoista „mądrość domu”, zadomowienia w świecie, zapodżania się w codzienności — oto takie nowe myślenie. Delikatność wobec przyrody, to tylko dodatek do „zadomowienia człowieka” wśród rzeczy. Otacza nas więcej rzeczy niż ludzi. Trzeba nam mądrości wobec rzeczy, nie tylko wobec bliźnich.

Do czołowych ekologów Zachodu zaliczany jest dziś Polak, mieszkający w Stanach Zjednoczonych i pracujący naukowo w University of Michigan, Henryk Skolimowski. Na marginesie warto dodać, że we własnym mniemaniu filozofowie ekologiczni dokonują radykalnego przełomu w dotychczasowej kulturze filozoficznej. Własną siłą widzą głównie w słabości, wręcz nieprzydatności dotychczasowych nurtów filozoficznych, oraz w szerokim zapleczu społecznym, którego — prawdę mówiąc — żaden poważny nurt filozoficzny obecnie nie posiada. Trudno odmówić racji drugiej refleksji eko-filozofów; filozofia rzeczywiście oderwała się od zwykłych śmiertelników, nawet tak mocno lansowana w polskim społeczeństwie filozofia neotomizmu stała się, prawie wyłącznie, filozofią wykształconego kleru, i to nie w pełni, o czym świadczy chociażby popularność filozofii ks. J. Tischnera. Natomiast do pierwszej uwagi musimy podchodzić z rezerwą: który to już raz w XX wieku filozofowie głosili tezę o nieprzekraczalności akurat ich filozofii? Prawdę bezwzględna miała odkryć fenomenologia E. Husserla, później głośno wygłaszali swe tezy egzystencjaliści (M. Heidegger, J. P. Sartre), w międzyczasie ostateczną śmierć filozofii metafizycznej obwiesili neopozytywiści z Kola Wiedeńskiego (M. Schlick, R. Carnap), a także filozofia dialogu (M. Buber) miała być kopernikańskim przewrotem w filozofii. Wszyscy byli pewni swej „najwyższości”, i jakoś po nich wszystkich myśl filozoficzna ciągle rozwija się, o czym świadczy chociażby eko-filozofia.

Przeciwko czemu zwraca się myśl eko-filozofów? Niewątpliwie głównym celem ich ataków stała się filozofia oparta na tradycji kartezjańskiej. Chęć wydziedziczenia Kartezjusza, ogłoszonego wcześniej ojcem kultury nowożytnej, jest wielorako przez nich motywowana. Zarzuty podnoszone są przede wszystkim w dwóch tematach. Po pierwsze, Kartezjusz akceptuje i uzasadnia dualizm, z jednej strony antropologiczny, przejawiający się w przeciwstawieniu ciała i duszy, z drugiej dualizm człowieka, jako istoty myślącej, oraz przyrody rządzonej prawami mechaniki. Świat dla matematycznego umysłu Kartezjusza jawił się jedynie jako możliwe pole dla ludzkiego eksperymentowania. Znając prawa mechaniki można kształtować taki świat, jak tylko ludzka wola zapagnie. Po drugie, Kartezjusz krytykowany jest za wprowadzenie ideału analitycznego myślenia. Analiza oparta na rozkładaniu całości na części nigdy nie służyła odszukiwaniu związków człowieka z otaczającą go rzeczywistością; uczynić to może myślenie holistyczne, całościowe i takie też preferuje eko-filozofia.

nę. Wibracje się potęgowały, jak gdyby dom trząsł się ze złości. Oślepiające, błękitne błyskawice przesywały powietrze. Raszo stanął na środku pokoju. Po pierwsze — nie dotykać niczego. Wszystko tutaj niesło śmierć. To pułapka. On i jego ludzie są ofiarami. Już nie miał wątpliwości, że Michał Arsov był pierwszym z rządu. Błysnęła mu uspokajająca myśl o ratunku: jeśli Łazar jest niewinny to znaczy, że wróci z pomocą. Chyba że... Ogarnęło go złe przeczucie. Odkąd Łazar odszedł, przecież wiele się wydarzyło. Do tej pory mógł wrócić ze trzy razy... To znaczy, że jest gdzieś tutaj. Co mu się mogło stać?

— Kaczor — wychrypiał rozglądając się dziko — gdzie jesteś, Kaczor! Łazar, wyjdź!

Ale nikt się nie odezwał, ani też nie pokazał. Na próżno Raszo wpatrywał się w ciemne niszki i kąty. Wtem rozniosło się głośnie stukanie. Na głowę posypały mu się kawałki sufitu. Szurgotanie wznosiło się ku górze. Szklane śmieci w piwnicy zadzwoniły, zaśpiewały swoją klującą, tnącą piosenczkę. Błysnęło. Nagle Raszo zawył i zamachał z przerażenia rękami. Pod schodami stał Łazar Kaczor. Ciało jego nabite było szklami. Z jednego oka sterczała szyjka butelki. Mnóstwo gęstej, niebieskoczarnej krwi sypało po rozdartym kombinezonie. Nogawki i rękawy przystrajały kawałki szkła. Chybotał się na nogach, najwyraźniej wyszedł ostatkiem sił. Próbowal coś powiedzieć, ale tylko dusił się i charczał.

Wtem podłoga zakolysała się. Kaczor odleciał w tył, rozpostarł szeroko ramiona i zapadł się gdzieś w rozspiewanym gardle izby.

Dom podskakiwał. Fundamenty stepowały. Raszo podjął desperacką decyzję. Wejście na drugie piętro i przetrzeć się przez ścianę ryzykując życiem. Ale gdy stanął na pierwszym schodku, z przerażenia odjęło mu siły... Tam, w górze, w żółtej poświacie, ktoś stał. Był to zupełnie malutki człowieczek z długimi, potarganymi włosami.

— Irenko! — wykrzyknął.

Dziecko ponuro wpatrywało się w dziadka. Wielka nienawiść paliła się w przesywającym go wzroku. Raszo skurczył się nagle. Zrobiło mu się wszystko jedno, pogodził się ze swoim losem. Wyparowało zeń początkowe przerażenie i owładnęło nim jakieś nowe uczucie. Z trudem poruszył się. Zdjął kask i spłoszony zapytał:

— Irenko, Chcesz, to pójdziemy sobie stąd.

Okrutny grymas wykrzywił usta dziewczynki. Z nieludzkim piskiem sfrunęła na niego jak drapieżny ptak. A wokół niej wszystko waliło się z hukiem i trzaskiem. Jej beczyleśny cień przebił Rasza na wyłot, wyskoczył za jego plecami i zlał się z pyłem.

Słabe drgania rozkolysały sąsiednie budynki. Na 34 piętrze pewien zaniepokojony mężczyzna podniósł wzrok znad papierów. Wstał zza biurka i podszedł do okna. Był to ten sam dyrektor, który posłał burzycielom coca-cola i kanapki.

— Mój Boże! — wykrzyknął, spojrzawszy w dół.

Ruina zapadała się z wolna. Wokół ziemia poruszała się i krążyła niczym prawdziwy wir wodny. Głębokie, czarne bruzdy skręcały się jak gdyby przeyowane niewidzialnym plużem.

— Trzęsienie ziemi! — wpadła do gabinetu blond sekretarka. Ale on nie poruszył się. „Na dole ludzie”, myślał, chociaż podłoga pod nim złowieszco podrygiwała. „Żeby tylko udało im się uciec”.

Dom zniknął z powierzchni, kilka grubszych kawałków pojawiało się wśród przemieszanych płatów ziemi, ale wkrótce i one zniknęły pod faldami. Powoli ziemia się uspokajała.

Nauczycielka wracała do domu z ciężką, czarną teczką, pełną dziecięcych rysunków. Podziemna kolejka odwoziła ją do domu, na wpół pusty wagon kołysał się w tunelu jak pijany. Na siedzeniach, naprzeciwko, spał odrapany staruch. Dalej schludna babcia w uniesieniu potakiwała w rytm stukotu kół. Uchwyty dla stojących zwieszały się z sufitu jak pętle. Odbita w ciemnej szybie twarz nauczycielki wyglądała żółto. Jej włosy zlewały się z rdzawym światłem. Kolejka odwoziła ją do maleńkiego, białego mieszkania na 16 piętrze. Mrok zalegał w tunelu. I tak codziennie. Niepostrzeżenie małe, białe mieszkanie zamieniało się w powolną białą śmierć. A w teście znajduje się jakieś dziwne, cudaczne miasto — inne miasto, inne życie.

ALEK POPOW

### Z bułgarskiego przełożyła TERESA PILECKA

Alek Popow urodził się w 1966 r. w Sofii. W roku bieżącym kończy studia filologii bułgarskiej w Uniwersytecie Sofijskim. Do niedawna jego twórczość znana była tylko w kręgu przyjaciół. Po listopadowym przełomie politycznym w Bułgarii nazwisko młodego pisarza coraz częściej pojawia się na łamach czołowych periodyków literackich. Prawdopodobnie wkrótce ukaze się debiut książkowy Popowa, który zamierza zresztą powołać własne czasopismo poświęcone prozie. „Kamena” jako pierwsza w polskiej prasie publikuje fragment jego twórczości. (red.)

We współczesnej myśli filozoficznej można dostrzec pewną tendencję, którą dostrzegają eko-filozofowie i z której też wyciągają radykalne konsekwencje. Tendencja ta polega na budowaniu dwu typów racjonalności: jedną dla bytu ludzkiego, drugą zaś dla otaczającego człowieka świata. Najistotniejsze jest to, że te dwie racjonalności coraz mniej mają wspólnego ze sobą. Człowiek stracił kontakt z otaczającym go światem w najistotniejszej dla siebie sferze — sferze sensu. Człowiek potrafi odczuwać nicość własnej egzystencji pomimo wiedzy o racjonalności otaczającej go rzeczywistości. Z drugiej strony, dostrzega doniosłość własnej egzystencji wbrew świadomości bezsensowności procesów światowych. Mający miejsce rozdział pomiędzy człowiekiem i jego otoczeniem, a można powiedzieć, że jest to prawdziwa przepaść, stara się zniwelować myśl ekologiczna.

Ecosophia wspiera się na krytyce sposobu myślenia wychodzącego z przeciwstawienia podmiotu i przedmiotu, które jest nadal charakterystyczne dla wielu nurtów filozoficznych. Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na fakt, że swoje veto wobec przeciwstawiania podmiotowo — przedmiotowego przedstawili w XX wieku m.in. K.Jaspers oraz M.Heidegger; ten drugi własną koncepcją człowieka jako „pasterza bytu” jest źródłem inspiracji dla eko-filozofów.

Jakie są inne źródła inspiracji? Trudno mówić o jednym typie źródeł dla wszystkich nurtów filozofii ekologicznej, można jednak wyróżnić źródła religijne, m.in. duże zainteresowanie religiami Wschodu, oraz filozoficzne — wielkim uznaniem cieszy się myśl Teilharda de Chardin. Zresztą poszczególne szkoły filozofii ekologicznej głoszą tak różne i często sprzeczne ze sobą tezy, że trudno wymienić jakiegokolwiek źródła wspólne dla wszystkich. Jednoczy ich bardziej sprzeciw wobec starego, niż kierunek nowych rozwiązań. Np. Deep Ecology (Głęboka Ekologia) oprócz potępienia świata mechanistycznego mocno przeciwstawia się antropocentryzmowi. Przedstawiciele tego nurtu (Arne Naes, George Sessions) postulują wyeliminowanie 80—90% ludności z powierzchni globu! Inny nurt, Eco-Feminizm (Hazel Henderson, Patsy Hallen) sugeruje potrzebę powrotu do matriarchatu. Oddanie władzy kobietom odnowić ma ludzki kontakt ze światem. No cóż, jak dowodzą psychologowie, kobiety mają znacznie większy stopień wrażliwości empatycznej od mężczyzn, doskonale wczuwają się w „inność”, więc może Eco-Feminizm ma coś w sobie (?!). Jeszcze inna koncepcja, Eco — Filozofia Henryka Skolimowskiego, wskazuje na konieczność stworzenia nowej ekologicznej kosmologii „z której będzie wypływała: nowa etyka (ekologiczna), nowa kultura, nowe społeczeństwo, nowy człowiek”.

Zagadnienie techniki uwyrażnia myśl Skolimowskiego, jak i innych myślicieli ekologicznych. Technika otwiera przed człowiekiem

świat jego możliwości. Rozszerza ten świat, a zarazem zagęszcza go coraz większą ilością rzeczy, dzięki czemu odnosimy wrażenie „kurczenia” się globu ziemskiego. Dzięki tym rzeczom kurczy się przestrzeń międzyludzka. Jednak technika nie tylko otwiera perspektywę dla życia ludzkiego, ale wskazuje także świat ludzkiej odpowiedzialności. Dlatego staje się potrzebna nowa etyka, dla której fundamentu nie tyle należy szukać w odrzucaniu nowych wartości, co w odkrywaniu współistotności ludzi i środowiska, ludzi i rzeczy.

Problematyczność techniki polega na specyficznym jej ułożeniu: technika może być dostrzegana jako klin wbity między człowieka i naturę. Przemówił w niej homo konstruktor, który w oparciu o materiał przyrodniczy potrafił zużyć potęgę wyobraźni i rozumu dla poprawy poziomu własnego życia. Cenę za to zapłaciła przyroda. Stąd też wielu myślicieli ekologicznych wyraża ostry sprzeciw wobec dalszego rozwoju techniki. Jednak oprócz tego, że technika stanowi zagrożenie dla przyrody, to nie mniejsze zagrożenie stanowi dla człowieka. Nie chodzi mi bynajmniej o to, że za jej „pomocą” ludzkość może unicestwić się. Technika jest narzędziem ciągłego ujarzmiania człowieka przez naturę! Stwarzając w ludziach poczucie dumy z własnego intelektu i wyobraźni, natura mści się na nim: rodzi fascynację wszelkimi „cudeńkami” techniki i tym samym odrywa człowieka od jego specyficznego ludzkiego poziomu. Mariaż techniki, pieniądza i czasu wniósł w wiek XX prawdziwą mieszaninę piorunującą. Dzięki technice możemy powrócić tam, skąd już kiedyś zostaliśmy wyrzuceni. Tak, więc, w technice zawarta jest zarówno Scylla (możliwość zniszczenia natury), jak i Charybda (możliwość zniszczenia człowieka) naszej współczesności, obok których musimy przejść, aby uratować siebie i swój świat. Ale w naszym programie ratowania musi się znaleźć miejsce także dla techniki.

Filozofom ekologicznym zarzuca się, że: demonizują przyrodę (czyżby strach przed nią miał pozbawić człowieka woli niszczenia?), koniunkturalność, nieteoretyczność, bezkrytyczność oraz ideologizowanie filozofii. Jednak spór o ecosophię, a nie tylko o eko-filozofię, dopiero się zaczął i najbliższe lata przyniosą wiele ciekawych rozstrzygnięć. Filozofia, czyli umiłowanie mądrości, rozwija się już od dwudziestu kilku wieków, zaś eko-filozofia, czyli umiłowanie mądrości ekologicznej, dopiero od dwudziestu kilku lat. Ecosophia, jako swoiste pole doświadczeń dotychczasowej filozofii oraz eko-filozofii, a także innych nurtów współczesnej filozofii wniesie niewątpliwie do ludzkiego rozumienia wiele cennych treści.

WALDEMAR PYCKA



Dariusz Lipski — instalacja z ekologicznej akcji plastycznej, zorganizowanej przez Muzeum Okręgowe w Chelmie 1989r.



## KRONIKA PEWNEGO PROCESU

Kim był Eugeniusz Baranowski?  
Nauczycielem szkół plastycznych Zamościa i Lublina.

Tylko tyle?

No, był jeszcze rzeźbiarzem.

I to wszystko?

Prawie. Wiadomo, że trochę malował, ale o czym tu mówić, skoro zachował się tylko jeden jego obraz, powstały zapewne w Zamościu, w końcu lat czterdziestych, a przedstawiający matkę z trojgiem dzieci.

Tak, zachował się tylko ten obraz: rzetelny warsztatowo, mocny w wyrazie. W końcu Baranowski był uczniem Antoniego Michałaka w Państwowej Szkole Technicznej we Lwowie, którą ukończył w roku 1937. Fakt ten Michałak stwierdził na piśmie, jedenaście lat później, zaznaczając w oświadczeniu, że jego uczeń „posiada znajomość techniki temperowej, olejnej i freskowej”.

Tamten obraz Baranowskiego może nawet zyskałby na ekspresji po przeniesieniu na ścianę, w technice freskowej.

Może. Ale on za bardzo był nauczycielem.

I rzeźbiarzem.

Nauczycielem i rzeźbiarzem. Ponad trzydzieści lat wykładał rzeźbę w średnich szkołach plastycznych, od 1950 roku w Lublinie. Własną twórczość uprawiał przy okazji, po lekcjach, od święta.

Niewiele zrobił.

Uchowało się zaledwie kilka jego rzeźb: „głowy” z gipsu, granitu i diabazytu oraz portrety z patynowanego gipsu, przedstawiające Czechowicza, Kraszewskiego i Prusa, które oglądać można w muzeach tych pisarzy, kolejno: w Lublinie, Romanowie i Nałęczowie. Portret Hieronima Łopacińskiego znajduje się w lubelskiej bibliotece jego imienia.

Niewiele.

Ale niektóre z tych rzeźb są po prostu piękne — w sensie zmysłowym i intelektualnym.

Intelektualnym?

Tak, bo zbudowane z kilku elementarnych brył i form geometrycznych, z trójkątów, stożków, sześcianów i kwadratów, których naroża łagodnieją w elipsach, stanowią struktury tak logiczne, że aż piękne. Jak prosty syllogizm.

Prosty?

Niech będzie, że jak równanie matematyczne z pięcioma niewiadomymi, albo jak złoty podział czy trójkąt egipski.

Znaczący się: abstrakcyjne są te rzeźby?

Otóż nie. Z tych brył wylaniają się twarze, nawet dwie twarze, jak w „Macierzyństwie” z 1971 roku, wygładzonym do połysku czułą dłonią rzeźbiarza, jeszcze sprawną.

Dlaczego „jeszcze”?

Z pobytu w obozach koncentracyjnych na Majdanku i we Flossenburgu Baranowski wyniósł trwale uszkodzenie kręgosłupa, coraz bardziej nękające go z biegiem lat. Kiedy zaś będąc już na emeryturze złamał nogę w biodrze i trafił do szpitala, zaaplikowano mu tam taki zastrzyk, że ledwo przeżył to „leczenie”. Odtąd niezbyt sprawnie władał rękoma. A przecież właśnie wtedy, po opuszczeniu szkolnictwa, zamierzał zrealizować — może dzieło swojego życia? Ale sił starczało mu już tylko tyle, by chodzić na ryby, zarzucać wędkę. W końcu mógł jedynie obserwować innych wędkarzy, co robił nawet późnymi wieczorami, wyprawiając się nad Bystrzycę z żoną Stefanią z domu Duras, z którą ożenił się w 1942 roku, miał dwoje dzieci, Tadeusza i Joannę, a w ogóle to miał z nią dobre, ludzkie życie. „Życie nas nie pieściło”, mówi dziś pani Stefania, wspominając fatalne warunki, w jakich długo musiała mieszkać cała rodzina, no i ten zły los wspomina, nękający zdrowie męża.

Krótko mówiąc: w ostatnich latach przed śmiercią (31 marca 1988 roku) Baranowski nie mógł wykonywać wymarzonej konstrukcji w drewnie, ani tym bardziej pracować w granicie czy diabazycie.

Diabazyt — kto o takim kamieniu słyszał w Polsce?

Mало kto. Nawet rzeźbiarze nie wiedzą co to takiego. Przypomnijmy więc, że jest to magmowa skała żyłowa o składzie mineralnym i chemicznym bazaltu, acz posiadająca grubsze ziarno. Blok, z którego wylonilo się „Macierzyństwo”, ma barwę głębokiej zieleni, przetykanej jasnymi pręgami. Gdzie i jak zdobył ten kawałek diabazytu — trudno powiedzieć.

Jakie miało być to dzieło życia artysty?

Artysty?

Tak, bo tych kilka kamiennych rzeźb już nam chyba przysloniło postać nauczyciela. Dajmy jednak pokój takim klasyfikacjom i hierarchizacjom. W końcu dobry nauczyciel to również twórca. Ze szkolnej pracowni Baranowskiego wyszedł niejeden znany później czy nawet wybitny artysta, jak na przykład Tadeusz Mysłowski, mieszkający od 1970 roku w Nowym Jorku, gdzie maluje, rysuje, wykonuje grafiki, a ostatnio rzeźby.

Ale do dzieła...

Baranowski odchodził ze świata w przekonaniu, że czegoś jeszcze ważnego nie zdołał zrobić. Cierpliwie, precyzyjnie — zawsze był niebywale dokładny, perfekcyjny — uformował zaledwie kilka elementów owych konstrukcji w drewnie, które w zamyśle autora miały być wielkie. Jego dłonie nie zgodziły się jednak na ciąg dalszy.

Dzisiaj wiemy, że Baranowski zrobił przecież to coś ważnego — znacznie wcześniej, w latach 1958—1963, kiedy był dyrektorem lubelskiego liceum plastycznego, z którego to stanowiska zrezygnował ze względu na rozwijającą się chorobę kręgosłupa.

Mówimy o powstałych wówczas rysunkach.

Są to prace różnorodne, wykonane ołówkiem, kredką lub długopisem na papierze w kolorze ochry, brązu, sporadycznie — czerni i srebra, także na papierze milimetrowym z niebieską albo czerwioną siatką. Znajdujemy wśród nich motywy antropomorficzne i abstrakcyjne (geometryczne), czasami takie i takie w obrębie jednego szkicu.

Właśnie, czy są to szkice?

Niektóre rysunki można potraktować jako autorskie ćwiczenia do realizacji rzeźbiarskich, pewna przecież ich grupa stanowi konceptualny zapis refleksji Baranowskiego nad rudymentami formy plastycznej, jest kroniką procesu dochodzenia do rozwiązań strukturalnych, które otwierają z kolei nowe możliwości...

Tak właśnie rysował (myślał) Baranowski, kiedy nikomu w kraju nie marzyła się jeszcze sztuka procesualna, pojęciowa, konceptualna, systemowa. Podkreślam to mocno, choć bez intencji ubierania Baranowskiego w kostium „pierwszego konceptualisty”.

O istnieniu takich rysunków Baranowskiego mało kto wiedział, bo on ich publicznie chyba nigdy nie pokazywał, w ogóle bardzo rzadko brał udział w wystawach. Powstały zresztą za wcześniej (!), by liczyć na zrozumienie. Dopiero w latach osiemdziesiątych „odkrył” je Tadeusz Mysłowski (odwiedzając Baranowskiego w Lublinie) i z jego też zachęty, w maju tego roku, rysunki wraz z kilkoma rzeźbami przedstawiono w lubelskim BWA.

Eugeniusz Baranowski urodził się 18 maja 1916 roku w Wasylkowcach, na Kresach, zmarł w Lublinie.



*Fragment obrazu Eugeniusza Baranowskiego, namalowanego zapewne w końcu lat czterdziestych (olej, 223x128 mm)*

# Spotkanie kultur

Gdzie nastąpiło i następuje nadal spotkanie dwóch kręgów kulturowych: lacińskiego i bizantyjsko-słowiańskiego? — żeby użyć słów Jerzego Kloczowskiego z referatu wstępnego. Co było i jest wynikiem tego spotkania? Takie pytania legły u podstaw sesji naukowej gromadzącej przedstawicieli różnych dyscyplin, głównie, ale nie wyłącznie, humanistycznych, której wyniki prezentuje wydany niedawno tom <sup>1)</sup>.

Zjawiska te różnie umiejscawiane są w przestrzeni. Wiodąca jest lokalizacja między rzekami Wisłą i Bugiem, na terenach, które zwykle się nazywa Lubelszczyzną, włączając w ten region dawne obszary Ziemi Chełmskiej, województwa bełzkiego i południowej części dawnego województwa ruskiego. Jednak niektórzy autorzy rozszerzają ów horyzont geograficzny. Juliusz Bardach w pracy o statutach litewskich omawia ziemie Wielkiego Księstwa Litewskiego sprzed unii w Lublinie, a więc z Ukrainą. Rozciągłość geograficzna (w referacie Ryszarda Łuźnego o Akademii Kijowskiej mowa jest o Rusi Moskiewskiej) jest jednak ze wszech miar zrozumiała. Całe dawne wschodnie tereny Rzeczypospolitej były miejscem spotkania wielu kultur i narodów, zatem wkroczenie poza wąskie ujmowanie przestrzeni pozwala lepiej uchwycić badane zjawiska.

Większość tekstów zamieszczonych w tomie dotyczy okresu nowożytnego (XVI — XVIII w.). Średniowiecze jako słabiej rozpoznane badawczo prezentowane było jedynie przez trzy wypowiedzi. Redaktor publikacji wyraził nadzieję i zamiar, że w następnych tomach tej serii znajdzie ono więcej miejsca.

Przy spotkaniu odmiennych kultur, mimo wszelkiej wrogości czy niechęci, następuje jakaś wymiana, wzajemne oddziaływanie, o którego trwałości dowiadujemy się często dopiero po wiekach. Wrócić tu należy do zagadnienia, jak autorzy rozumieją wywołany w tytule tomu Wschód. Tematy referatów wskazują (kultura żydowska, ormiańska), że nie chodzi jedynie o krąg kultury prawosławnej, ale szerszy, który zwykliśmy nazywać orientalem.

Związki językowe polszczyzny i języka ukraińskiego w średniowieczu pokazane przez Michała Łesiowa wskazują na procesy wzajemnego wzbogacania leksyki i zmieniania fonetyki. To za pośrednictwem języka ukraińskiego przenikały do języka polskiego słowa pochodzenia orientального. Z drugiej strony przez polski przedostawało się na tereny ruskie słownictwo lacińskie.

Interesująco wygląda teza Anny Żuk o wpływie systemu prawa Rzeczypospolitej na kształtowanie się samorządu żydowskiego w XVI—XVII w. Zwracając uwagę silne związki kodyfikacji litewsko-ruskiej z tradycjami prawa rzymskiego. Statut litewski z 1588 roku obowiązywał na terenach Ukrainy do połowy XIX wieku. Prawodawstwo litewskie wpłynęło też na kodyfikację rosyjską w wieku XVII. Są to świadectwa jakości i żywotności tej tradycji prawnej.

Zagadnieniem ogromnej wagi jest przenikanie lacińskiej kultury humanistycznej poprzez Akademię Kijowską na tereny Rosji. Akademia założona w 1632 r. przez prawosławnego metropolitę Kijowa, Piotra Mohylę, miała na celu walkę w obronie prawosławia orężem samych laciników. Stąd też program nauczania zbudowanego na sposób zachodni, z łaciną jako językiem wykładowym włącznie. Owocem tego było przenikanie lacińskiej kultury do kultury prawosławnej Rosji. Szczególna rola przypadła środowisku Akademii w czasie reform Piotra I, kiedy jej profesorowie i uczniowie znaleźli się w najbliższym otoczeniu cara. Wraz z łacińską kulturą zawędrowała do Rosji w XVII w. via Akademia moda na kulturę polską.

Referaty dotyczące kultur prawnych terenu dawnej Ordynacji Zamojskich wskazują na proces przejmowania zwyczajów prawa magdeburskiego i polskiego przez różne wspólnoty etniczne. Eksponuje to świetny tekst Artura Korobowicza o sądownictwie ormiańskim. Zjawiska z dziedziny kultury prawnej, a więc ze sfery życia praktycznego, były żywym terenem spotkania.

Inaczej rzecz się miała z kulturą filozoficzną czy teologiczną. Tu dialog był znacznie trudniejszy. Scholastyczna łacińska filozofia nie napotkała takich partnerów kontrowersji ze strony prawosławnej, jakich miała w XIV w. w Grecji (np. św. Grzegorz Palamas).

W dziedzinie teologii wzajemne związki wyrażają się w literaturze polemicznej, gdzie każda ze stron trzymała się własnej ortodoksji. Sytuacja kulturowa wymagała jednoznacznej opcji, stąd też po unii w Brześciu (1596) powstały kościoł greko-katolicki uległ raczej latinizacji, nie będąc uznawany przez stronę łacińską za równorzędnego uczestnika dyskusji o dwóch wspólnych chrześcijaństwu tradycjach: grecko-słowiańskiej i rzymskiej. Tak wnosić można z wypowiedzi Henryka Damiana Wojtyśki o uprawianiu teologii na ziemiach między Wisłą i Bugiem oraz Ludomira Bieńkowskiego, piszącego o kulturze intelektualnej Kościoła Wschodniego.

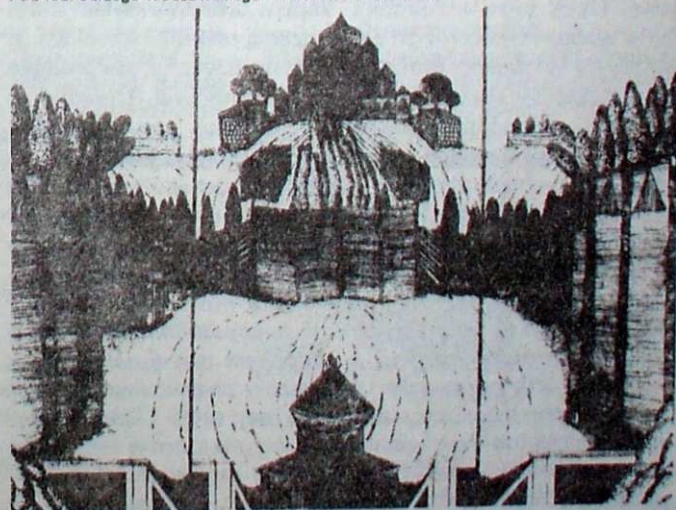
Życie diaspory żydowskiej zaowocowało swoistą syntezą kultur dwóch jej odłamów: Sefardim i Aszkenazim. Powstały z tego religijny ruch chasydów szczególnie bujnie rozwinął się na południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitej. Żywy też był nurt polemiki między różnymi odłami chrześcijan a Żydami na temat wiary. W jakimś sensie skutkiem tego było zjawisko licznych konwersji zwolenników Józefa Jakuba Franka (XVIII w.). Na podobnej płaszczyźnie przebiegały procesy przyswajania wspólnoty nowych prądów kultury europejskiej, jak chociażby oświecenia, w tradycji kultury żydowskiej nazwanego haskalą. Były to zjawiska trudne, często bolesne, ale o wielkiej wadze dla procesu asymilacji czy inkulturacji diaspory w życie Europy.

Pewnym brakiem i słabością niektórych referatów jest unikanie wyraźnej opcji metodologicznej, formułowania szerszych hipotez. Zarzut ten nie dotyczy wszystkich tekstów, ale po lekturze całości pozostaje wrażenie zbyt prezentystycznego referowania zagadnień. Z tego punktu widzenia lepsze są wypowiedzi w dyskusji, gdzie badacze wypowiadają opinie śmielsze i ciekawsze, które dobrze uzupełniają referaty. Zabrakło też szerszego pokazania wielu omawianych zjawisk od strony prawosławnej.

Poza wynikami szczegółowymi omawiany tom pokazuje wyraźnie, że peryferyczne w sensie przestrzennym rejony Europy, w sensie kulturowym były terenem często niezwykle intensywnej i owocnej wymiany wartości. Były też obszarem codziennego współżycia różnych grup religijnych i etnicznych. Współżycie to zaowocowało wytworzeniem pewnego nowego typu kultury, zarówno tej codziennej jak i tej uczonej. Oczywiście, nie dokonało się to w sposób równomierny. Doświadczenia wyrosłe na tych terenach stanowią część dziedzictwa całej Europy i w ten sposób zjawisko lokalne wpisuje się w kontekst szerszy. Obraz przeszłości staje się wskazaniem i nauką dla teraźniejszości.

HUBERT ŁASZKIEWICZ

<sup>1)</sup> *Dziela Lubelszczyzny*. T.VI, cz.II: „Między Wschodem i Zachodem. Kultura umysłowa.” Pod red. Jerzego Kloczowskiego. Warszawa PWN 1989



Jan Popek, „Pejzaż”, akwaforta, 1967

## Kajetan Sosnowski

Kajetan Sosnowski (1913—1987) był jednym z najbardziej oryginalnych, najbardziej odkrywczym artystów Polski powojennej. Każde z kolejnych jego odkryć mogłoby wypełnić całe życie malarza i zapewnić mu miejsce w historii sztuki. Sosnowski należał jednak do twórców, dla których sam proces poszukiwania był na tyle fascynujący, że dzieło gotowe, jako rezultat tego procesu, zdawało się jakby mniej ważne. Dlatego też nie przywiązywał należytej wagi do prezentacji swoich prac i ich propagowania. Pierwszą wystawą, która dała względnie pełny przegląd twórczości artysty, stała się dopiero pośmiertna ekspozycja jego dzieł, zorganizowana w grudniu 1989 roku w galerii „Studio” w Warszawie. Objęła ona blisko sto prac: od obrazów, jeszcze figuratywnych, z połowy lat pięćdziesiątych, aż po ostatnie, z roku 1987.

Pierwszym odkryciem malarza były „Obrazy puste” z pierwszej połowy lat sześćdziesiątych, o których istotę tak trafnie pytał Julian Przyboś: „Czy Sosnowski odkrył naprawdę nowe światło, to jest nową jego zjawę malarską?” I potwierdzał: „nie widziałem dotychczas nikogo ażeby tak głęboko wpuścił światło w obraz i żeby ono gdzieś z dna było równomiernie na całą powierzchnię obrazu”.

Już wkrótce, w drugiej połowie tego samego dziesięciolecia, powstały polipytyki Kajetana. Pisał o nich, wśród wielu innych krytyków, Jerzy Olkiewicz: „Świat Sosnowskiego (...) to nie malarska spowiedź czy introspekcja, to świat na wprost, próba wyjścia poza to, co dotychczas wiemy o oddziaływaniu form i koloru (...) Jego malarstwo, zbudowane logicznie jak architektura — stara się torować nowe drogi przestrzeni odległych od przestarzałych konwenansów, związanych z konsumpcją dzieła sztuki”. W 1972 r. Sosnowski podjął pracę nad kolejnym swym odkryciem: tworzy pierwsze obrazy chemiczne — płótna nasycone chlorkiem kobaltu. W zależności od stopnia wilgotności powietrza zmieniają one kolor od błękitu po różowy i różowo—zielonkawy. Obok tego wizualnego zapisu stosuje artysta drugi zapis: wzoru chemicznego zachodzącej reakcji; i trzeci zapis: ukazujący w sposób graficzny zmiany fizyczne dokonujące się podczas tej reakcji w strukturze atomowej. Ujawniając wieloraką postać tego samego fenomenu, stawia twórca pytanie o jego istotę, o jego siłę sprawczą i o jego prawdę. Pisał o tych płótnach, że niezależnie od zawartej w nich refleksji filozoficznej „obrazy chemiczne (...) wydają się otwierać nowe i obiecujące możliwości i zastosowania w architekturze i urbanistyce. Pobudzają do wyobrażenia wielkich ścian, wnętrz czy elewacji, a może całych osiedli zmieniających się kolorystycznie w bezpośrednim związku ze zmianami atmosferycznymi, z oddechem żywej natury.”

W trzy lata po wynalazku obrazów chemicznych, kolejnym odkryciem twórcy stały się obrazy szyte „Katalipomena”. Maciej Gutowski, w związku z ich pokazem w 1976 roku w warszawskiej Galerii Współczesnej, zauważył: „Katalipomenon — znaczy zachować, uchronić (...) tak nazywają się prace Kajetana Sosnowskiego, które robi ostatnio. Prace inne, niż te, które robił dotychczas (...) Kajetan Sosnowski zszywa płótno i napina je na blejtramy. I nic więcej (...)

*Powiedziane jest w tych pracach bardzo wiele przy użyciu „najmniejszej ilości słów”. (...) jak w każdym procesie twórczym dokonuje się to, co nie było możliwe do przewidzenia. Dokonuje odkrycia, które jest tu, jak zawsze w wielkiej sztuce, niespodzianką i przygodą.”*

Kolejnym novum w twórczości artysty, który zarówno obrazy chemiczne, jak i szyte kontynuował do końca życia, były „Układy równowartościowe”, zainicjowane w roku 1982. Cztery lata później wspominał o nich Zbigniew Taranienko: „Sosnowski zaczął szyć serie płócien według zasad, które zafrapowały go niegdyś, podczas wykonywania projektu pomnika dla Chelma. Artysta badał wówczas relacje między bryłami o równych objętościach, lecz o odmiennych kształtach; przeniósł to później na płaszczyznę — zainteresował się stosunkami między powierzchniami o tej samej wielkości, zawartej w różnych figurach geometrycznych.”

Taranienko chodziło o model „Kolumny Pamięci i Marzeń”, którą artysta zaprojektował dla Chelma, uczestnicząc w plenerze, zorganizowanym tu w 1978 r. pod nazwą „Przestrzeń miasta”. Realizacja „Kolumny” po wybraniu miejsca i dokonaniu już pierwszych pomiarów i obliczeń statycznych, wskutek niefortunnych przeciwności losu nie doszła do skutku.

Kajetan Sosnowski związany jest w sposób wieloraki z Chelmem. Spędził tu 12 lat (1922—1934), zanim wyjechał do Warszawy, by podjąć studia w Akademii Sztuk Pięknych. Po wojnie niejednokrotnie odwiedzał to miasto swojego dzieciństwa i wczesnej młodości. Potwierdził zachowany do niego sentyment, urządzając tu wystawę swoich obrazów w 1962 r., a w dziesięć lat później występując z inicjatywą powołania w powiatowym jeszcze Chelmie stałej galerii, która by zapoznawała tutejszą społeczność z najwłaściwszymi osiągnięciami sztuki polskiej. Miał w niej zresztą kolejną wystawę (1973).

Zainicjowana przez Sosnowskiego galeria działa po dzień dzisiejszy, zgodnie z pozostawionym mi przesłaniem artysty, a nawet zaowocowała — czego Kajetan nie przewidywał, ale co wszak realizują także z myślą o nim — stałymi zbiorami sztuki nowoczesnej w miejscowym Muzeum Okręgowym.

Aczkolwiek znacznych rozmiarów — wystawa prac artysty, urządzona w muzeum chelmskim w lutym bieżącego roku, oznaczała mniej, niż połowę dzieł eksponowanych w Galerii „Studio”. Była jednak reprezentatywna dla dzieł jego twórczości. Skromny, ale ładny edytorsko katalog, wspólnym wysiłkiem wydany przez obie instytucje, służył obydwu ekspozycjom.

Na koniec przypomnijmy — a niezwykle to ważne dla Chelma — że połowa dzieł z tutejszej wystawy stanowi depozyt miejscowego muzeum. Należy zachować nadzieję, że znajdzie się w Chelmie miejsce na urządzenie — wzorem wielu niewielkich miast europejskich, a zwłaszcza francuskich — minimuzeum Kajetana Sosnowskiego. Jednego z największych polskich artystów, który do końca życia Chelmem uważał za swoje miasto.

BOŻENA KOWALSKA

# W lustrze naszych snów

Zewnętrznie książka sprawia dobre wrażenie: ma wszystkie cechy pracy przemysłowej i nawet ładnej (tu trzeba podnieść zasługi Jolanty Świdorskiej — autorki rysunków i projektu okładki). Zalet jest zresztą więcej, jak chociażby noty bio — i bibliograficzne, w stylu słownikowym przybliżające prezentowanych autorów. Dobre jest też tempo publikacji — kilka miesięcy w naszych ciężkich czasach na zebranie materiału i wydrukowanie książki to doprawdy warte gratulacji. A jednak nie mogę o *Lustrze naszych snów* mówić pochlebnie jako o jednolitej całości. Nie widać tu mianownika pokoleniowego — daty urodzin autorów mieszczą się w rozległej amplitudzie lat i doświadczeń: 1952—1967; niewidoczne są też inne płaszczyzny tego spotkania. Łączy autorów jedynie miejsce urodzenia lub aktualnego pobytu, czyli Chełm, ale i o tym „topoi” niewiele rzec można, skoro w żadnym z tekstów nie tylko nie pojawi się w sensie formalnym, ale nawet aluzyjnie; mógłby więc *Lustro* firmować również dobrze Zamość, Przemysł czy Wałbrzych... Nie robię z tego zarzutu; wszystko autorów — na szczęście — dzieli. Nie będę więc pisał o nich, jak o jakiejś grupie poetyckiej, choć wystąpili tu społem pod jednym szyldem Chełmskiego Klubu Literackiego, lecz o każdym z osobna i proporcjonalnie do udziału w tej jednorazowej, jak sądzę, spółce.

Szczęśliwie dla mnie i dla potencjalnych czytelników każdy z autorów ogłosił w tej książce przynajmniej jeden dobry wiersz. I o tych dobrych napiszę, słabsze czy zupełnie nieudane pomijając milczeniem. Autorzy w *Lustrze* ułożeni zostali alfabetycznie, w tym też porządku będę o nich mówił.

Ewa Bodio próbowała się zmierzyć z prowincją; wiersz zaczynający się od słów: „*poezja małych stacyjek / z dwoma torami*”, uśmiecha się do nas prawdą potocznego doświadczenia i zaskakującej metafory, spoza której — jak zza plotu — wychyla się samo życie.

Druga z poetek — Małgorzata Derlak — z wyraźnym upodobaniem igra paradokсами, choć syntezy to mówienie dotyka w jednym bodaj tylko, bardzo piosenkowym wierszu, zaczynającym się od słów „*przeraszamy całujemy tłumaczymy*”.

Dramatycznie napięte wiersze Leszka Duchnickiego nie zawsze potrafią w porę zatrzymać się w pół słowa; skłonność do dopowiadania osłabia ich wyraz, dotyczy to również tekstu otwierającego się wersemem: „*gdy byłem chłopcem*”, ale szczególnie szkodzi np. tak udanie zaczętemu wierszowi, jak ten:

x x x

ucz mnie miłości  
jak ślepca prowadź  
ucz mnie miłości

*dotykajmy jej razem*

Poezja Witolda Grabosia obejmuje skomplikowane doświadczenie egzystencjonalne wyrażane językiem ezoterycznym, zagłębionym w lekturach, przemysłeniach, osobistych dramatach. Autor nie ogląda się na nas i co najwyżej pozwala się domyślać zarysów tego, co kryją ciemne nurty, po których żeglujecie; dotyczy to również wiersza bez tytułu („*nie jestem bogiem tam*”).

Janusz Hawryluk oprócz wierszy, wśród których zwraca uwagę ten zaczynający się od słów: „*w radosnym lesie mojego poranka*”, drukuje okrutne w pomysłach, ale artystycznie nietrafne opowiadania pt. *Krótkie opowiadanie o*.

Podobnie następny autor — Ireneusz Jabłoński — prezentuje swój dorobek w poezji i prozie; lepsze są tu wiersze, choć trudno któryś z nich wyróżnić; proza miała zapewne epatować brutalizmem czy wulgaryzmem, ale sprawia wrażenie przypadkowych notatek (nb. korektor puścił brzydki, barbarzyński błąd).

Całą garść dobrych, wzruszających wierszy drukuje Krzysztof Kołtun; jeśli można coś autorowi doradzać, to dalsze upraszczanie języka, naturalnie, nie w tym kierunku, jak w kilku miejscach wiersza *Tam jest mój dom*, czyli językowego banalu.

Jeden z wierszy Krzysztofa Kuliga przyniósł tytuł całej książce, jest to też najlepszy jego utwór w tym wyborze:

xxx

spójrz moja droga  
jak słony deszcz  
spływa po rzęsach drzew  
pogoda tylko do miłości

Nie lubię rozdawać laurów ani laurów, ale o zestawie wierszy Grzegorza J. Pelicy chciałbym powiedzieć nieco więcej i goręcej niż dotąd. Ma ten poeta cenną umiejętność mówienia lapidarnego, a równocześnie niebanalnego — artystycznie żywego. Bardzo zgrabnie wykorzystuje paradoksy, nie boi się obiegowych, wytartych zwrotów, które naberają w jego wierszach blasku i wartości:

KOŁĘDA '81

w roku tym nawet anioł  
pytał o drogę  
do batlejem  
noc straciła nadzieję  
anioły zeszyły  
na ludzi

Mam nadzieję, że źródłem nowych dobrych wierszy będzie dla tego poety ciągle świeża wrażliwość, nie zaś metoda, którą wyraźnie już posiadał:

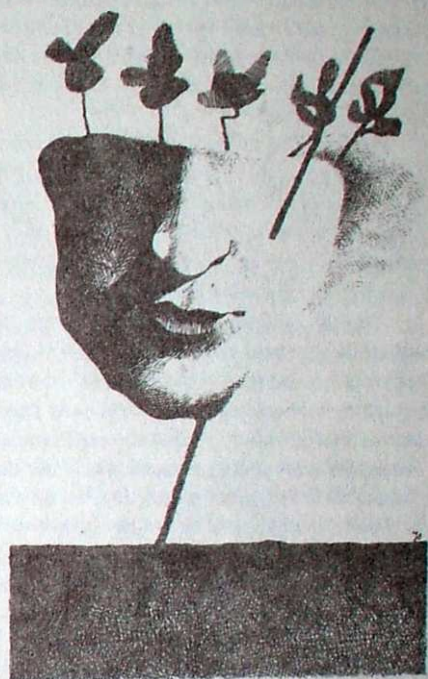
PRZEPIS

poeta musi  
naciągnąć nocą  
cierpieniem

jak dobra herbata  
żeby mógł potem

*palić i koić  
zabijać i rozkwiecać  
jedną kroplą  
słowa*

Almanach chełmskich poetów zamyka Henryk Radej, który wyrasta — jak sądzę



Grafika Jolanty Świdorskiej

— na kontynuatora tradycji, jakie to miasteczko już stworzyło: odrębności, ciepła wewnętrznego, porywania się na rzeczy większe od zwyczajnych, udanych pomysłów... Poezja Radeja jest już wypróbowana wydawniczo. Mnie podobają się jego utwory, w których kultura literacka w sposób harmonijny splata się z subtelnością dziecka muz, i one — na szczęście — dominują w jego poetyckim wyborze (np. *motyw z Pa-rysem*).

*Lustro naszych snów* ukazało się w nakładzie 1000 egzemplarzy. Mimo że jestem przeciwnikiem almanachów, mimo że zamiast tej amorficznej książki wolałbym mieć taki tomik wierszy Grzegorza Pelicy, Krzysztofa Kołtuna czy Henryka Radeja, to jednak szkoda, że tylko na taki nakład *Lustro* zdobył się Miejski Ośrodek Kultury w Chełmie.

JÓZEF FERT

*Lustro naszych snów. Almanach literacki*, Wybór i oprac. H. Radej, Warszawa 1989.—

# Odkrycie Moskala nad Bugiem

Józef Moskal nie przypuszczał, że ten jego poranny spacer nad Bugiem zaprowadzi go na stronie historii świata. Jak zwierzał się później dziennikarzom Reutersa, UPI, Agence France Presse, PAP i redaktorowi Wiesławowi H. z londyńskiego „Guardiana”, polazł nad rzekę z uporczywym nawykiem, ot tak, żeby troszeczkę poklusować na zajęczki. No i tak klusował, aż tu naszła go ochota, by spojrzeć na drugi brzeg. Patrzy, a tam nic, jeno bezkresna biel się rozciąga. Ani drzewa, ani chaty, ani nawet procesji czy manifestacji nie widać, tylko to białe aż po horyzont.

Początkowo myślał, że ich tam zawialo, ale szybko polapał się, że jak u nas śniegu nie ma, to i u nich być nie może, w końcu tkwimy razem nie tylko w RWPG i Układzie Warszawskim, ale także, przynajmniej w kawalku, w jednakiej strefie klimatycznej.

Moskal zaklinał się dziennikarzom, że nad Bugiem wypił tyle, co nic, raptem pół litra i może ze dwa tycie „wynałazki”, a poza tym oko bystre wyrobił sobie jeszcze w podziemiu. Na pytanie: w jakim podziemiu? — oznajmił, że dzisiaj wszystko już mu się miesza, ale z całą pewnością wie, że działał na przodku. Zeznanie to uwierzył odpowiednim zaświadczeniem z kopalni „Kleofas”, które zawsze nosił w karmanie, o tutaj — walnął się w serce, a echo tego grzmotu odezwalo się wkrótce m.in. na łamach „Le Figaro”, gdzie na czołówce wydrukowano, że „prawdziwy Polak to górnik, zwłaszcza Moskal”.

Popatrzył więc Moskal na drugi brzeg, wreszcie oczom uwierzył: Związek Radziecki zniknął!

Ciarki przeszły Moskalowi po grzbiecie,

bo zdal sobie sprawę, że oto los powołał go na koronnego świadka historycznego zniknięcia wielkiego mocarstwa. A u nas, wiadomo, życie świadka jest podle, wszyscy widzą w nim kłamcę i lapówkarza, jedni grożą paragrafem 1 art. 247 KK, inni obiciem twarzy w ciemnej ulicy, albo zwyczajnie w „Lotosie”.

Sprawa była jednak zbyt poważna, by ją zataić. Wyglądało przecież na to, że ktoś po prostu ukradł Związek Radziecki!

Ukrył więc Moskal zajęczki — „chudzi-ny takie, tyle, co nic” — w krzakach i biegiem na posterunek. Opowiada co i jak sierżantowi sztabowemu — „wedle dawnej nomenklatury” — sypie szczegółem obserwacyjnym, kreśli w powietrzu beskresne biele kresowych polonin czy czegoś takiego — a funkcjonariusz nic, tylko oka nie odrywa od koronowanego orla, wiszącego nad kasą pancerną z Tarnogrodu. Wreszcie daje znak życia i tak rzecze do Moskala:

— Pomylił obywatel, excuse me, pan pomylił adres. Tu jest milicja, tfuj! — policja państwa, a nie polityczna. Zniknięcie Związku Sowieckiego jest faktem politycznym i my takie sprawy olewamy, zgodnie z wolą narodu, którą wyraził Sejm i Senat.

— Ale przecież ukradli! — zaprotestował Moskal.

— To się wam tylko tak zdaje. Ruskich nie znacie?! Może zeszli do podziemia — porozumiewawczo mrugnął funkcjonariusz, wachlując się legitymacją niezależnego samorządowego związku.

„Zachciało mi się świadkować”, myślał z goryczą Moskal, opuszczając posterunek. Co jednak było robić, skoro sprawa ruszyła z prywatnego miejsca? Poszedł Moskal do

SWRz.

— Zniknął? A co to za nowina?! Myśmy dawno to przewidzieli. Zaraz, zaraz: jak się nazywacie? Moskal?! Panowie — spowiednik nieszczęsnego świadka krzyknął w głąb biura — mamy prowokatora!

Po Moskalu nie było już jednak śladu. Ciężko zdyszany, biegł ulicami miasta, aż zatrzymał się przed skromnym budynkiem USd. „Tu mnie zrozumieją”, mruknął z nadzieją.

— No tak, pojmujecie, ale, panie obywatelu, nas obecnie pociągają daleko subtelniejsze kwestie, dajmy na to: spór o uniwersalia, nowa gnoza i metaforycznie rozumiane bakalia.

Kiedy Moskal ostatecznie zwątpił i zrezygnowany włókł się do domu, niepokojąc się dodatkowo, czy ktoś nie ukradł zajęczków nad Bugiem, los kazał mu potrącić starą Janową, znaczy się sąsiadkę z bloku, wdowę po traktorzyście. No i coś go napadło — jak wyznał dziennikarzom — i ze łzami w oczach opowiedział wszystko Janowej.

— Aleśta głupi — skomentowała starszka, szczerząc garnitur państwowych zębów. — Toć trza było z miejsca do redaktora Klechty z telewizji. On takie fiki miki lubieć ogromnie, kak czornyje glaza. Piszta: to jest telefon, a to adres Jurka.

Ciąg dalszy znamy. Dodajmy tylko, że wkrótce obserwacje Moskala potwierdziły amerykańskie satelity zwiadowcze. Jakie zaś wrażenie wywarło w świecie zniknięcie Związku Radzieckiego, można było dowiedzieć się z nowelki „Odejdźcie barbarzyńców”, wydrukowanej w nr. 1/1990 tygodnika „Kraj Rad”, ukazującego się w języku polskim. Z tekstu wynikało m.in., że to odejście szczególnie mocno dopiekło Ameryce, a Polakom umożliwiło ponowne zajęcie Zaozlia. Zresztą, przeczytajmy fragmenty:

„Wszyscy zaczęli mówić coraz głośniej, że Rosjanie w jakiś niezrozumiały sposób przyczyniali się do utrzymania porządku na tym dziwnym świecie. „Skoro nie ma już Rosji — to może należałoby wymyślić ją na nowo?” — pytała w kwietniu „Liberation” swego komentatora. Wreszcie jeden z socjalistycznych ministrów nazwał Stany Zjednoczone „imperium zła”, a radykalnie nastrojona młodzież Europy zaczęła mówić otwarcie, że byłoby najlepiej, gdyby Ameryka poszła w ślady ZSRR”.

MAK

## Czesi na Wołyniu

Z *Ilustrowanego przewodnika po Wołyniu*, opracowanego przez M. Orłowicza, a wydanego w Łucku 1929 roku, dowiadujemy się, że według spisu ludności (1921) na Wołyniu, głównie w jego południowej części, mieszkało 25 200 Czechów. Na tych terenach pojawili się oni w 1868 r., nabywając ziemię z parcelacji, jaka objęła wielkie majątki. Szybko okazało się, że są znakomitymi gospodarzami, najlepszymi wśród wszystkich nacji, zamieszkujących Wołyn.

— *Kolonie czeskie* — stwierdza Orłowicz — *o dużych domach otoczonych sadami, odznaczają się czystością i zamożnością. Domy mają odrębną architekturę, są duże,*

*przeważnie murowane o sześciu izbach, połączone ze suszarniami chmielu. (...) We wsi jest zazwyczaj przyzwoita gospoda, dom ludowy, teatr ludowy, szkoła czeska, a koło wsi piękne chmielarnie. Obecnie jest na Wołyniu 35 państwowych szkół czeskich z 35 nauczycielami Czechami, a nadto w trzech szkołach państwowych polskich uczy się języka czeskiego jako przedmiotu. (...) Za największą i najlepiej zarządzaną kolonią czeską na Wołyniu uchodzi Wołkowycja, na północ od Dubna, posiadająca 5000 mieszkańców.*

(k)

# Fredrowskie „nie wypada”

Interesujący „wywiadzik” ukazał się w „Gazecie powiatu łukowskiego”, dwutygodniku ZNP. Było to dawno, w numerze z 1 czerwca 1932 roku, ale sprawa przedstawiona w owym tekście zdaje się być w istocie aktualna, co chyba wystarczająco usprawiedliwia przedruk publikacji pod fredrowskim tytułem

— Jak to się stało i dlaczego w Białej Podlaskiej?

— Rzecz przypadku, w zależności od tego, gdzie poród myśli nastąpił, z równym skutkiem mogło to się stać w każdym innym mieście podlaskim i niepodlaskim, bo o motywy w takich razach nietrudno. A dzieje się to według utartego szablonu. Oto szara godzina, zacy pocziwiec siedzi przy otwartym oknie i duma. Dym z papierosa kłębi się i fantazję unosi. Tyle krwi, tyle krwi!... I to wszystko dla Niej, dla wyśnionej, dla Jej wolności!... Więc mamy o tych cichych bohaterach zapomnieć? To byłoby niegodziwe, straszne.

A gdyby tak?... Jest myśl! Wybudujemy pomnik ku czci bohaterów Białej Podlaskiej! Zrobione.

— Ale na miłość boską, teraz, gdy świat przeżywa katastrofę, gdy wszystkie państwa bankrutują, gdy ludzie z głodu giną? Przecież granitowy pomnik, to nie więdnący kwiatek, taką rzecz można odłożyć, może ten kryzys za parę lat minie, a wtedy dopiero...

— Łatwo panu tak mówić! Taki pocziwiec czuje się ze swym projektem, jak kura z jajkiem. On zaraz musi go znieść, dzisiaj, w tej chwili, a pan mu każe czekać parę lat! Taki idealista żyje na pewno z pensyjki, a w takim razie kryzysu nie odczuwa, bo jest to cierpienie chroniczne, trapiące człowieka od urodzenia do śmierci. (...)

— Gdyby nawet i tak było, to przecież zrealizowanie projektu nie zależy od inicjatora. Przecież w Komitecie głównym figurują osoby, które zdają sobie sprawę z sytuacji gospodarczej kraju?

— Oczywiście tak! Ale są bezradne. Chodzi o to, że inicjator bierze arkusz papieru pod pachę i atakuje w pojedynkę. Myśl w zasadzie zacna, patriotyczna, podniosła, powiem nawet — święta. Jak się tutaj temu przeciwstawić? Po prostu nie wypada! Są zresztą urzędy związane z pewną taktyką, której pominąć nie wolno. Chcą np. stawiać pomnik żołnierzowi na Podlasiu i jakże tutaj biskup podlaski ma ostudzić zapał i entuzjazm? (...)

— Tedy biedna Biała Podlaska będzie miała w tym kryzysie ciężki orzech do zgryzienia...

— Dlaczegoż to jedna Biała Podlaska? Albo jest roznych, albo go nie ma! Komitet główny w Białej Podlaskiej postanowił zwrócić się o pomoc do wszystkich miast

podlaskich. Zwrócono się o to i do Łukowa.

— Tak przecież nie można! W takim razie musi się zebrać i wypowiedzieć w tej sprawie miejscowa inteligencja.

— Nie ma inteligencji!

— Jak to?

— Właściwie jest, rozproszkowana, natomiast nie istnieje jako zbiorowe ciało. Jest tu u nas utopijny fantasta, który od kilku lat dosiada takiego konika, ale nikt tego poważnie do serca nie przyjmuje. A ponieważ nie ma u nas zorganizowanej siły, od której zależałaby decyzja w takich sprawach, więc był już w Łukowie delegat z Białej, złożył wizytę staroście, pozbił nazwiska miejscowych działaczy i lada dzień będziemy mieli zebranie organizacyjne komitetu lokalnego budowy pomnika w Białej Podlaskiej. W skrócie brzmi to KLPBP. Prawda, że dźwięczne?

— I jak sobie komitet główny wyobraża pomoc Łukowa?

— Jak wszystkich miast podlaskich. To znaczy z rozmachem. A więc — koncerty, przedstawienia, nalepki, kwiatki, a na zakończenie „tydzień” zbiórki.

— Przecież w ten sposób do ofiarności publicznej można się odwoływać tylko w sprawach ogólnonarodowych (Czerwony Krzyż, LOPP, Flota Narodowa, Macierz Szkolna etc.), ale nigdy w sprawie lokalnej sąsiedzkiego miasta. Co my chcemy robić, zlitujcie się ludzie!

— Nie szkodzi!

— A czy nie pomógłby taki argument, że Łuków wybudował pomnik powstańcom własnym sumptem i nie zwracał się o pomoc do Białej Podlaskiej?

— Fe! to nie byłoby po polsku. My przecież nie Żydzi, ani Niemcy. Nie wypada!

## Listy do redakcji

## Wspomnienia z Chełma

Przypadkowo wpadła mi w ręce „Kamena”, pierwszy numer po wieloletniej przerwie. Obudziła wspomnienia i chandrę, dlatego napisałem, w ogromnym streszczeniu, te wspomnienia. (...)

Dzieciństwo i młodość spędziłem w Chełmie. Uczyłem się na Reformackiej, a Kazimierz Andrzej Jaworski był moim profesorem. Zdaje się, że wtedy uzupełniał swoje wykształcenie. Zenon Waśniewski uczył nas rysunków; był to mądry, dobry, wyrozumiały, tolerancyjny człowiek. Lubiliśmy go, nazywali „Perspektywą”. Późniejszy literat, Jan Szczawiej, był kolegą o dwa lata starszym, a Witold Kasperski uczył się na tym samym roku.

Pamiętam przewrót majowy. Na stacji kolejowej stał pociąg z załadowanym 7 p.p. legionów. Jego dowódca, pułkownik Prus Władysław, po otrzymaniu dwóch sprzecznych rozkazów zastrzelił się. Słyszałem ten strzał w pokoju zawiadowcy stacji, stałem kilka kroków od okna. Taki młodzieniec w tych czasach był wszędobyłski. Widziałem, jak podpułkownik — wysoki blondyn, nazwiska nie pamiętam — wyszedł z tego pokoju; miał szablę na rapciach, podniósł ją do lewego łokcia i jeszcze w drodze do pociągu dał rozkaz wyjazdu do Warszawy, na rozkaz Józefa Piłsudskiego.

Pamiętam też powrót zwycięskiej wojska. Był zachód

— Więc może uratuje nas niezbity fakt, że Łuków do Podlasia nie należy i nigdy nie należał?

— Takie dociekania historyczne nie byłoby również w duchu polskim. Nie wypada!

— Więc nie ma sposobu zaradzenia?

— Żadnego! Ludzie powołani na chybił trafił zbiorą się w odpowiednim nastroju. Rozmowa o niczem lub milczenie. Dzwonek. Starosta zagaja posiedzenie. Podkreśla wzniosły cel i proponuje za przewodniczącego p. X, na asesorów pp. Z. i Y. oraz na sekretarza p. A. Ciężka powaga zaczyna się unosić w powietrzu. Sekretarz odczytuje punkty porządku dziennego. Klamka zapadła. Amen.

— W takim razie ja nie wytrzymam. Jeśli mnie nie zaproszą na zebranie, to sam się wkręcę i zawołam: w kwestii formalnej! Ludzie, Co wy chcecie czynić? Z głodu umierają, a wy chcecie stawiać granitowe pomniki? Mamy setki nie zaspokojonych potrzeb, „Ogniwo” zadłużone bokami robi w przedśmiernej śpiączce, szpital ś-go Tadeusza jest już niewypłacalnym bankrutem, dyszącym w agonii na rękę Sióstr Miłosierdzia, a my znowu będziemy urządzać „tygodnie”, kwestę, kwiatki, nalepki! Malo tego było już w tym roku? (...) Przeto stawiam wniosek: zebrani zwracają się do Głównego Komitetu Pomnika w Białej Podlaskiej z prośbą o odłożenie projektu do czasu pomyślniejszego, w przeżywanej zaś dobie udziału w tej akcji wziąć nie mogą.

— Wie pan, że to byłoby dobre i ostudziłoby do pewnego stopnia entuzjastyczny zapał inicjatorów. W tem jednak sęk, że to przecież — nie wypada!

...ski.

słońca, orkiestra w jadącym pociągu grała „Pierwszą Brygadę”. Ludność zorganizowała manifestację i gdzieś na Lubelskiej, koło cukierni Króla, zauważyłem, że idę w jednej czwórce z Jaworskim. Spiewaliśmy piosenki legionowe. Nie było między nim a mną różnicy. Obaj śpiewaliśmy głośno, idąc na Górkę.

Zresztą Jaworski był socjalistą. Na 1 Maja do szkoły przychodził z czerwoną wstążeczką.

Gdyby wyszedł drugi numer „Kamena”, to chciałbym go dostać. Warunków prenumeraty nie znam, ale trudno je ustalić, jeśli prawie codziennie pieniądze tracą na wartości. (...)

PAWEŁ LEWKOWICZ  
Reda

Od redakcji: Z obszernej korespondencji p. Pawła Lewkowicza wybraliśmy do druku fragment związany z historią Chełma i z ludźmi (Jaworski, Waśniewski), którzy później powołali do życia „Kamena”. Przy okazji informujemy, że właśnie z powodów wspomnianych przez p. Lewkowicza pismo nasze dostępne jest wyłącznie w kioskach i innych podobnych punktach sprzedaży prasy, a ponadto w lokalu redakcji.

## Cmentarz w Olyce

Upzejmie proszę o podanie mi więcej danych w sprawie cmentarza w Olyce. Pisałem w tej sprawie do telewizyjnej „Panoramy dnia”, która poinformowała mnie, że należy się zwrócić właśnie do Państwa. Zależy mi na tym, ponieważ na cmentarzu w Olyce spoczywa mój ś.p. Ojciec. (...) Byłem w Olyce kilka lat temu, chodziłem po miejscu, gdzie kiedyś był cmentarz, ale grób ojca trudno było odnaleźć. To nie cmentarz — to kawał „odlogu”. Trudno jest uwierzyć, aby cmentarz, gdzie spoczywają nasi ojcowie, można było doprowadzić do takiego stanu. Nie chcę pisać o stanie kościoła w Olyce.

TADEUSZ KAMIŃSKI  
Toruń

Od redakcji: Otrzymałszy kilka listów o podobnej treści, więc z tym większym smutkiem oznajmiamy, że tymczasem nie możemy służyć stosowną informacją, rozwijającą drukowany w „Kamieniu” apel Wołyńskiego Towarzystwa „Lewa”. Mamy jednak nadzieję, że wkrótce otrzymamy obszerniejszy tekst o Olyce, zaproponowany swego czasu przez ukraińskich autorów i z góry przewidziany do druku przez redakcję.

## W sprawie białoruskiego

Z wielkim zainteresowaniem sięgnąłem po odświętowany pierwszy numer chełmskiej „Kamieni”. To cieszy, że pismo znów żyje i że znowu zamierza prezentować wartości słowiańskie, które jakby ustępowały obecnie w cień wobec ponownego wzrostu znaczenia i roli dziejowej w Europie naszych zachodnich sąsiadów, Germanów. „Kamena” ma w tym zakresie wielkie tradycje przedwojenne i z pewnością spóżytku je w kształtowaniu nowego oblicza pisma. Jej założyciel i były redaktor, Kazimierz Andrzej Jaworski, od wielu już lat skupia na sobie uwagę dociekliwych badaczy Słowiańszczyzny. Wyrazem zainteresowania dorobkiem niestrudzonego propagatora literatury wschodniosłowiańskich, jakim był K.A. Jaworski, są dwa tomy studiów naukowych serii wydawniczej „Studia polono—slavica—orientalia. Acta litteraria”, przygotowanych w Pracowni Literatur

Wschodniosłowiańskich Instytutu Słowianoznawstwa Polskiej Akademii Nauk pod redakcją prof. Bazylego Białozowicza. Przy czym w tomie ósmym (Wrocław 1984) Javorszciana stanowią zasadniczą część edycji, natomiast w następnym, dziewiątym (Wrocław 1985), obejmują jego koneksje z literaturą i kulturą Białorusi.

Życząc redakcji „Kamieni” sukcesów w tak szczytnej misji, pragnąłbym zwrócić uwagę na niektóre nieścisłości w publikacjach w nr. 1 z ub. roku, skądinąd ciekawych. W „Notatniku słowiańskim” Mieczysława Buczyńskiego do takich należy stwierdzenie, iż literacki język białoruski ukształtował się dopiero po Rewolucji Październikowej. Jest to poważna nieścisłość. Wiadomo przecież, iż już w XVI w. w języku starobiałoruskim ukazywały się słynne na całą Europę „Statuty Litewskie” („Statut” I w 1529 r., II w 1566 r., III — w 1588 r.). Niedawno na Białorusi wznowiono jubileuszową edycję „Statutu Wielkiego Księstwa Litewskiego” z 1588 r. (Mińsk 1989). Jeśli zaś chodzi o nowoczesny białoruski język literacki, to kształtował się on poczynając już od XVII w. Jednym z zabytków w tym języku jest „Pieśń białoruskich żańberau 1794 hoda” walczących o boku Tadeusza Kościuszki. Pomimo że pierwsza gramatyka białoruska opracowana przez Bronisława Taraszkiewicza pojawiła się dopiero w 1918 r. pod okupacją niemiecką w Wilnie, bez żadnej przesady można powiedzieć, iż język literacki narodu białoruskiego ukształtowany został głównie w twórczości Franciszka Bahuszewicza, Janki Kupaly, Jakuba Kolasa, Maksima Bahdanowicza, Zmitroka Biaduli czy Alesia Haruna (pomiędzy już tu znakomitego prozaika Maksima Hareckiego) na przestrzeni XIX — początku XX w., zdecydowanie jednakże przed wybuchem Rewolucji Październikowej. W wielce ciekawym tekście Michała Sajewicza „Język to krew narodu” prawidłowa pisownia pseudonimu literackiego znakomitego prozaika Antona Lawickiego (1869—1922) powinna brzmieć Jadwihin Sz. (zgodnie z transkrypcją) lub Sza (zgodnie z wymową w języku białoruskim), a nie Sz. Jadwihin. Uważam też, iż rola Polaków w kształtowaniu języka literackiego Białorusinów jest nieco przesadzona. Można tu mówić o relacjach odwrotnych, roli Białorusinów w kształtowaniu polskiego języka literackiego. Zwalazca, jeśli się zwazy, że Jan Czeczot był jednym z pierwszych poetów białoruskich w XIX w., Adam Mickiewicz zaś był jego przyjacielem, znał i cenil język białoruski, a jego ulubioną

piosenką była białoruska pieśń „Oj leciała ciacięra dy cieras dwor...”

Z poważaniem

JERZY TRACZUK  
Warszawa

Dla autora publikacji prasowej każdy głos polemiczny jest szczególnie cenny, świadczy bowiem nie tylko o tym, iż czytelnik zwrócił uwagę na jego artykuł i go przeczytał, ale też o fakcie, że sam problem nie został ukazany całkowicie jasno i wymaga dodatkowego oświetlenia. Z całą pewnością dotyczy to terminu „język literacki”, który w literaturze naukowej występuje conajmniej w dwu znaczeniach. Najczęściej przez język literacki rozumie się wykształconą, opierającą się na tradycji pisanej, formę języka ogólnego, używaną na całym obszarze danego języka i we wszystkich dziedzinach życia kulturalnego narodu. W odniesieniu do języków dawnych termin ten oznacza tyle, co: język posiadający jakieś piśmiennictwo, język pisany, obsługujący administrację państwową, naukę, religię itp. Pan Jerzy Traczuk używa w polemice tego terminu w znaczeniu drugim, wiadomo bowiem że w języku białoruskim powstawały dzieła literackie już od XVI wieku. Nie obsługiwał on jednak całości życia kulturalnego, w XIX wieku władze carskie uznały nawet ten język, podobnie zresztą jak ukraiński i polski, za dialekt języka rosyjskiego. W ówczesnych pracach językoznawczych używano wówczas terminu „narręczka białoruskie”. Ja użyłem terminu „białoruski język literacki” w znaczeniu pierwszym, zatem tak rozumiany ukształtował się on dopiero po Rewolucji Październikowej, gdyż dopiero wówczas mógł wejść do całego życia kulturalnego Białorusinów. Stwierdzenie moje nie uwłacza w niczym godności narodowej Białorusinów, których język jest tak samo stary jak rosyjski i ukraiński, gdyż wszystkie one powstały w XIII — XIV wieku z języka staroruskiego.

MIECZYSLAW BUCZYŃSKI

Od redakcji: Pozwalamy sobie zauważyć, że poważny wpływ języka polskiego na białoruski to jednak fakt oczywisty, natomiast poruszona przez p. Traczuka — dziękujemy za życzenia sukcesów — kwestia „roli Białorusinów w kształtowaniu polskiego języka literackiego” jest o tyle intrygująca, iż w polszczyźnie, jak stwierdzają językoznawcy, nie ma zapożyczeń leksykalnych z białoruskiego.

## Kronika wschodnia

\* W styczniu 1990 roku na Międzynarodowym Festiwalu Młodego Teatru w Moskwie wystąpił zespół Sceny Plastycznej KUL z widowiskiem Leszka Mądzika „Zielnik”. Był to pierwszy wyjazd w historii tego teatru do ZSRR. Przedstawieniem towarzyszyła ekspozycja fotogramów dokumentujących działalność lubelskiego teatru.

\* Na początku 1990 roku grekokatolicy mieli na Ukrainie 600 kościołów, zarejestrowanych było 700 parafii, a 350 duchownych prawosławnych przeszło do Ukraińskiego Kościoła Katolickiego.

\* W Białkopodlaskiem pustoszeją wioski opuszczone przez młodzież. W wielu miejscowościach dożywają swoich lat tylko ludzie starsi. Z każdym rokiem przybywa gruntów, które nie mają użytkowników. Państwowy Fundusz Ziemi liczy już 22 tys. ha, ponad 800 ha to odlogi. Jednocześnie plony w pasie nadbużańskim należą do najniż-

szych w kraju.

\* Warszawska oficyna wydawnicza „Maraton” wydała książkę Mariana Zdziechowskiego „Tragedia Kresów”. Artykuły zawarte w publikacji pochodzą z książki „Widmo przyszłości”, opublikowanej w Wilnie w roku 1939.

\* W dniach 26-28 stycznia odbył się w Chełmie V Turniej Recytatorów i Teatrów Małych Form „Źródło”, inspirowany twórczością plebejską. Wśród recytatorów dwie równorzędne nagrody pierwsze otrzymali: Magdalena Zajchowska z Warszawy i Jarosław Zoń, student KUL. W kategorii poezji śpiewanej główną nagrodę przyznano Adriannie Gostkowskiej z Mławy, zaś w kategorii teatrów nagrodzony został zespół obywatelski z Wyrk, woj. chełmskie. Oprócz mecenasa państwowego wśród sponsorów imprezy znaleźli się także prywatni przedsiębiorcy i rzemieślnicy chełmscy.

\* W ślad za telewizją, która w ubiegłym roku rozpoczęła nadawanie programów religijnych, radio litewskie wprowadziło w styczniu br. na antenę audycję „Kultura i religia”. Na Litwie przystąpiono ponadto do wydawania pism wyznaniowych. Ukazuje się „Świat katolicki”, a w br. swoją gazetę zaczął wydawać także prawosławni.

\* W muzeum Historii Fotografii w Krakowie w styczniu tłumnie odwiedzano wystawę: „Lwów — stolica Galicji — z albumu dziadusia” oraz „Lwów II Rzeczypospolitej”. Ekspozycja powstała dzięki kolekcjom prywatnym i wielu tysiącom depozytów.

\* Pierwszy raz w Polsce powojennej można było obejrzeć „wileńskie” fotografie Jana Bulhaka. Wystawa czynna była w Ludzkim Muzeum Sztuki w lutym i marcu br. Przez 45 lat zdjęcia te oglądali jedynie pracownicy archiwów i posiadacze albumów autora wydanych przed wojną. Bulhak, zwany



ojcem polskiej fotografii, był założycielem i prezesem Fotoklubu Polskiego, wydał książkę „Estetyka światła”, wykladał fotografię na Uniwersytecie im. Stefana Batorego.

\* Płyty z piosenkami Anny German należą do najchętniej nabywanych w mińskim sklepie „Muzyka”. Nie mniejsze zainteresowanie towarzyszyło wizycie w stolicy Białorusi matki artystki — zaproszonej przez biografkę piosenkarki, Walentynę Sierych.

\* Co tydzień lwowska księgarnia „Drużba” sprzedaje około 3-4 tysięcy książek w języku polskim. W tej liczbie znajdują się: beletrystyka, literatura naukowa i dziecięca oraz albumy.

\* W dalszym ciągu przed lwowskim „Uniwersmagiem” już za 200 rubli można kupić miejsce na Cmentarzu Łyczakowskim. Oczywiście sprzedają je Polacy. Wystarczy, że któryś z nich odnajdzie „swoją rodzinną grobowiec” i złoży na piśmie stosowne oświadczenie. Nabywców jest wielu. Robotnicy szybko usuwają zawartość grobu, zaś maszyna wygładza płytę grobowca i nanosi nowy napis cyrylicą.

\* Zbliża się 150 rocznica istnienia Twierdzy Brzeskiej, która w połączeniu z wzniesionymi później pomnikami żołnierskiego dramatu i sławy nosi nazwę Twierdzy-Bohatera, będąc dumą nie tylko Białorusi, ale całego Związku Radzieckiego. Program wycieczek przybywających do Brześcia obejmuje zwiedzenie tego kompleksu. Przemilczenie obecności w twierdzy żołnierzy polskich i ich krawych zmagających z hitlerowcami we wrześniu 1939 należało do rejestru „białych plam”. Dopiero teraz pojawiają się w radzieckiej prasie pierwsze wzmianki na ten temat.

\* Od 15 stycznia do 15 lutego br. członkowie Fotoklubu Ziemi Chełmskiej prezentowali swoje fotografie na wystawie „Chełm w fotografii” eksponowane w Wolewódzkim Domu Kultury.

\* Nasz imiennik, chełmski hotel „Kamena”, w lutym br. był o krok od upadłości finansowej. Jeszcze w grudniu ub. roku za pokój jednoosobowy płacono tylko 10 tys. zł., zaś w styczniu br. — 40 tys. Mimo to czarna przyszłość rysuje się przed hotelem. Na zyski może liczyć tylko przy wykorzystaniu wszystkich pokoi, tymczasem maksymalne obłożenie roczne „Kameny” wynosi 60 proc.

\* Zamojski oddział Nauczycielskiego Klubu Literackiego im. J. Czechowicza na początku lutego wydał serię 5 arkuszy poetyckich swoich członków. Są to: Marii Dulańskiej „Otwarcie dłoni”, Rajmunda E. Dulańskiego „Stan skupienia”, Piotra Linka „... na biegunach”, Józefa A. Misiury „Ściemnia się na drogach” i Antoniego W. Różańskiego „Uliczne psalmy”. Wyboru dokonał i recenzję przygotował Marian J. Kawalok, wiersze grafikami przyozdobił Alfred Przybysz, a całość przedsięwzięcia sfinansowało kilka zamojskich instytucji kulturalno-oświatowych

. Autorskie spotkania promocyjne odbyły się w sali koncertowej muzeum i klubie nauczyciela. Z tej okazji rozstrzygnięto Konkurs Poezji Metafizycznej. Pierwszej nagrody nie przyznano, drugą otrzymał Józef A. Misiura.

\* Chełmski KMPIK w lutym swoje sale zamienił w giełdę dywanów importowanych. Przedsiębiorca spółka handlowa przez dwa tygodnie zachęcała do obejrzenia i kupna wzorzystych towarów. Niezadowolone z tego miejskie władze kulturalne uspokojono argumentem upowszechniania sztuki użytkowej i dobrej reklamy dla placówki. Niewątpliwie większość kupujących była tu po raz pierwszy pomimo kilku lat istnienia KMPIK.

\* 10 lutego w Białymstoku powstało Białoruskie Zjednoczenie Demokratyczne — pierwsza w powojennej Polsce partia mniejszości narodowej. Partia nie identyfikuje się z żadnym ruchem politycznym. Stawia sobie za cel obronę i umocnienie białoruskiej tożsamości narodowej, religijnej i kulturowej. Jej przewodniczącym został 54-letni pisarz Sokrat Janowicz, który z tej okazji powiedział: „Istniejemy dzięki polskiemu szowiniście, któremu powinniśmy wystawić pomnik. Gdyby nie on, już dawno byśmy się zasymilowali i nie byłoby problemu białoruskiego w Polsce”.

\* Zakończono prace przygotowawcze do utworzenia Poleskiego Parku Narodowego. Status ten otrzyma obszar około 5 tys. ha, leżących w większości w północnej części woj. chełmskiego. Odpowiednia decyzja Rady Ministrów zapadnie prawdopodobnie w maju.

\* 28 lutego na zaproszenie naszej redakcji i Miejskiego Ośrodka Kultury przebywał w Chełmie Edwin Sugarew, bułgarski historyk, krytyk literacki i poeta. (Notę biograficzną publikujemy pod jego tekstem „Aby słowo stało się czynem”).

\* „Rzeczpospolita” z dnia 8 marca drukuje obszerną rozmowę korespondentów PAP w Moskwie z Ryszardem Kapuścińskim, który obserwując wydarzenia w ZSRR zbiera materiał do kolejnych reportaży. Zapytany o wrażenia z Ukrainy odpowiedział: „Kiedy mówimy o Ukrainie musimy pamiętać też o strasznej tragedii tego narodu. Raz, że jest to naród, który ponad 300 lat nie miał swojej własnej państwowości. Ponad 300 lat podlegał procesom „obcokulturowym”, których celem było zlikwidowanie wszystkiego co ukraińskie. Procesowi rusyfikacji, procesowi niszczenia ich własnej cerkwi. Jest to naród, który przeżył wielką tragedię-holocaustu, głodu lat 1932-33. Przyniósł on miliony ofiar. Opowieści o tym są wciąż żywe. Jest to naród, który nie może się z tego podźwignąć.

Dalej, jest to naród, który przeżył straszną wojnę domową lat 1944-47, a której pamięć także jest wciąż żywa. Jest to wreszcie naród, który przeżył Czarnobyl. Skutki tej katastrofy odczuwalne są do dziś. Ukraińcy

na każdym kroku przypominają dlatego, że większość elektrowni atomowych w ZSRR została wybudowana na Ukrainie. Tam też zlokalizowano ten ogromny przestarzały przemysł, zwłaszcza hutniczy. Jest to więc republika ekologicznie zdewastowana. O tym też trzeba pamiętać mówiąc o Ukrainie”.

\* 10 marca Rada Najwyższa Litwy ogłosiła deklarację niepodległości. Przywrócono narodowe barwy i hymn państwowy, zmieniono nazwę na Republika Litewska. Nowym przewodniczącym parlamentu został wybrany przewodniczący „Sajudisu” — Vytautas Landsbergis. Rząd moskiewski nazwał ten fakt jako niepokojący i grożący poważnymi konsekwencjami dla całego Związku Radzieckiego. Rzecznik radzieckiego MSZ ostrzegł, że uznanie Republiki Litewskiej przez inne państwa, ZSRR uzna za ingerencję w swoje wewnętrzne sprawy. Czołowe państwa zachodnie uznają prawo Litwinów do niepodległości, ale wstrzymują się z formalnym uznaniem litewskiej państwowości. Podobnie rząd polski udzielił Litwie moralnego wsparcia w dążeniu do wolności i suwerenności. Lech Wałęsa wyraził też nadzieję, że wolna Litwa zagwarantuje prawa mniejszości polskiej. V. Landsbergis w wywiadach udzielanych polskiemu radiu i telewizji posługuje się płynną polszczyzną.

\* W połowie marca pojawił się w kioskach „Ilustrowany Kurier Codzienny” w wydaniu specjalnym w całości poświęcony miastu Lwów. Redakcja i administracja „IKC-a” mieści się w Krakowie, a także ...w Nowym Jorku i Newington Ct.. Numer wypełniają zdjęcia archiwalne, stosowne do nich teksty i wywiady z ludźmi, dla których Lwów był i jest treścią życia.

\* W ostatnich dniach marca ukazał się potrójny numer gdańskiego „Autografu” (6 — 7 — 8/89) będący wszechstronną monografią Wilna i Wileńszczyzny. Obok autorów polskich swoje wiersze i artykuły publikują w nim Polacy mieszkający na Litwie. Atrakcją wydawniczą jest kolorowy plan miasta opracowany przez Stanisława Januszewicza w 1933 roku.

(hr)

# Regionalny słownik biograficzny

**Feliks Hilary Araszkiwicz (1895 — 1966)**, historyk literatury, krytyk literacki, pedagog i działacz kultury, urodził się 14 stycznia w Zamolodyczach (obecnie gm. Stary Brus). Jego rodzicami byli Rudolf Wojciech i Maria Irena, mieszkający w tej samej wsi, gdzie znajdowała się też siedziba urzędu gminy Turna, którego sekretarzem był senior Araszkiwicz. Kiedy Feliks miał lat sześć, rodzina przeniosła się na teren powiatu garwolińskiego. Tam chłopaka oddano do szkoły początkowej w Żelechowie. W 1905 r. będąc już uczniem gimnazjum radomskiego, wziął udział w strajku szkolnym. Ojciec w tym samym czasie także nie pozostawał obojętny podczas ruchów rewolucyjnych i włączył się do działalności narodowej, co pociągało za sobą jego uwięzienie i utratę możliwości dalszej pracy w administracji państwowej. Po opuszczeniu aresztu przeniósł się wraz z rodziną do Różanki (gmina Włodawa), gdzie objął obowiązki kasjera w dobrach Andrzeja hr. Zamoyskiego.

Feliks podjął naukę w gimnazjum w Białej Podlaskiej. Po upływie czterech lat przeniesiony został do „Szkoły Lubelskiej”, gdzie w 1913 r. otrzymał maturę. W tymże roku rozpoczął studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wybuch pierwszej wojny światowej zmusił go do kontynuowania nauki na Uniwersytecie Moskiewskim, gdzie studiował do 1918 r. slawistykę i historię. Tam też podjął działalność w polskim ruchu niepodległościowym jako członek POW i organizacji Zet.

Po powrocie do kraju w 1918 r. osiadł w Lublinie i zajął się nauczaniem w szkołach średnich. W 1924 r., po obronie pracy o Bolesławie Prusie, otrzymał dyplom doktora nauk filozoficznych. W roku następnym odbył podróż naukową po Włoszech. Po jedenaście lat pracy pedagogicznej powołany został na stanowisko naczelnika wydziału w kuratorium okręgu szkolnego, a później mianowany wizytatorem.

Poza pracą zawodową stale zajmował się działalnością naukowo-badawczą i społeczną. W 1931 r. został członkiem Związku Literatów Polskich. Redagował periodyki naukowe: „Region Lubelski” i „Pamiętnik Lubelski”, publikował liczne własne artykuły i opracowania naukowe, których zbiór wydany został pt. „Refleksy Literackie” (1934).

Okupację Araszkiwicz spędził w Ludwikowie koło Lubartowa, uczestnicząc w tajnym nauczaniu. W 1946 r. objął wykłady zleczone na KUL, w roku następnym był habilitowany, w 1956 uzyskał tytuł docenta, a w 1960 mianowany profesorem nadzwyczajnym. W latach 1949—1965 prowadził katedrę historii literatury polskiej KUL. Był członkiem szeregu towarzystw naukowych, prezesem Lubelskiego Związku Pracy Kul-

turalnej (1934—37) i Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza (1949—56). W swych badaniach naukowych koncentrował się na literaturze pozytywizmu polskiego, a w szczególności na twórczości Bolesława Prusa. Pozostawił po sobie bogaty dorobek naukowy. Z ważniejszych jego dzieł wymienić należy: „Pozytywizm polski” (1946), „Bolesław Prus i jego ideały życiowe” (1925), „Bolesław Prus. Filozofia, kultura, zagadnienia społeczne” (1948) oraz „Dzieła i twórcy” (1957).

W 1965 r. odszedł na emeryturę, a już rok później, 30 maja 1966 r., zakończył życie. Był wielokrotnie wyróżniany nagrodami i odznaczeniami za pracę naukową i społeczną. W 1935 r. otrzymał Srebrny Laur Akademii Literatury Polskiej, a w 1932 r. Medal Niepodległości, wcześniej natomiast Krzyż POW i odznakę „Za Walkę o Szkołę Polską”. Posiadał Złoty Krzyż Zasługi i Krzyż Orderu Odrodzenia Polski.

**Stanisław Bojarczuk (1869—1956)**, syn Aleksandra i Agaty, urodził się 5 kwietnia we wsi Przedmieście Krakowskie (obecnie w obrębie Krasnegostawu), poeta ludowy, twórca sonetów i erotyków. Wyrósł w biednej chłopskiej rodzinie i do końca swych dni żył w niedostatku i harówce. Ukończył zaledwie dwie klasy rosyjskiej szkoły początkowej, w której nauka odbywała się tylko w ciągu miesięcy zimowych. Ta, więcej niż skromna, edukacja zdołała jednak pobudzić w umyśle niezwykle uzdolnionego chłopca pragnienie zdobycia wiedzy, pęd do nauki. Jego przysłowiowy chłopski upór i pracowitość sprawiły, że drogę samokształcenia opanował zadziwiająco szeroki zasób wiadomości z różnorodnych dziedzin wiedzy.

Mimo ustawicznej ciężkiej pracy na swym karłowatym gospodarstwie rolnym, mimo stalej troski o zapewnienie chleba licznej rodzinie, znajdował czas i siły, by oddawać się lekturze książek i prasy, zdobywanych ze wszelkich możliwych źródeł — od księdza, nauczycieli, we dworze. Rozczytywał się w dziełach Sienkiewicza i Orzeszkowej, a przede wszystkim upodobał sobie powieści Prusa. Pochłaniał poezje Syrokomli, Tetmajera i Mickiewicza, a za wzór do naśladowania obrał Petrarę. Na pamięć znał „Pana Tadeusza”, a „Sonety krymskie” recytował jak pacierz. Opanował znajomość historii, literatury, filozofii, a także geografii i astronomii. Poznał mitologię grecką i zdobył znajomość języka esperanto; jego zainteresowania były wszechstronne.

Już w latach młodzieńczych zdradzał uzdolnienia literackie i wówczas też postanowił zostać poetą. Miał przy tym ambicje, by jego poezja nie była prymitywną, by

niczym nie różniła się od tej książkowej, którą poznał ze swych lektur.

W wieku 22 lat zawarł związek małżeński, a w dwa lata potem przeniósł się na stałe do sąsiedniej wsi Rońsko (1893), gdzie też pozostał do końca swych dni i gdzie dochował się sześciu synów. Za czasów kawalerskich grywał na bassetli, obsługując wiejskie wesela i zabawy, jako że natura nie poskąpiła mu i talentów muzycznych. Był uczulony na melodię, na dźwięki, co znalazło również odbicie w jego twórczości literackiej. Okresem najbardziej wydajnej pracy twórczej były lata 1918—1927. W środowisku wiejskim uznaniem nie cieszył się, uważany był za dziwaka, nazywano go lekceważąco „wierszokletą”, no bo przecież pisarstwo jego nie przynosiło żadnej korzyści gospodarstwu, nie dawało profitu, a więc w przekonaniu współziomków było nic warte. On tymczasem, zamknięty w sobie, żył w duchowym odosobnieniu, nie rozumiany nawet przez najbliższych; bez reszty oddawał się swej życiowej pasji, którą była poezja. Jego twórczość obok głębokiego liryzmu zawiera silny ładunek radykalizmu społecznego, buntu i goryczy wobec biedy, z którą musiał borykać się na codzień przez całe długie i niełatwe swe życie.

Srofy jego poezji znamionuje świeżość, barwność i szczerść z jednoczesnym bogactwem barw i dźwięków, zapożyczonych z okolicznych pól, łąk i lasów. Poezja ta ujęta jest w formie ogólnie obowiązujących reguł poetyckich, przy użyciu poprawnego, literackiego języka. Tylko czasem, dla zaakcentowania kolorytu lokalnego, sporadycznie używał wyrażen gwarowych i zdrobnień, tak charakterystycznych dla wsi. Przykładem tego może być cykl sonetów zatytułowany „Ongiś w Rońsku wesele”. Tworzone przez niego, wprawdzie dość nieliczne, erotyki tchną szczerym uczuciem, przechodzącym nieraz w namiętną zmysłowość.

Nie mając nadziei, że twórczość jego spotka się z rozgłosem i uznaniem, z radością przyjął, już niemal na łożu śmierci, wydany w 1956 r. tomik swojej poezji „Blaski i dźwięki”. Żalował tylko trzeba, że z dorobku literackiego poety, liczącego ponad tysiąc sonetów, zawiera on ich zaledwie 300. Reszta czeka na swego wydawcę. W roku zgonu, lubelski oddział Związku Literatów Polskich przyjął go w swe szereg.

Stanisław Bojarczuk zmarł 31 grudnia 1956 r. i pochowany został na cmentarzu krasnostawskim.

KONSTANTY PROŻOGO

### 3. MIĘDZYNARODOWE TRIENNALE SZTUKI „PRZECIW WOJNIE” (fragment regulaminu)

Organizatorzy imprezy pozostawiają uczestnikom pełną swobodę wypowiedzi artystycznej, spodziewając się takich przeciw grafik i rysunków, które byłyby autentycznym świadectwem autorskiej niezgody na wojnę, przemoc, nienawiść między ludźmi, które byłyby twórczym opowiadaniem się po stronie godnego życia i przyjacielskiej wspólnoty narodów, więc wartości ciągle zagrożonych we współczesnym świecie, pełnym egzystencjalnego niepokoju i chaosu w sferze norm moralnych. Dzieła Triennale eksponowane będą w miejscu tragicznym: w jednym z baraków byłego obozu koncentracyjnego, który jesienią 1941 roku na 270 hektarach wschodniej dzielnicy Lublina Majdanek założyli hitlerowcy, by uśmiercić tam później 360 tysięcy ludzi — dorosłych i dzieci z kilkudziesięciu krajów świata.

Wystawa czynna będzie od wiosny do jesieni 1991 roku. Mogą w niej uczestniczyć polscy artyści plastycy oraz twórcy z innych krajów, którzy do 1 września 1990 roku nadesłają swoje prace graficzne i rysunkowe pod adresem: Państwowe Muzeum na Majdanku, ul. Droga Męczenników Majdanka 67, 20—325 Lublin, Polska (nr tel. muzeum: 426—47). Polscy uczestnicy Triennale mogą przekazywać prace do właściwych biur wystaw artystycznych lub przesłać je bezpośrednio do Muzeum, natomiast zagraniczni — według swego uznania, np. za pośrednictwem stosownych instytucji lub indywidualnie. Koszt przesyłki prac do

Lublina pokrywa nadawca, natomiast koszt zwrotu prac, po zamknięciu wystawy — Komitet Organizacyjny. Każdy autor może nadesłać do 3 grafik i do 3 rysunków (wyklucza się plakaty), które powstały w latach 1988—1990. Prosi się o unikanie nadmiernych rozmiarów prac. Do przesyłki z dziełami należy dołączyć „kartę zgłoszenia”, a na odwrocie każdej pracy należy nalepić jej „metrykę”. Dokumenty te, których wzory znajdują się w pełnym regulaminie Triennale, dostępnym m.in. w Muzeum, należy wypełnić posługując się jednym z następujących języków: polskim, angielskim, francuskim, niemieckim, rosyjskim. Autor, który zamierza ofiarować swe dzieło do zasobnych już zbiorów sztuki Muzeum na Majdanku, winien dołączyć odpowiednią deklarację. Kwalifikacji prac na wystawę dokona międzynarodowe jury, we wrześniu 1990 roku. Przyznane zostanie osiem nagród pieniężnych, w tym Grand Prix. Przewiduje się zakupy prac do zbiorów Muzeum. Każdy z uczestników Triennale otrzyma katalog wystawy.

W obu dotychczasowych edycjach Triennale (1985, 1988) brało udział kilkuset artystów z kilkudziesięciu krajów. Ich dzieła obejrzało w sumie ponad 200 000 osób z Polski i zagranicy. (k)

## WYDAWCY PROPONUJĄ

# Wydawnictwo Lubelskie

*Jerzy Kuncewicz*

PRZEBUDOWA, RZECZ O ŻYCIU I USTROJU POLSKI

Wyd. 1, ark. wyd. 20, nakład 5 tys. egz.

Dzieła wybrane Marii i Jerzego Kuncewiczów

Praca poświęcona zagadnieniom zmian i ulepszeń ustrojowych Polski po uzyskaniu niepodległości w 1918 r. Wydana po raz pierwszy w roku 1930, przypomina po wojnie we fragmentach w zbiorze pism publicystycznych Jerzego Kuncewicza pt. *50 lat faktów i myśli* (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1980), ukazuje się obecnie w niezmienionej postaci z pierwotnym wstępem prof. Zygmunta Cybichowskiego i obszernym wprowadzeniem doc. Romana Tokarczyka odnoszących się do wszystkich pięciu tomów *Dzieł wybranych* Jerzego Kuncewicza w niniejszej edycji, którą rozpoczyna omawiany tom.

*Przebudowa* jest swojego rodzaju dokumentem myśli politycznej i ekonomicznej lat trzydziestych. Przedstawia w niej autor drogę powstania narodów i państw w świetle potrzeb, oczekiwań i zależności oraz zdolności twórczych jednostki. Wskazuje na mentalność, aspiracje i dążenia społeczno-polityczne Polaków wywodzących się z poszczególnych zaborów, zajmując się rolą rodziny i przemianą obyczajów, a także emigracją zarobkową, układem stosunków narodowościowych w Polsce, mniejszościami narodowymi i ich wpływem na istniejącą strukturę państwowe. Obok szczegółowej analizy stosunków społeczno-politycznych

i gospodarczych widzianych z europejskiej i światowej perspektywy, próbuje Autor określić miejsce organizacji zawodowych, wyznaniowych, politycznych, rolniczych i innych w nowej rzeczywistości kraju. Zwraca też uwagę na sytuację agrarną Polski i potencjalne możliwości w tej dziedzinie. Z pasją krytykuje przywary charakteru narodowego Polaków, przypomina wytknięte przez historię błędy polityczne, wskazuje na bezsensowność ambicjonalnych rozgrywek międzypartyjnych i dewiacje w sposobie sprawowania władzy. Jak pisze Roman Tokarczyk: „Znaczne fragmenty pracy *Przebudowa* odczytujemy tak, jakby były napisane z myślą o potrzebach naszych polskich korekt ustrojowych w latach osiemdziesiątych. Dotyczy to szczególnie rozważań wiele sugestywnie podkreślających przewagi samorządności nad centralistycznymi sposobami sprawowania władzy i ukazujące wszystkie istotne słabości administrowania opartego na zawodowej biurokracji państwowej i partyjnej”.

JERZY KUNCEWICZ — prawnik, socjolog, filozof i literat, mąż znanej pisarki Marii Kuncewiczowej, żył w latach 1893—1984. W czasie pierwszej wojny światowej działał w ruchu niepodległościowym i ludowym, w latach trzydziestych współtworzył program Stronnictwa Ludowego, od roku 1925 do 1939 prowadził praktykę adwokacką w Warszawie, w czasie drugiej wojny światowej pracował w agendach rządu emigracyjnego w Londynie i inicjował utworzenie międzynarodówki chłopskiej. Po wojnie

przebywał w Stanach Zjednoczonych prowadząc firmę budowlaną, od 1962 r. przyjeżdżając na dłuższe okresy do kraju. Od 1971 r. na stałe zamieszkał w Kazimierzu nad Wisłą.

*Mirosława Zakrzewska-Dubasowa*  
ORMIANIE W DAWNEJ POLSCE

Wyd. 2, ark. wyd. 20, nakład 5 tys. egz.

*Ormianie w dawnej Polsce* — to książka historyczna poświęcona dziejom i kulturze polskich Ormian, którzy począwszy od XIV wieku licznie napływali na wschodnie ziemie Rzeczypospolitej. Wśród społeczności Lwowa, Stanisławowa, Śniatynia, Kut, Brodów, Brzeżan, Kamieńca Podolskiego i Zamościa zamieszkiwało wielu — jak sami siebie nazywali — synów św. Grzegorza, o których XVII-wieczny awanturnik i pamiętnikarz, Urlych von Verdum, pisał, że są najbogatszymi i najchytrzejszymi kupcami na świecie. A burmistrz lwowski, Jan Alnpek, żyjący na początku XVII wieku, taki przedstawił wizerunek ówczesnych ormian: „Młodzieńcze czujni, nieustraszeni, mężowie biegli i rozmiłowani w okazałości, starcy żarliwi i gościnni, dziewczyny uparte o śniadej twarzy, kobiety trochę gminne, na starość jadowite”. O nich właśnie mówi ta książka. O ich kulturze, obyczajach, pracach, handlu i rzemiośle, nauce i wpływie, jaki wywierali na społeczność polskich kresów. Poznając losy dawnych Ormian łatwiej zrozumiemy dzisiejsze problemy i dążenia ich armeńskich potomków zamieszkujących u stóp Araratu.



JERZY GÓRNY: KLASYCYSTYCZNY (XIX W.) PALAC W REJOWICU